

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Jerofiejew: mięso armatnie tanieje
- Raport o ukraińskiej gospodarce
- Paweł Śpiewak: Niektórym nie wybaczę
- Psychoterapia na superwizji
- Podwójne życie Barbie



WYSOKIE
OBCASY

Z miłości do brata.
Życie w cieniu choroby rodzeństwa



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Krystyna
Janda

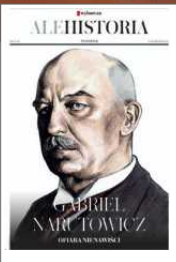
Miłość i wierność

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**100. rocznica
zamordowania
Gabriela
Narutowicza**



**Winni Żydzi
i Piłsudski**

Tak Eligiusz Niewiadomski
tłumaczył swoją zbrodnię

**„Larwa rudobrodego
szatana”**

Jak endecka prasa szczuła na
pierwszego polskiego prezydenta



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl

Sprzęt narciarski i snowboardowy

Marki premium.
Szeroki asortyment.
Najnowsze kolekcje.
Profesjonalna obsługa.



Wybrany asortyment zimowy od **30% do 50% taniej!**

KONKURS NAJWYŻSZY PARAGON

WYGRAJ 5-DNIOWY WYJAZD DO TYROLU

DLA DWÓCH OSÓB



5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kaunertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



Poleć regulamin promocji "Najwyższy paragon" oraz

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAN: ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA
ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)

REKLAMA

ZAPRASZAMY 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota 10:00 - 21:00 | Wszystkie Niedziele 11:00 - 18:00



SPYDER

KOLEKCJA 2022/2023

JUŻ DOSTĘPNA
W NASZYCH SKLEPACH

Wybierz **6 lub 20 RAT RRSO 0%** bez dodatkowych kosztów

Oferta 6 rat 0% obowiązuje przy zakupach do 2 000 zł. Oferta 20 rat 0% obowiązuje przy zakupach powyżej 2 000 zł. Rat udziela Santander Consumer Bank.

ZRÓB ZAKUPY ZA MINIMUM 2 000 ZŁ I ODBIERZ
DWA DARMOWE JEDNODNIOWE SKIPASSY
NA JEDEN Z 5 TYROLSKICH LODOWCÓW

5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kauertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



5 Tyrolskich
lodowców
Im wyżej tym lepiej

Darmowy skipass znajdziesz na skiteam.pl/regulaminy



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Bootfitting



Skaner stóp 3D

Bartosz T.
Wielński



W 100. rocznicę zabójstwa prezydenta

13 stycznia 2019 r., Gdańsk, Targ Węglowy. Kończy się finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, na scenę wchodzi prezydent miasta Paweł Adamowicz. – Gdańsk jest szczodry. Gdańsk dzieli się dobrem. Gdańsk chce być miastem solidarności – mówi. Nagle na scenę wskakuje Stefan W., przestępca, który miesiąc wcześniej wyszedł z więzienia. Zadaje Adamowiczowi trzy ciosy nożem. – Siedziałem niewinny w więzieniu. Platforma Obywatelska mnie torturowała. Dlatego właśnie zginął Adamowicz! – krzyczy do mikrofonu. Adamowicz umiera w szpitalu następnego dnia.

Skojarzenia z tragedią z 16 grudnia 1922 r. nasuwały się same. Mord pierwszego polskiego prezydenta i mord prezydenta Gdańska były wynikiem intensywnej kampanii nienawiści rozpętanej przez politycznych przeciwników. Mam przed oczami nagranie pracownika rządowej telewizji, który idzie za Adamowiczem z mikrofonem, wykrzykując oskarżenia, że bratał się z przestępcami. W 2018 r. na antenie TVP nazwisko Adamowicz padło średnio pięć razy dziennie. Jako podejrzanego o korupcję, wroga narodu, zaprzęca zdrajcy.

Kampania nienawiści pod hasłem „Precz z wybrańcem Żydów” rozkręcona przez endecję przeciwko Narutowiczowi, który został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe na prezydenta RP dzięki głosom

lewicy i posłów reprezentujących mniejszości narodowe, miała uniemożliwić mu objęcie urzędu. Kampania prowadzona przeciwko Adamowiczowi miała uniemożliwić jego ponowny wybór. PiS chciał przejąć władzę w Gdańsku, kolebce „Solidarności”, by na nowo napisać najnowszą historię Polski. Wykreślić z niej Lecha Wałęsę, wyolbrzymić zasługi braci Kaczyńskich... Nienawiść siana szeroko wydała zbrodniczy plon. A wtedy – i endecy, i pisowscy – kaznodzieje nienawiści twierdzili, że ze zbrodnią nie mają nic wspólnego. W styczniu 2019 r. w prorządowej prasie padło hasło z grudnia 1922. Wzywano „ciszej nad tą trumną”, mordercę Adamowicza, tak jak prawie sto lat wcześniej mordercę Narutowicza, uznano a priori za osobę psychicznie chorą.

PiS stworzył bezwzględny aparat propagandowy łączący ubezwłasnowolnione media i prokuratury, funkcjonariuszy partii i służb specjalnych. Jego zadaniem jest szczucie na przeciwników politycznych, wypchnięcie ich poza wspólnotę, odczłowieczenie. Ten mechanizm doprowadził w końcu do politycznego mordu.

Aparat propagandowy pracuje na pełnych obrotach, na celowniku Donald Tusk i inne postacie z opozycji. Przed wyborami kampania nienawiści pewnie przekroczy wszelkie granice. Historia pierwszych lat II RP pokazuje, że słowa mogą zabijać. Rządzący Polską nie tylko nie wyciągnęli z niej żadnej lekcji, ale zachowują się tak, jakby 13 stycznia 2019 r. w Gdańsku nie doszło do żadnej tragedii.

Andrzej rysuje



Życie na wojnie Pitbuldoktor



Amerykański pitbulterier, który tak pięknie pozuje z ukraińskim chłopcem do zdjęcia, nazywa się Bice. Ma ważną i czulą misję w Ukrainie – w Centrum Społecznej i Psychologicznej Rehabilitacji pomaga dzieciom otrząsnąć się z wojennej traumy. Bojarka pod Kijowem, 7 grudnia.

FOT. VASILISA STEPANENKO/AP

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco przez
cały weekend *

CHOSMW

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

I ty możesz liczyć pingwiny



... inne ptaki świata

– nie wychodząc z domu, w ramach projektów nauki obywatelskiej. Największy taki portal znajduje się pod adresem zooniverse.org. Analizowane są tam przez wolontariuszy setki tysięcy zdjęć, najczęściej z automatycznych fotopułapek

► Wyborcza.pl

Wieści sprzed miliardów lat Megatsunami na Marsie

Dziś Czerwona Planeta jest sucha jak pieprz. Jednak opierając się na obserwacjach sztucznych satelitów i pomiarach przeprowadzonych przez sondy, które wylądowały na powierzchni Marsa, naukowcy sądzą, że 4-3 mld lat temu ocean pokrywał przeszło jedną trzecią powierzchni globu. Dziś po tym oceanie została tylko rozległa depresja. Uczeń od lat dociekają, co się stało z marsjańską wodą.

W jednym z ostatnich wydań pisma „Scientific Reports” naukowcy z kilku krajów identyfikują na powierzchni Marsa mający 110 km średnicy krater uderzeniowy. Ich zdaniem 3,4 mld lat temu (na co wskazują poddane wcześniej datowaniu liczne osady geologicz-



FOT. TSHUTTERSTOCK

ne) wybiła go potężna planetoida. Mogła ona być podobna do tej, która 66 mln lat temu uderzyła w Ziemię, doprowadziła do zagłady dinozaurów i zostawiła po sobie szeroki na blisko 100 km krater Chicxulub znajdujący się dziś na granicy półwyspu Jukatan i Zatoki Meksykańskiej.

Analizując dane dotyczące warstw osadów rozchodzących się w okolicy krateru Pohnla, badacze doszli do wniosku, że planetoida, która go wybiła, spowodowała ro-

zejście się w pradawnym marsjańskim oceanie olbrzymiego tsunami. Po dotarciu na brzeg, odległy o 1,5 tys. km od epicentrum uderzenia, fala morska mogła mieć nawet 250 m wysokości.

Według symulacji przeprowadzonej przez autorów publikacji planetoida, która 3,4 mld lat temu uderzyła w Marsa, miała od trzech do dziewięciu kilometrów średnicy (była więc mniejsza od tej, która na Ziemi wybiła dinozaury).

● Tomasz Ulanowski



KAŻDY NARÓD MA SWOJĄ SZCZUJNIE

Gdy dziś oglądam tzw. marsz niepodległości Bąkiewicza, słyszę te hasła, czuję temperaturę, emocje, mam przed oczami Narutowicza jadącego do parlamentu składać przysięgę prezydencką, a jego powóz jest obrzucany brudnym śniegiem i kamieniami

• General
Kazimierz
Sosnkowski
i prezydent RP
Gabriel
Narutowicz,
Belweder,
Warszawa,
grudzien 1922

FOT. ZBIORY MARIUSZA
KOLMASIAKA/EAST
NEWS



Z ADAMEM MICHNIKIEM
ROZMAWIA PAWEŁ SMOLEŃSKI

Mija 100 lat od zamordowania pierwszego prezydenta Polski. To jeden z najważniejszych i najpaskudniejszych aktów założycielskich II Rzeczypospolitej.

– Bez wątpienia. Pokazał, jak Polska była dramatycznie rozdarta, i zapowiadał wszystko złe, co stało się w dwudziestoleciu międzywojennym, podczas okupacji, a nawet później.

Minęły raptem cztery lata od odzyskania niepodległości, dwa od zwycięstwa w wojnie bolszewickiej. Polacy powinni się cieszyć, a nie organizować nagonki i mordować. Dziwnie działa się już w samej Zachęcie. Poetka Kazimiera Illakowiczówna, która pracowała z Narutowiczem, gdy był ministrem spraw zagranicznych, trzyma głowę zabitego prezydenta na kolanach. General Józef Haller, którego część prawicowej ulicy widziała na stanowisku Narutowicza, spóźnia się na otwarcie wystawy kilka minut i jak gdyby nigdy nic przechadza się po piętrach muzeum. Kardynał Aleksander Kakowski, też spóźniony, każe zawrócić powóz i w zasadzie ucieka z miejsca zbrodni.

– Nie czyniłbym zarzutów Hallerowi, bo nie wiemy, jaką intencją się kierował. Może był wstrząśnięty, w ten sposób chciał odreagować, odizolować się, jakoś wyciszyć. Ludzie różnie reagują, gdy są świadkami morderstwa.

Ale z drugiej strony Haller, który miał wielkie zasługi w tworzeniu Wojska Polskiego czy w wojnie bolszewickiej, wyznawał nacjonalistyczne, antysemickie poglądy i niewątpliwie był współodpowiedzialny za nagonkę na Narutowicza.

Co można powiedzieć o zachowaniu kardynała Kakowskiego?

– To samo mniej więcej, co o Hallerze; nie znamy osobistych przyczyn jego postępowania. Z zastrzeżeniem, że w sprawie kampanii przeciwko Narutowiczowi lub tłumienia nienawistnych endeckich pomysłów Kościoła jako instytucja nie zrobił nic lub jeszcze mniej, zaś poszczególni księża, i nie było ich mało, aktywnie dokładali do pieca.

Mord Narutowicza to czarna karta polskiej historii i endecji, która nigdy nie próbowała się z tym rozliczyć. Obóz Narodowej Demokracji niewątpliwie dążył do niepodległej Polski i wiele dla niej uczynił. Tych zasług nie da się podważyć, ale ta mroczna część jego tradycji zaciążyła na całym obrazie tej orientacji i bardzo wiele złego uczyniła Polsce.

W nagonce na prezydenta brała udział nie tylko endecja, ale nawet dobroczynne stowarzyszenia społeczne, często z szyldem katolickim, mniejsze partyjki, narodowe związki robotnicze, organizacje przedsiębiorców i właścicieli ziemskich.

– To nie zawsze byli członkowie Narodowej Demokracji, ale wyznawali podobną ideologię. Ważny jest duch tej formacji, bardzo szczególny klimat umysłów, wkradający się do różnych środowisk, daleko szerszych niż sama endecja. Z przykrością czytamy teksty ludzi bardzo wybitnych, którzy ulegali tej endekoidalnej psychozie. Gdy zaglądamy np. do pism Wincentego Witosa z późnych lat 30., włos jeży się na głowie, bo sporo tam rzeczy nieładnych i nieciekawych. A przecież Witos był wspaniałym, zasłużonym Polakiem, uczciwym demokratą.

Mord Narutowicza kończy pewien etap naszej historii.

– Poprzednie spiętrzenie konfliktu między środowiskami związanymi z Polską Partią Socjalistyczną a Narodową Demokracją to rewolucja 1905 r., kiedy rywalizujące ze sobą dwa obozy debatowały przy pomocy bojówek, bomb i rewolwerów. Już wtedy propaganda antysemicka była niesłychanie ostra, nie da się jej usprawiedliwić, choć można szukać przyczyn, nie ma dymu bez ognia.

Niemniej faktem jest, że z tego punktu widzenia rok 1905 fatalnie zaciążył na Polsce. Zderzyły się ze sobą wizja polskości otwartej, obywatelskiej, dziś byśmy powiedzieli, że europejskiej – w takim duchu była pisana konstytucja marcowa z 1921 r., przeformowana przez większość, której istotną częścią była lewica, na owe czasy najbardziej demokratyczna w Europie. Po drugiej stronie później był wrzask, że Polska jest dla Polaków, koncepcja zamknięta, etniczna. Działo się to w kraju, gdzie jedna trzecia obywateli należała do mniejszości narodowych. To była bomba z opóźnionym zapłonem.

Teza antagonistów Narutowicza zasadzała się na tym, iż został wybrany głosami mniejszości narodowych, a w gruncie rzeczy żydowskimi. Czytałem prace historyków intelektualnie związanych z obozem endeckim, gdzie postulowano, że posłowie mniejszości narodowych albo powinni się wstrzymać od głosu, albo wyjść z sali, albo uczciwie podzielić się pół na pół: pierwsi oddają głos na Narutowicza, drudzy na Maurycego Zamoyskiego. To oczywiście próba zamiecienia pod dywan tego, co wówczas się stało. A stała się rzecz taka: polscy odpowiednicy Mussoliniego i podobnych ruchów faszystowskich pokazali długie zęby, zademonstrowali, do czego są zdolni.

Jest jeszcze ta teza, iż Eligiusz Niewiadomski był regularnym wariatem i zabił Narutowicza niejako w zastępstwie Piłsudskiego.

Sam o tym mówił w ostatnim słowie przed sądem, lecz jego niepoczytalności nie dało się ani wówczas, ani dzisiaj udowodnić, choć próbowano. Zostały wspomnienia świadków, że o polityce mówił językiem ostrzejszym niż endecja oraz miał psychopatyczną osobowość.

– Kto przy rozumie morduje prezydenta swojego kraju? Coś złego w układzie nerwowym Niewiadomskiego musiało się dziać. Lecz tu nie idzie o stan nerwów Niewiadomskiego i jego sposób mówienia o polityce, ale o klimat. Zważmy, że drugim podłym aktem założycielskim II RP jest skandal wobec wydanego dwa lata później „Przedwiośnia” i Stefana Żeromskiego. Oskarżono go o szerzenie pornografii i kryptobolszewizm.

Mord Narutowicza otworzył drogę myśleniu, że jeśli współzycie parlamentarne się nie sprawdza, wolno sięgnąć po ulicę. To mogą być rozróby, jak wtedy, gdy 90-letniego Bolesława Limanowskiego endecka hołota obrzucała błotem i nie wpuściła do gmachu Sejmu. Ale też sojusz ulicy z częścią oddziałów wojskowych. Bez zamachu na Narutowicza nie byłoby zamachu majowego 1926 r. Często czytamy krytyczne opinie o rządach sanacji i one są uzasadnione. Lecz trzeba ciągle pamiętać, iż prapoczątek sanacji to zamordowanie prezydenta i skandal wokół Żeromskiego. Do sanacji jeszcze długa droga.

To zabójstwo naznaczyło oblicze Polski na dekady. Gdy dzisiaj oglądam tzw. marsz niepodległości Bąkiewicza, widzę i słyszę te hasła, czuję temperaturę, emocje, niejako z automatu mam przed oczami Gabriela Narutowicza jadącego do parlamentu składać przysięgę prezydencką, a jego powóz jest obrzucany brudnym śniegiem i kamieniami, endecka młodzież buduje z ławek barykady, wymachuje laskami, grozi.

Klamstwo leżące u podstaw endeckiej interpretacji wyboru Narutowicza dotyka nawet parlamentarnej matematyki. Deputowani mniejszości narodowych mieli 20 proc. posłów i senatorów, co znaczy, że znakomitą większość głosów na Narutowicza oddali etniczni Polacy, np. posłowie ludowców, którym Maurycy Zamoyski, największy potentat ziemski w Rzeczypospolitej, nie mógł pasować, jeśli chcieli poważnie rozmawiać o reformie rolnej.

– A na to endecy argumentują: To byli Polacy zaprzędani Żydom. Przecież niewiele wcześniej Witos umówił się z nami i wspólnie wybraliśmy ludowca Macieja Rataja na marszałka Sejmu oraz endecka Wojciecha Trąpczyńskiego. I co? Nagle się ludowcom odwidziało? Nieprawda. Zdradzili! Od tego momentu po raz kolejny trudne polskie sprawy są zamiatane pod dywan. Polska aspiruje do tego, by być normalnym państwem demokratycznym, i wtedy otrzymuje śmiertelny cios.

Gdy zastanawiam się nad faszyzacją lat 30., nad gettem ławkowym, pogromami w Przytyku i w Myślenicach, znajduję korzenie tych zdarzeń w mordzie Narutowicza. Podobnie jak w politycznych mordach podczas okupacji – Jerzego Makowieckiego, Ludwika Widerszała czy Marcelego Handelsmana. Trudno sobie wyobrazić, ale naznaczeni endeckim myśleniem ludzie wpisali na listę do egzekucji nawet Aleksandra Kamińskiego, twórcę Szarych Szeregów i autora „Kamieni na szaniec”.



W jakimś sensie z mordu Narutowicza biorą się powojenne pogromy w Krakowie i w Kielcach. Taki klimat ciągle wisi nad polską duchowością, endecka skłonność do wykluczania jest dobrze zadowmowiona.

Gdy endecja była w sejmowej opozycji, zachowywała się, np. w sprawach gospodarczych, całkiem przytomnie.

– Endek Władysław Grabski był człowiekiem ogromnych zasług. I nie tylko on. Niemniej nie da się mówić uczciwie o polskiej historii, jeśli się chce wygumkować zamordowanie Narutowicza i jego przyczyny.

**Mord Narutowicza
otworzył drogę myśleniu,
że jeśli współzycie
parlamentarne się nie
sprawdza, wolno sięgnąć
po ulicę**

Jak to możliwe, że w 1922 r. część narodu, po wcale nie dawnych wielkich triumfach, potrafi tak spsieć?

– Wcześniej też dopuszczano się rzeczy wstrętnych, również z drugiej strony sceny politycznej. O polskich bolszewikach i zdrajcach pisał Stefan Żeromski w opowiadaniu „Na probostwie w Wyszkuwie”. Sugestywnie i prawdziwie, skoro zakazała go cenzura Polski Ludowej.

Chociaż historycznie moment jest szczególny.

– Nawet bardzo. A jak było w Polsce po 1989 r., w momencie równie szczególnym i niezwykłym?

Prezydenta państwa jeszcze nie zabito.

– Ale prezydenta Gdańska już tak. Stało się to w bardzo podobnym klimacie, który wciąż trwa. Lecz nie lubię mówić, że część narodu spiała.

Nie spiała? Przecież pogrzeb Niewiadomskiego przerodził się w manifestację radości. A co powiedzieć dzisiaj o ONR, polskich faszystach wrzeszczących na marszach niepodległości i w rocznicę powstania warszawskiego.

– Niewiadomskiego ma za bohatera endecja, ale nie PPS czy zwolennicy Piłsudskiego. Naród nie tyle spisał, ile pękl. Z odradzającą się Polską każdy miał kłopot. Lecz czym innym jest kłopot, a czym innym tak odrażający mord głowy państwa.

Narutowicz był człowiekiem wielkich zasług dla Polski, konspirator niepodległościowy, naukowiec i bezdyskusyjny patriota. Gdy został wybrany, Piłsudski powiedział, że jest jedynym człowiekiem, przed którym staje na baczność.

– Gdyby wybrano Zamoyskiego, Marszałek nie byłby pewnie taki skory do stawiania na baczność, ale w mniej wylewnych słowach uznałby wybór. Zachowałby się tak, jak Hillary Clinton po zwycięstwie Trumpa – pogratulowałby zwycięstwa kandydatowi prawicy. Trump nie pokazał się na zaprzysiężeniu Bidena, bo to taka endecja amerykańska, a Biden to ktoś bliższy Narutowiczowi.

Śmierć prezydenta ujawniła piękne postawy.

Julian Tuwim pisał: „Krzyż mieliście na piersi/ a brauning w kieszeni/ Z Bogiem byli w sojuszu/ A z mordercą w pakcie”. Powstały inne wiersze, np. Antoniego Słonimskiego.

– Albo wstrząsające przemówienie Piłsudskiego, gdy usuwał się do Sulejówka. To diagnoza endeckiej postawy.

Piłsudski mówił w Sali Malinowej hotelu Bristol: „Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypływający swą brudną duszą, opluwający mnie



zewsząd, nieszczędzący mi niczego, co szczerzyć trzeba – rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie; ten potworny karzeł pełzał za mną jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów – to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie; ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi. Prezydent nasz zamordowany został po burdach ulicznych, obniżających wartości pracy reprezentacyjnej, przez tych samych ludzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo”.

Skąd się bierze endecka mentalność? Z kompleksów, ze strachu, z krzywdy?

– Nie ma prostej odpowiedzi, bo różna jest endecja lub twory endeckopodobne w Polsce, w Niemczech, w Rosji, u Czechów albo Słowaków. To nie jest polski fenomen, ale europejski czy wręcz światowy. Brazylijczyk Bolsonaro jest endekiem, choć pluje nie na Żydów, ale na LGBT.

Może to gen narodowej samozagłady?

– Na takie pytanie trzeba odpowiedzieć: różmy swoje. To znaczy, że trzeba dbać o pamięć o Narutowiczu, bo to, co się stało, jest wielkim kawałkiem polskiej duszy i serca. Jeśli pozwolimy to zakłamać, schować, skazujemy się, że nie będziemy przygotowani na powtórkę takiego zdarzenia. Nie wiem, czy się da przekonać tych, którzy do dzisiaj mają Niewiadomskiego za bohatera narodowego, albo tych, którzy chcą go usunąć z pamięci. Przypuszczalnie nie, ale ludzi traktujących Polskę i siebie serio trzeba uczułać. Jeśli widzą analogiczne zjawiska, powinni im się sprzeciwiać.

Mord Narutowicza pokazuje, że można uważać się za polskiego patriotę i być kanalią.

• **Pogrzeb Gabriela Narutowicza. Kondukt pogrzebowy na placu Zamkowym. Warszawa, 1922** FOT. NAC

– Patriotyzm jest emocjonalnie zabarwiony, ale masz rację, bo ci sami ludzie, którzy przed wojną mieli zapatrywania faszystowskie, bardzo dzielnie walczyli w podziemiu antyhitlerowskim.

Ale nawet wtedy lubili pogonić mniejszości narodowe.

– Zostały im antysemityzm lub ukraiñożerstwo. To atrybuty w zasadzie niezbędne dla polskiej narodowej prawicy.

Jak patriotyzm miesza się ze szczupnią?

– To było zawsze, bo zawsze i wszędzie każdy naród ma swoją szczupnię, czarne karty i czarną sotnię. W dzisiejszej Polsce dominujący głos mają ludzie, który mówią: „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Oraz – „tylko my jesteśmy patriotami”, a inni to opcja niemiecka, bolszewicka, żydowska albo ugrofińska. Na tym polega nasze nieszczęście. Już w wolnej Polsce był spór, czy wolną którąś z sal sejmowych nazwać imieniem Narutowicza. Kto się nie zgadzał? Endekoidzi, podobno gorliwi chrześcijanie i stalowi patrioci.

Narutowicz jest przestrożą.

– Z pewnością nie pointą, bo od tej jesteśmy odlegli. Jeśli nie da się zrozumieć polityki Putina bez tradycji Rosji nikołajowskiej, bez Murawiowa „Wieszatiele” i bez czarnej sotni oraz Rasputina, tak nie da się zrozumieć historii Polski bez mordu Narutowicza. W dziejach II RP ta zbrodnia rozpoczęła wojnę pol-

Im większe wykluczenie dużych grup społecznych, lekceważenie, ośmieszanie, traktowanie jak przygłupów, którzy nadają się tylko „do łopoty”, a nie do poważnej rozmowy o ich potrzebach, tym częściej szukają lekarstwa u takich Bąkiewiczów

sko-polską i naznaczyła naszą świadomość. U jednych to przekonanie, że są wydziedziczeni z własnego państwa, więc im się należy. To w dużej mierze filozofia wstawania z kolan, którą wspólnie wyznają Putin z Kaczyńskim. A z drugiej strony to poczucie wielkiego lęku przed tym, co może nas czekać, jeżeli wstawanie z kolan na tyle się uda, że jakiś Bąkiewicz uzyska tyle siły i znaczenia, ile we Włoszech Mussołini, w Niemczech Hitler, w Chorwacji Ante Pavelić i im podobni.

Często wracam myślą do Narutowicza, gdy chcę zrozumieć, skąd biorą się te kategorie. Jak to jest możliwe, że ludzie, których bardzo szanowałem i szanuję, jak Wiesław Chrzanowski czy Aleksander Hall, starannie temat Narutowicza wymijają, bagatelizują bądź tak konstruuja zbiorową pamięć, że na Narutowicza nie ma w niej miejsca.

Bo ta historia jest nie do obrony, a ludziom często zamiast objaśnienia wychodzi usprawiedliwienie, więc wolą nie ruszać.

– Nie myślę o obronie, lecz o tym, by się z Narutowicza rozliczyć. Jeśli jesteś człowiekiem o orientacji liberalnej, musisz odpowiedzieć na pytanie, co takiego się działo w latach 20. i 30., że liberalna Europa długo i uparcie ustępowała Hitlerowi, aż doszło do wojny. Jeśli jesteś orientacji lewicowej, musisz postawić pytanie, jak to się stało, że z lewicowego kanonu wartości wyrosły potwory jak Stalin, Mao, Castro, Ortega czy dynastia Kimów w Korei.

Mówisz o kresie polityki, zastąpionej przez jej degenerację.

– Podobnie jest z zamordowaniem Narutowicza. To wysadzenie w powietrze kamienia węgielnego ładu demokratycznego II RP.

Albo ilustracja politycznej pazerności. Cokolwiek byś tej formacji obiecał, zawsze będzie jej mało. W wyniku wyborów dostali rząd, to muszą mieć sądy. Mają władzę, to muszą się uwłaszczyć na państwowym majątku. Wiecznie nienażarci.

– Nie wolno zaspokajać apetytu tej formacji, ale trzeba uwzględnić interes jej elektoratu. Faktem jest, że PiS zebrał dużą część głosów na zapewnianiu ludzi o swojej prospołeczności. Uważał, że należy coś

im dać, materialnie i moralnie, co rzeczywiście podniosło ich godność. Podobnie myślała przedwojenna endecja: nie wolno zastawić prezydenta Żydom, bo to zabiera godność Polakom.

Jak słyszę o polityce godnościowej, rozglądam się dookoła, czy ktoś nie chce dać mi w łeb, bo uważa, że od tego będzie godniejszy.

– Ja też się boję. Niemniej to oczywiste, że człowiek bardzo źle znosi upokorzenie przez niedostatek, wykluczenie, biedę. O tym trzeba pamiętać.

Lecz masz rację, że istnieją ludzie z genem wrogości i nieważne, co im zaoferujesz, zawsze będzie mało. Ale im większe wykluczenie dużych grup społecznych, lekceważenie, ośmieszanie, traktowanie jak przygłupów, którzy nadają się tylko „do łopoty”, a nie do poważnej rozmowy o ich potrzebach, tym częściej szukają lekarstwa u takich Bąkiewiczów.

Mord Narutowicza był skutkiem chorego umysłu i barbarzyńskiej ideologii, a nie materialnego niedostatku.

– Lecz trzeba dodać, dlaczego ta chora ideologia trafiała na podatny grunt. Są na to argumenty obiektywne. W zaborze rosyjskim nie było kultury politycznej, Galicja biedowała, a Wielkopolska była poddana bezwzględnej germanizacji. Faktem jest również, że istotna część społeczności żydowskiej nie identyfikowała się z państwem, podobnie jak wielu Niemców, zwłaszcza na Śląsku, a liczni Ukraińcy marzyli o zrzuceniu zależności od Polski. Te podziały często szły w poprzek rodzin.

Podsycanie etnicznej pychy prowadzi do strasznych rzeczy w każdym narodzie. Gdy słucham bardzo zasłużonej aktywistki, której działalność wzbudza mój szacunek, kiedy do młodego Rosjanina protestującego przeciwko wojnie Putina krzyczy „wypierdalał”, po prostu mnie boli. Rozumiem nerwy ujawniające się podczas demonstracji, reakcję na straszne informacje przychodzące z Ukrainy, lecz taki okrzyk to odwołanie się do najgorszych etnicznych emocji: jestem Polką w Polsce, to mi wolno, a inni mają słuchać. Zaś teza, dlaczego Rosjanie uciekający z Rosji nie wracają obalać Putina, to po prostu aberracja.

Dlaczego tak trudno doszukać się tej pięknej Polski, którą uosabia także rodzina Narutowicza? Gabriel działał na rzecz polskiej niepodległości, został prezydentem. Jego brat Stanisław sygnował akt niepodległości Litwy. Czy podobne postawy są wypierane i zapomniane?

– Na posiedzeniu założycielskim ONZ Polska nie była obecna. Kto zagrał wtedy „Mazurka Dąbrowskiego”?

Bąkiewicz pewnie nie wie, lecz Kaczyński wie z pewnością, że grał Artur Rubinstein.

– Jaka jest różnica między Arturem Rubinsteinem a Mońkiem Rubinsteinem?

Podpowiedz.

– Taka jak między wielkim Polakiem a małym Żydkiem.

Chwalimy się, że Polska była państwem bez stosów, tolerancyjnym, przyjęliśmy Żydów. Ale że po drodze wygnaliśmy arian, to z tym gorzej. Jeśli zaś trzeba o nich mówić, należy podkreślić, że podczas potopu poparłi Karola Gustawa. Przecież wtedy hetmani stanęli za Karolem, Radziwiłłowie. Ale nam się zdaje, że arianie poparłi go jakoś bardziej.

Ale jest też tak, że postawa Artura Rubinsteina nie będzie zapomniana. Jeśli dzisiaj zastanowisz się nad bilansem kulturowym PRL-u, wygląda bardzo dobrze. Powstawały wspaniałe filmy, literatura, teatr, i to mimo strasznych czasów dla kultury. To znaczy, że uczciwa Polska umiała zbudować sobie zrozumiały język i komunikowała się ze społeczeństwem. Szlachetna linia przetrwała.

Szlachetność mówi szeptem, a inaczej jest tylko w czasach opresji, szuka niuansów. To skrajność wrzeszczy, więc łatwiej ją usłyszeć.

– Polacy są wspaniali w klęsce, a bywa, że nieznosni w zwycięstwie.

Może Polakom nie należy pozwalać na zwycięstwa? Albo – jak napisał Andrzej Stasiuk – nam nie potrzeba Niemca, Ruska, Żyda, bo i tak załatwimy się sami.

– Taka teza z pewnością spodoba się na Kremlu. Lecz za prawda, że przykładów marnowania wspaniałych zwycięstw mamy w naszej historii zbyt wiele. ●

Ukraińcy w Unii

JAK
WŁASNO
DZIAŁA
UKRAJNA

Przenoszą produkcję, kredytują kontrahentów,
otwierają kawiarnie w przyczepach,
pod ostrzałem zakładają salony piękności
i kliniki stomatologiczne.
Odbudowa Ukrainy opiera się
na przedsiębiorcach.

Lesya Vakulyuk DZIENNIKARKA TELEWIZJI ESPRESO.TV, FELIETONISTKA „WYSOKICH OBCASÓW”
Andriy Saichuk DZIENNIKARZ ESPRESO.TV I PORTALU TWOJE MIASTO/LVIV NOW

– Trudno opowiedzieć o wszystkim, co przeżyliśmy i co czuliśmy, kiedy po raz kolejny musieliśmy wyjechać z miasta, które stało się naszym nowym domem – wspomina 65-letni Alfad Halimow. Po inwazji z żoną Elmirą zabrali rzeczy pierwszej potrzeby i z Irpinia ruszyli na zachód Ukrainy. To była już trzecia przeprowadzka w ich życiu.

W 1994 r. zdecydowali się przenieść z Uzbekistanu na Krym. Podobnie uczyniły wtedy dziesiątki tysięcy innych potomków Tatarów Krymskich deportowanych z półwyspu przez Stalina w 1944 r. Początki nie były łatwe. Dopiero co rozpadł się Związek Sowiecki. Ludzie zajmujący domy, które kiedyś należały do Tatarów, nie zamierzali ich oddawać. Elmira i Alfad mieli po 36 lat i musieli zaczynać od nowa. Znaleźli pracę, pobudowali się. Ułożyli sobie życie. Aż przyszedł rok 2014 i na Krym wkroczyła Rosja.

– Opuszczenie anektowanego Krymu było dla nas wyborem cywilizacyjnym – mówi pan Alfad. – Mogliśmy albo pozostać w średniowieczu, albo nadal iść w kierunku rozwiniętego społeczeństwa.

Przeprowadzili się bliżej syna, na przedmieścia Kijowa, do Irpinia. Tam otworzyli kiosk z ulicznym jedzeniem. Nazwali go Balisz – jak tradycyjny krymskotatarski placek.

Klienci przyjeżdżali skosztować ich irpieńskiej kawy i baliszu aż z Kijowa. Jednak Rosja dogoniła Elmirę i Alfada nawet tutaj.

o 31 procent spadło PKB Ukrainy

Już na początku wojny w kiosk uderzył pocisk. A małżeństwo uciekło i znowu znalazło się u podnóża gór, ale nie Krymskich, lecz Karpat – w Užhorodzie, kilkadziesiąt kilometrów od granicy ze Słowacją i z Węgrami.

Pan Alfad od razu poszedł do komisariatu wojskowego, ale odesłali go ze względu na wiek. Wtedy małżeństwo, zamiast po prostu odbierać zasilek, postanowiło po raz trzeci w życiu zacząć wszystko od nowa.

– Zelenski powiedział, że każdy powinien wpłacać choć po grosiku. A jak my możemy pomóc? Mamy już po 65 lat. Możemy nadal prowadzić firmę – opowiada pani Elmira.

Rozmawiamy przez telefon. Połączenie co jakiś czas się zrywa. W Užhorodzie właśnie wyłączyli prąd. W końcu udaje się wrócić do rozmowy. Małżeństwo opowiada, jak w jednym z parków zauważyło porzuconą przyczepę kempingową. Z administracją parku ustalili warunki zakupu. Alfad z synem Akimem wyczyszcili i pomalowali przyczepę, wypożyczyli ekspres do kawy i otworzyli minikawiarnię.

– Postanowiliśmy nazwać ją Irpiń-café. Wśród klientów jest wiele osób z Irpinia, z Hostomla, z Buczy – mówi pani Elmira.

Mąż dodaje: – To nie tylko nasza firemka, ale też miejsce spotkań. Ludzie przychodzą, kupują u nas kawę, słodczyce i od razu się zaznajamiają, rozgadują, każdy opowiada swoją historię, swoją tragedię, jak się tu znalazł. Każdy, kto tylko może, pomaga innym.

Historia Alfada i Elmiry to przykład, jak drobni przedsiębiorcy starają się przetrwać. Ogólnie jednak wojna zadała ukraińskiej gospodarce druzgocący cios. W 10 miesięcy PKB obniżył się o 31 procent. Na tak dramatyczny spadek złożyło się kilka czynników.

Przed wojną gospodarka była zorientowana na eksport. Blokada portów przez Rosjan sparaliżowała całe branże o krytycz-

nym znaczeniu – rolnictwo, hutnictwo, eksport rudy. Międzynarodowa umowa zbożowa poprawiła sytuację, ale tylko w sektorze rolnym. Na klęskę produkcyjno-eksportową nakłada się ogromna liczba uchodźców. Według ONZ od początku wojny z Ukrainy wyjechało blisko 8 milionów osób, głównie kobiet z dziećmi. To zmniejszyło rynek konsumentów o 20-25 procent – klienci po prostu wyjechali. Realne dochody tych, którzy zostali, według Narodowego Banku Ukrainy spadły o jedną czwartą.

Priorytety kraju też się zmieniły. Już w przededniu inwazji Ukraina wydawała na obronę większą część budżetu niż jakikolwiek kraj UE. Teraz ta kwota wzrosła czterokrotnie – do 4 miliardów euro miesięcznie.

Sięgający jednej trzeciej budżetu deficyt pokrywa pomoc z Zachodu w postaci pożyczek i grantów. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że pensje ukraińskich nauczycieli i lekarzy, a także emerytury wypłacają Unia Europejska i Departament Stanu USA.

– Bez tej pomocy Ukraina zwyczajnie nie przetrwałaby jako gospodarka – mówi Ole-na Bilan, współprzewodnicząca rady dyrektorów Kijowskiej Szkoły Ekonomicznej (KSE). – I wątpię, czy w kryzysie nasza armia osiągałaby takie sukcesy, jakie osiąga.

Najbardziej ucierpiał wielki biznes związany z eksportem produktów o niewielkiej wartości dodanej, np. hutnictwo. W tym sektorze skoncentrowali aktywa miliarderzy, którzy mieli lobbystów w parlamencie i wpływowo media. Z kolei przemysł spożywczy do niedawna miał się nieźle, a w sektorze IT mimo wojny nastąpił nawet wzrost. Bardziej skomplikowana jest sytuacja w przemyśle lekkim. Tak czy inaczej te przedsiębiorstwa, które utrzymały płynność, zaczęły płacić podatki bardziej sumiennie niż przed wojną. Wpływy z podatków do budżetu w trzecim kwartale nawet się zwiększyły, a banki podają, że mimo wojny coś odwrotnego stało się z problematycznymi kredytami – ich liczba się zmniejszyła!

– Firmy starają się płacić podatki i obsługiwać kredyty, jeżeli tylko mają taką możliwość. Rozumiejmy, że w ten sposób zapewniają finansowanie armii – wyjaśnia Bilan.

Do takich odpowiedzialnych biznesów można zaliczyć lwowską firmę Dodo Socks, która sprzedaje skarpety.

Ich produktom bezpłatną kampanię reklamową zapewнили rosyjscy propagandyści. To oni zauważyli, że Janis Sarts, dyrektor Centrum Eksperckiego NATO ds. Komunikacji Strategicznej, na wrześniowej konferencji w Warszawie wystąpił w skarpetkach khaki z napisem „Topczu rusniu” (Depczę ruskich). Rosjanie bardzo się oburzali.

Ze względu na dowcipne napisy i obrazki na aktualne tematy Dodo Socks często są kupowane na prezenty. Współzałożyciel firmy Andrij Plasun twierdzi, że nie zajmuje się handlem skarpetkami. – My sprzedajemy idee, a skarpetki to tylko nośnik tych idei – żartuje. Dodo Socks nie ma własnej linii produkcyjnej, zajmuje się tylko projektowaniem i marketingiem. Produkowała dla nich fabryka w Rubieżnem, miasteczku w Donbasie. W pierwszych dniach wojny fabryka, gdzie miesiąc wcześniej zainstalowano nowe włoskie maszyny, znalazła się pod ostrzałem artylerii, która metodycznie równała miasto z ziemią. Zaczęła się okupacja i wszystko, co nie było zniszczone, zostało zrabowane. Lwowianie nie zostawili jednak w biedzie podwykonawców i zaproponowali im przeniesienie interesu do Lwowa.

– Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nie nasi partnerzy z Dodo Socks – mówi Olha Uszakowa, dyrektor handlowa Rubieżniańskiej Manufaktury Wyrobów Pończoszniczych. – Dali nam nieoprocентовaną pożyczkę na sprzęt i surowce.

Lwowianie twierdzą, że wsparcie kolegów z Rubieżnego to kwestia zasad. – Bardzo nam się spodobało, że Lwów i Rubieżne to dwa skrajne punkty na mapie Ukrainy – tłumaczy Plasun. – To fajni ludzie, naprawdę kochający Ukrainę. Nie mieliśmy żadnych zastrzeżeń przy współpracy z nimi. By-

25 procent konsumentów po prostu wyjechało z kraju

liśmy nawet nieco dumni, że troszkę scaliliśmy Ukrainę, podważyliśmy stereotyp, zgodnie z którym jedni sobie na zachodzie, a drudzy sobie na wschodzie kraju.

Z Dodo Socks wojna obchodzi się na razie w miarę bezboleśnie. Plasun szczyci się, że firma nie zwolniła ani jednego pracownika, płaci podatki na czas, a do tego – jak mówi w Ukrainie – „zadonatyla”, czyli zebrała na wsparcie dla Sił Zbrojnych Ukrainy 10 milionów hrywien. Trudniej mają ich partnerzy z Rubieżnego. Fabryka musi spłacać kredyty, które zaciągnęła tuż przed inwazją. Na szczęście rubieżnianom udało się zdobyć grant od USAID, a także pomoc od Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji oraz od Duńskiej Rady ds. Uchodźców (DRC).

Na pytanie, czy zamierzają wracać do Rubieżnego, gdy zostanie wyzwolone, Olha odpowiada bez namysłu: – Prawdopodobnie jedną linię produkcyjną zostawimy tutaj, we Lwowie. Ale na pewno wrócimy do domu i odbudujemy naszą manufakturę. I nasze miasto. Bo za co w takim razie giną nasi żołnierze? Naszym obowiązkiem jest wrócić.

Rozmowę przerywają syreny. Najpierw słychać je z telefonów wszystkich pracowników, bo każdy ma zainstalowaną aplikację z powiadomieniami. Po chwili syreny słychać też z zewnątrz. Czas zejść do schronów.

Gdy Lwów stał się głównym centrum relokacji dla biznesu, wiele wyzwolonych miast jak kania dżdżu łaknie powrotu swoich przedsiębiorców. Nawet Bucza nie jest wyjątkiem.

O tym mieście cały świat usłyszał po masowych mordach dokonanych przez rosyjskich żołnierzy. Ciche przedmieście Kijowa, które upodobała sobie stołeczna klasa średnia, przetrwało 33 dni okupacji. O miasto toczyły się zacięte boje. Około 300 budynków zostało całkowicie zniszczonych. Trze-

4 miliardy euro miesięcznie wydaje Ukraina na obronność

ba je odbudować od zera. Znacznie więcej – niemal co szósty – wymaga remontu. Chodzi o dziurawe, zniszczone odlamkami dachy, wybite okna i drzwi. W czasie okupacji zniszczono także obiekty największych płatników podatków do lokalnego budżetu: hipermarketu budowlanego, supermarketu, McDonalda, a także lotnisko przedsiębiorstwa Antonow, gdzie w pierwszych dniach wojny spłonął największy na świecie samolot transportowy An-225 „Mrija”.

– Potrzebujemy zewnętrznego finansowania, bo nie będzie wystarczająco podatków i budżetu, w ramach którego można by coś zrobić siłami samorządu – wyjaśnia zastępczyni mera Buczy Mychajłyna Skoryk.

Buczę wyzwolono 31 marca, ale do dziś nie wszystko udało się naprawić. Skoryk wymienia dwie przyczyny: przerwy w dostawie prądu i złożony system finansowania, które pochodzi z różnych źródeł, ale rozdziela- ne jest centralnie, w Kijowie. – Nasze miasto to rozpoznawalna marka, ale to nie przekłada się na pieniądze. Prowadzimy bezpośrednie negocjacje, ale wszyscy pomagający działają za pośrednictwem rządu.

Przykład: w kwietniu w Buczy nie było gazu. Ratusz zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o butle dla mieszkańców. Negocjacje, podpisywanie memorandumów, spotkania na wysokim szczeblu – i butle dotarły do miasta w... sierpniu. Dostawy siecią gazową już dawno przywrócono. Albo świeża historia: polski rząd obiecał, że wyśle szkołom komputery. Umowę zawarto z urzędem w Buczy, ale w sprawę zaangażowało się ukraińskie ministerstwo cyfryzacji i przekazanie stało się przedmiotem ustaleń międzyrządowych. Innymi słowy, komputerów wciąż nie ma.

Skoryk to rozumie – centralizacja jest wygodna i dla darczyńców, i dla ukraińskiego rządu, bo daje kontrolę nad przejrzystością dystrybucji pomocy. Jednak z punktu widzenia samorządu taki system jest mało efektywny i zwyczajnie nieopłacalny.

Od ogłoszenia stanu wojennego samorząd ma ograniczone uprawnienia. Władza wykonawcza w hromadach [wspólnota; jednostka administracji lokalnej] praktycznie przeszła w ręce administracji wojskowo-cywilnych, na których czele stanęli ludzie mianowani przez prezydenta. AWC nie są wynalazkiem Zelenskiego, wprowadzono je za Poroszenki, ale działały na terenach uwolnionych spod okupacji, gdzie istniało zagrożenie, że do władz lokalnych wrócą kolaboranci czy politycy prorosyjscy. Zelenski rozszerzył możliwość wprowadzania AWC na wszystkie wspólnoty – również te, w których są legalnie wybrane organy samorządu. To pozwala Kijowowi szybko reagować na nowe wyzwania. Z drugiej strony nadmierna centralizacja stała się problemem dla hromad i mieszkańców.

Odbijanie terytorium przypomina trochę opowieści o Dzikim Zachodzie. Po tym, jak na wyzwolony teren wkroczą żołnierze, życie nie wraca od razu i nie samo z siebie.

– Miasto zamarło, nic nie działało – tak Mychajłyna Skoryk opisuje pierwsze dni po wyzwoleniu. Sporo starań wymagało od pracowników ratusza przekonanie państwowych Oszczadbanku i ukraińskiej poczty do ponownego otwarcia oddziałów w zrujnowanym mieście. Wkrótce otworzyły się pierwsze kawiarnie, które momentalnie zamieniły się w centra życia społecznego.

4 miliardy euro miesięcznie wydaje Ukraina na obronność

– Jeszcze nie działały sklepy, więc wszyscy chodzili do kawiarenek, żeby mieć namiastkę normalnego świata – wspomina Skoryk. Uważa, że na tym polega model odbudowy Ukrainy: – Przedsiębiorcy nie pytają, co będzie jutro, czy Putin spróbuje jeszcze raz nas napaść, czy nie. Działają tu i teraz.

Do Buczy wróciło blisko 70 proc. mieszkańców, ale urzędnicy nie wiedzą, czy wszyscy zamierzają tu zostać. Niektórzy przyjeżdżają, żeby na własną rękę odremontować dom, a potem wracają na zachód Ukrainy, gdzie buczanie mają status osób wewnętrznie przesiedlonych (WPO). Tak w Ukrainie nazywa się tych, którzy uciekając przed wojną, zostają w granicach państwa.

o 1/4 spadł realny średni dochód Ukraińca

Chodorów leży na zachodzie, między trzema stolicami obwodów: Lwowem, Tarnopolem i Iwano-Frankiwskiem. W pierwszych dniach wojny spokojne miasteczko nagle stało się punktem tranzytowym dla setek tysięcy uchodźców, którzy zmierzali w stronę granicy. Mieszkańcy wychodzili wieczorami z domów, by oglądać niezwykle obraz: jasne światła niekończącej się rzeki samochodów, która sunęła główną ulicą.

– Ludzie podróżowali po kilka dni, więc zatrzymywali się na nocleg – wspomina przewodniczący chodorowskiej wspólnoty Oleh Kocowski. – Część nie jechała dalej, zostawali u nas.

Takich migrantów uzbierało się niemal dwa tysiące. Sporo dla miasteczka, w którym mieszka niecałe 10 tysięcy osób.

Na początku nowo przybyłych kwatrowano w szkołach, przeznaczono też dla nich pół piętra w szpitalu. Wielu przyjęli mieszkańcy – w sklepach i kawiarniach ogłoszenia: „Wezmę rodzinę ze wschodu” stały się codziennością.

– Ponad połowa uchodźców wróciła już do domów na tereny uwolnione spod okupacji. Inni czekają na wywołanie swoich miast – mówi Kocowski. – Ale są tacy, którzy postanowili zostać u nas na stałe.

Od początku miastu pomagali wolontariusze, międzynarodowe organizacje charytatywne, a także partnerska gmina Chodorowa – polski Strawczyn. Nawiasem mówiąc, w całej Ukrainie instytucja miast partnerskich okazała się nadspodziewanie skutecznym sposobem otrzymywania szybkiej i dobrze ukierunkowanej pomocy „od wspólnoty do wspólnoty”, z pominięciem biurokratycznych przeszkód, takich jak opracowywanie umów międzypaństwowych na poziomie ministerstw.

Dzisiaj Chodorów, podobnie jak cała Ukraina, przygotowuje się do zimy. Wszystkie hromady muszą przygotować rezerwę produktów i funduszy do dyspozycji administracji wojskowo-cywilnych. Największym problemem pozostają przerwy w dostawie energii. Urząd miasta kupił generatory na potrzeby najważniejszych instytucji, takich jak szpital. Nikt jednak nie wie, czy ich wystarczy, jeżeli ataki na infrastrukturę się nasilą i sytuacja się pogorszy.

Problemy Chodorowa wydają się jednak niewielkie w porównaniu z wyzwaniem, przed jakimi stoją samorządy w strefie przyfrontowej.

Członek rady miejskiej Drużkivki Mykoła Dowbnia wraca spod polskiej granicy do rodzinnego miasta w Donbasie. Przed nim 1200 kilometrów. Prowadzi karetkę, którą jego przyjaciele z Danii podarowali miastu. W ciągu dwóch dni, gdy Mykoły nie było w domu, sytuacja na donieckim odcinku frontu się pogorszyła, wróg stoi 25 kilometrów od miasta. – Dzwonią znajomi, mówią, że artyleria działa z dużą mocą, przez całą dobę słychać eksplozje. Helikoptery latały wczoraj przez całą noc i jeszcze dzisiaj rano.

Przed inwazją w Drużkivce mieszkało prawie 60 tysięcy osób. Z powodu ciągłego ostrzału miasto opuściło dwie trzecie mieszkańców, ale pod koniec września, po serii sukcesów ukraińskiej armii, ludzie zaczęli wracać, nawet rodziny z dziećmi. Przywrócono działanie sieci elektrycznej i gazowej, w domach jest ogrzewanie, na które mieszkańcy już nie liczyli – zdążyli kupić kotły na paliwo stałe i piecyki opalane drewnem. Teraz na miasto znów padł strach.

Sposób, w jaki instytucje państwowe radzą sobie z ogromnym stress testem, czyli z wojną, stanowi odpowiedź na szerzone przed wojną przez Kreml narracje, jakoby Ukraina

była państwem słabym i skorumpowanym, niemalże failed state (państwem upadłym).

– Byłam zaskoczona mobilizacją władz i tym, jak dobrze część z nich była przygotowana, miała plan działania na wypadek wojny. Zareagowały błyskawicznie – mówi Olena Bilan. – Oczywiście nie mogę powiedzieć, że pod względem walki z korupcją osiągnęliśmy już poziom Szwajcarii, ale sprawność działania instytucji państwa i poziom zaufania obywateli do nich są znacznie wyższe niż przed wojną.

Ukraiński Bank Narodowy już o 9 rano 24 lutego – kilka godzin po ataku – usztywnił kurs walut i nałożył ograniczenia w wycofywaniu kapitału. To uratowało system finansowy państwa i przywróciło Ukraińcom zaufanie do banków – obywatele nie rzucili się do wypłacania depozytów, płatności przeprowadzane bez opóźnień, bankomaty działały. Jednocześnie rząd szybko obciął wszystkie wydatki spoza kategorii krytycznych i znacznie podniósł pensje żołnierzy.

Nie obyło się jednak bez błędów.

W pierwszym miesiącu wojny obawiano się, że zabraknie artykułów pierwszej potrzeby, rada ministrów zniosła więc cło na import dużych grup towarów, a to uderzyło w ukraińskich producentów, którzy i bez tego mocno obrywali. Decyzja zachwiała też bilansem handlu zagranicznego i spowodowała straty w budżecie. Z kolei populistyczna próba regulacji cen paliw wywołała gigantyczne kolejki na stacjach benzynowych. Z obu ustaw się wycofano i sytuacja się ustabilizowała.

2 tys. hrywien zasiłku

*(nieco ponad 200 zł)
dostają miesięcznie dorośli
przesiedleńcy, 3 tysiące (nieco
ponad 300 zł) dzieci i osoby
z niepełnosprawnościami*

W październiku gospodarka zaczęła dać sygnały, że szok mija. Wszystko zmieniła nowa taktyka Rosjan – zmasowane ataki rakietowe na elektrownie i sieci energetyczne. Gospodarka znów się zachwiała. Powodem są codzienne blackouty, które objęły cały kraj. Przerwy w dostawie energii do końca roku uszczękną kolejne 2 proc. z PKB. To około 40 miliardów dolarów.

Osobny problem stanowi bezrobocie. Narodowy Bank Ukrainy podaje 28 proc., ale oficjalnie bezrobotnych jest tylko 239 tysięcy, a to najniższy wskaźnik od 20 lat. Olena Bilan tłumaczy, że większość osób, które straciły pracę w wyniku wojny, po prostu nie rejestruje się w urzędach pracy – zasiłek jest tak niski, że zdaniem wielu jego pobieranie nie ma sensu. Ludzie wolą żyć z oszczędności, być na garnuszku krewnych albo doręczyć pracować na czarno. Ci, którzy nie mają ani krewnych na zachodzie kraju, ani oszczędności, mogą liczyć tylko na pomoc państwa i organizacji charytatywnych.

„Polska pomoc” – napisy po ukraińsku, polsku i angielsku na ciągnących się długimi rzędami kontenerach widać z daleka. Na Sychowiu, w jednej z sypialnych dzielnic Lwowa, jest takich wiele. Tu mieszkają osoby we-

wnętrze przesiedlone. Modułowe miasteczka stanęły we Lwowie wiosną dzięki współpracy ukraińskiego i polskiego rządu oraz rady miejskiej Lwowa. Właśnie powstały kolejne, na zimę. Ma być urządzone tak, żeby mieszkańcy w drodze do toalety, pralni czy jadalni nie musieli wychodzić na dwór.

Mieszkańcy codziennie otrzymują bezpłatne obiady. Płaci miasto. Od państwa przesiedleni otrzymują tylko świadczenie socjalne – 2 tysiące hrywien (nieco ponad 200 złotych) miesięcznie dorośli, 3 tysiące (nieco ponad 300 złotych) dzieci i osoby z niepełnosprawnościami.

300 budynków

*trzeba odbudować w Buczy,
w tym obiekty największych
płatników podatków
do lokalnego budżetu:
hipermarketu budowlanego,
supermarketu, McDonalda*

– W trzech takich miasteczkach mieszka dziś 900 osób wewnętrznie przesiedlonych – wylicza naczelnik wydziału ochrony socjalnej Ihor Kobryn. – Ogólnie mamy zarejestrowanych 111,5 tysiąca takich osób. Większość się zaadaptowała i daje sobie radę na własną rękę.

– Na początku inwazji, w marcu, kwietniu, panowała panika – wspomina Ihor. – Ludzie nie wiedzieli, gdzie się podziać, gdzie przenocować. W marcu tylko przez dworzec we Lwowie przewijało się 60 tysięcy osób. Kierowaliśmy ich do miejsc schronienia, a tych mieliśmy 500. Teraz mamy około 50.

Rostysław Łyba, administrator miasteczka modułowego Mariapolis, opowiada, że przede wszystkim kierowane są tutaj wielodzietne rodziny, kobiety w ciąży, osoby starsze czy z niepełnosprawnościami, czyli ci, którym trudno jest samodzielnie przystosować się w nowym miejscu. – Nasze miasteczko jest jak żywy organizm: jedni się zaadaptowali, próbują znaleźć pracę, wynająć mieszkanie i w ten sposób dać innym przyjeźdnym szansę na to, by też mogli się ogarnąć i ruszyć dalej.

Są tacy, którzy zostają na dłużej. Trzydziestodwuletnia Hanna Kutiepowa z Łysyczańska w obwodzie ługańskim, nauczycielka, mieszka tu od pół roku.

Nie zamierzała szukać pracy. Przeżyła ostrzał i ewakuację, po czym jej i tak słabe zdrowie (choruje na cukrzycę typu 1) do reszty się popsuło. Powoli zaczęła jednak dochodzić do siebie. A praca, śmieje się Hanna, znalazła ją sama – w tym samym modułowym miasteczku, w którym zamieszkała razem z dwójką dzieci i matką: – Kiedy rodzice musieli a to wypełnić dokumenty, a to pójść na rozmowę o pracę czy załatwić jakieś inne pilne sprawy, na przykład pojechać do szpitala, okazało się, że bardzo trudno jest znaleźć dziecku miejsce

w przedszkolu. Dlatego postanowiliśmy otworzyć grupę krótkoterminowej opieki, która działa cztery godziny dziennie.

Grupa dzieci, które ma pod opieką Hanna, jest przypisana do przedszkola, w którym ona jest zarejestrowana jako pracownica. Miejsce pracy Hanny znajduje się jednak w największym module. Po jednej stronie stoją ławy i stoły, lodówki, kucharki elektryczne, gdzie dwie kobiety właśnie przygotowują posiłek. Na drugim końcu jest strefa zabaw dla dzieci. To „przedszkole” Hanny. Tu bawi się z dziećmi, robi wyćinanki, maluje, wykleja. Teraz przygotowują się do świąt. Na oknach modułu wymalowali już wszelkiego rodzaju choinki, anioły, zabawki, uczą się kolęd i świątecznych pozdrowień.

– W tym roku – mówi Hanna – przyjdzie do nas Mikołaj. Dziadek Mróz i Śnieżynka – nie. Dlaczego dzieci nie czekają na tę tradycyjną dwójkę? Hanna tłumaczy, że to postaci „z przeszłości”, związane z „ruskim mirem”, więc nie są tu mile widziane.

Hanna nie snuje planów. Śledzi wiadomości z Łysyczańska i czeka na wywołanie. Jednak czy będzie dokąd wracać, czy jej dom jeszcze stoi, czy go nie splądrowali – tego, wzdycha smutno Hanna, nie wie.

W Ukrainie jest blisko 7 milionów wewnętrznie przesiedlonych osób – podała pod koniec listopada Iryna Wereszczuk, wicepremierka i ministerka ds. reintegracji tymczasowo okupowanych terytoriów Ukrainy. A będzie ich przybywało. Linia frontu często się zmienia, a Rosja wciąż ostrzeliwuje obiekty infrastruktury krytycznej.

Ze względu na niskie temperatury w niektórych wieżowcach w Kijowie już spuszcza wodę z instalacji, aby nie zamrzła i nie rozsądziła rur. Ukraińcy wykupują odzież termiczną, koldry, śpiwory, a nawet namioty, żeby dać się spędzić zimę w nieogrzewanych mieszkaniach. Ludzie kleją kotły samoróbki na paliwo stałe, stawiają murowane piece na podwórkach budynków wielorodzinnych. Zaopatrują się w latarki, akumulatory do zasilania kotłów gazowych, komputerów, komórek. I żartują, że są mistrzami przetrwania. Nadal chodzą do pracy, odbudowują miasto, prowadzą firmy.

Ostatnio do przeciągłego dźwięku syren, do których ukraińskie ucho już przywykło, dołączyły nowe dźwięki – generatorów. Terkoczą jak karabiny maszynowe, przypominając, że Rosja prowadzi bezlitosną wojnę także na froncie ekonomicznym. Tam, gdzie słychać generator, kipi życie: jest prąd, jest wi-fi, jest ciepło. Nawet w bombardowanym do niedawna Charkowie działają salony piękności i kliniki stomatologiczne.

W całym kraju restauracje i kawiarnie są dziś nie tylko miejscami relaksu, gdzie można coś zjeść i umówić się na randkę – teraz można stamtąd się uczyć albo pracować.

Gdy świat przygotowuje się do Bożego Narodzenia, a ulice i domy są już ozdobione girlandami świateł, Ukraina przygotowuje się, by zamienić się w jeden wielki Punkt Niezłomności i przetrwać tę zimę. ●

Z ukraińskiego przełożył **Jacek Świąder**



34Z3718

Po ile dzisiaj mięso armatnie?

Kreml po bombę atomową nie sięgnie. Tylu jest jeszcze chłopaków do wzięcia

Jerofiejew*

Na rosyjskim rynku zbrojeniowym mięso armatnie jest coraz tańsze. Świadczy o tym zwłaszcza afera związana z listem żołnierzy brygady piechoty morskiej z Dalekiego Wschodu do gubernatora Kraju Nadmorskiego. To rozpaczliwy i poruszający dokument, którego autorzy donoszą o wielkich stratach poniesionych w Donbasie. Miał duży oddźwięk w Rosji, zareagowali ludzie o bardzo różnych poglądach. Bo i trudno nie zareagować i obserwować beznamietnie, jak tanie stało się życie ludzi zamienionych w mięso armatnie.

Żołnierze ci obwiniają o straty ludzkie (i w sprzeczcie) dwóch konkretnych generałów, którzy pchnęli ich do „starannie zaplanowanej” (czytaj: bezcelowej) ofensywy z myślą o nagrodach i wdzięczności wyższego dowództwa. W ciągu czterech dni brygada straciła 300 ludzi: zabitych, rannych i zaginionych.

List napisany jest z błędami gramatycznymi i interpunkcyjnymi, co świadczy raczej o jego autentyczności niż o umiejętnym naśladowaniu stylu ludzi niezbyt piśmiennych. Ale gubernator

Mięso jest tu słowem kluczowym. Mięso nie ma podmiotowości, ale uświadomienie sobie, że jest się mięsem, to właśnie zyskanie podmiotowości, niezależnej od opinii przełożonych.

(List, nawiasem mówiąc, zawiera niepoprawną politycznie aluzję, że owi dwaj generałowie, którzy posłali żołnierzy pod ogień, nie są narodowości rosyjskiej; ta „międzyzniczna” szczelina może się poszerzać. W prowadzącej wojnę armii jest też jeszcze jedna, tym razem związana z wiekiem rysa. Poborowi skarżą się, że dowodzą nimi bardzo młodzi, 23-letni oficerowie, którzy mają nieporównywalnie mniejsze doświadczenie życiowe niż wielu zmobilizowanych rezerwistów. A do tego posyła się na front skazanych na długoletnie wyroki przestępców czy morderców, co może prowadzić do rozmaitych zaburzeń w armii).

Wojna jest m.in. grą w arytmetykę.

W miejsce 300 ofiar władze Kraju Nadmorskiego wstawiły 30, a ministerstwo obrony zadeklarowało straty w wysokości zaledwie jednego procentu żołnierzy, co by znaczyło, że ofiary śmiertelne były tylko trzy. W ten sposób ilość mięsa armatniego została w raportach

ca wielu już od czasów sowieckich (sam pamiętam potworną mieszanię chamstwa i wulgarnego humoru), a teraz przeraża myśl, jakich nieludzkich cech nabędą setki tysięcy zmobilizowanych, jeśli w ogóle wrócą cało do domu. Będą to zupełnie inni ludzie, niż byli przed wojną. Ale nawet jeśli wielu rosyjskich mężczyzn idzie teraz do wojaka dość chętnie (co dziwi naszych liberałów), kierując się swego rodzaju męską solidarnością, przeżywaną w surowych warunkach życia pod namiotem wśród jesiennych deszczów, to chęć zabijania, a tym bardziej bycia zabitym, jest wśród chłopaków w różnym wieku minimalna.

300 tys. mężczyzn poszło na wojnę, a 400 tys. uciekło z kraju od ogłoszenia mobilizacji. Oczywiście w oczach wojska to dezertery. Jednych i drugich pogodziłaby tylko porażka, ale do niej Putin nie jest przygotowany. Jest „nastawiony” na zwycięstwo i będzie o nie walczył do końca.

Władze mają teraz w rezerwie sporą ilość taniego mięsa armatniego, a jeśli mobilizacja nie pozwoli osiągnąć celu, jakim jest przejście inicjatywy wojskowej od Ukraińców, Kreml będzie

two będzie postawić kraj na nogi: Rosja dopiero co wyzwoliła się z sowieckiego totalitaryzmu, a teraz ma przebudować świat według jakichś własnych niejasnych kanonów, co prowadzi do śmierci mieszkańców obu krajów.

Jeśli wierzyć Kremlowi, „specoperacja” w Ukrainie przebiega zgodnie z planem. Najwyraźniej list straukturyzmowanych żołnierzy i wycofanie wojsk spod Kijowa, a ostatnio spod Chersońska są w nim z góry uwzględnione. W sumie, jak w starej francuskiej piosence, „Tout va très bien, Madame la Marquise” [„Wszystko w porządku, pani markizo” – wbrew nieszczęściom, które się dzieją], zwycięstwo Putina jest tuż-tuż.

Mięso armatnie to nie tylko fizyczne, ale też moralne straty. Wojna psuje ludzi. Ta straszna wojna sąsiadujących ze sobą narodów musi się oczywiście kiedyś skończyć i rozumiem tych licznych Europejczyków, a zwłaszcza Niemców, którzy pragną, aby się zakończyła jak najszybciej i aby mięso armatnie przemieniło się znowu w normalne ludzkie istoty. Jednak interesy putinowskiej Rosji i Ukrainy są całkowicie sprzeczne.

Rosja, mimo strat, będzie przeć w kierunku Odessy i Naddniestrza, dążąc do odcięcia Ukrainy od Morza Czarnego, co jest w istocie zemstą za ukraińską wolność i czymś nie do przyjęcia dla Ukrainy. Zniszczenie infrastruktury krytycznej Ukrainy, pogrążenie jej w ciemnościach jest, jak to miało miejsce w Czeczenii, a potem w Gruzji, sposobem wymuszenia zawieszenia broni, niezbędnym Rosji do kontynuowania wojny o jak najpełniejszy podbój Ukrainy. A żądanie Ukrainy, by Rosja oddała jej Donbas i Krym, a także te terytoria, które zdążyła ogłosić na zawsze swoimi, nie będzie odpowiadać Rosji.

Jedynym wyjściem dającym szansę na pokój jest przejście Putina na emeryturę, bo to jego wojna i nikt poza nim, nawet jego służby bezpieczeństwa (z nielicznymi wyjątkami), nie zamierzał przerobić rosyjskich obywateli na mięso armatnie. Ale to, że dowódcy walczą teraz o nagrody i nowe gwiazdki na naramiennikach, wykorzystując do tego celu owo „mięso”, to dehumanizacja, która zagraża całemu cywilizowanemu światu. ●

przeł. arp



***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść **„Różowa mysz”** (Wyd. Agora).



• **Propagandowa ceremonia w Tiumeniu – zmobilizowani wyruszają na front**

FOT. AP

tor szybko zasugerował, że to wrzutka ukraińskich służb. Cóż, trzeba by być wielkim filologiem, żeby stworzyć taką niepowtarzalną wrzutkę.

Jednak nie o to nawet chodzi. Sam list można określić jako nieśmiały na razie bunt, daleki odgłos gromu. Nie ma charakteru politycznego, przejawia się w nim za to naiwny patriotyzm, a raczej wiara w najwyższą władzę, która nie może się mylić. Ale historia I wojny światowej i późniejszych rewolucji przypomina, że nawet w Rosji, gdzie ludzie są wytresowani do posłuszeństwa i rządzeni strachem, możliwa jest nieoczekiwana, radykalna zmiana reżimu: rewolucja lutowa w 1917 r. zaczęła się jako bunt przeciwko brakowi chleba w Piotrogradzie.

Innymi słowy, list żołnierzy piechoty morskiej, którzy znaleźli się pod huraganowym ogniem wojsk ukraińskich, krytykuje pośrednie szczeble dowódcze, ale ta krytyka może narastać w miarę kolejnych strat, błędów i porażek. List jest szczególnie ostry dla generałów, którzy „uważają ludzi za mięso”.

drastycznie ograniczona. Ponadto w telewizji pokazano kilku żołnierzy piechoty morskiej w kominiarkach – powątpiewali w liczbę ofiar. Dobra robota, propagando!

Prawda, na wojnie to nic nowego, zawsze i wszędzie władze wojskowe tak postępują, ale wojna rosyjsko-ukraińska jest inna niż te dawniejsze, widać ją jak na dłoni; jeśli cokolwiek da się ukryć, to na krótko.

Ogłoszona przez Putina częściowa mobilizacja sprawiła, że jego „specjalna operacja wojskowa” przerodziła się w wojnę całego narodu. Każda rodzina została dotknięta. Nawet mojego 66-letniego brata Andrieja odwiedziła policja, ale sobie poszła, bo wiek już nie ten. Mnóstwo jest propagandowych fałszerstw na temat wojny; zarazem każde wystąpienie antywojenne państwo uznaje za fałszerstwo. Jednak nawet twardy elektorat Putina nie czuje w sobie poważnej ideologicznej motywacji, by iść na front.

Chamska i często nieludzka narracja komisarzy wojskowych odrzu-

miał w rezerwie bombę atomową. Jednak do użycia tej bomby jest daleko, „mięso” nie zostało jeszcze zużyte. Ale władze nie mogą zamykać oczu na bunt matek i żon, które straciły kontakt z bliskimi, na podpalanie biur poboru i inne spontaniczne protesty.

O ile przed mobilizacją funkcjonowała armia kontraktowa, w której straty były niejako zapisane w umowach zawieranych przez żołnierzy, o tyle teraz trudno zataić śmierć lub rany odniesione przez zmobilizowanych. A reakcją na zamykanie trumien będzie naturalne oburzenie krewnych, nawet jeśli są lojalnymi obywatelami. Mobilizacja to miecz obosieczny: jest więcej żołnierzy na froncie i więcej społecznego przyzwolenia na kampanię wojskową, ale będzie też więcej publicznej kontroli nad nią.

Współczuję ogromnej liczbie zmobilizowanych ludzi, których wojna okaleczy, choć można powiedzieć: to ich wina, bo dopuścili do wojny z Ukrainą, wybierając nieprzerwanie Putina na prezydenta. Do tego po wojnie nieła-

Biało-czerwona Czarna Pantera

Jest lekka i zwinna, pływa, nurkuje, trzyma na dystans, ewoluuje na życzenie, robi „siad” na komendę.
Dobrze wychowany drapieżnik

infografika **Wawrzyniec Świącicki**

K2 Black Panther został opracowany przez południowokoreański koncern Hyundai Rotem, który od 40 lat zajmuje się produkcją czołgów podstawowych dostosowanych do potrzeb koreańskiego teatru działań, w szczególności trudnym terenie.

Jest to nowoczesny czołg generacji 3+ pod wieloma względami zbliżony do francuskiego czołgu Leclerc. Co ważne, jest zgodny ze standardem NATO Generic Vehicle Architecture, co ułatwia wprowadzanie usprawnień w całym cyklu życia pojazdu i dostosowanie go do specyficznych wymagań użytkownika.

Polska podpisała kontrakt na 180 wozów w standardzie koreańskim, które mają być dostarczone do końca 2025 r.

W dalszej kolejności przewidywana jest produkcja 820 czołgów w spolonizowanej wersji K2PL przez polsko-koreańskie konsorcjum PGZ-Hyundai Rotem.

UZBROJENIE

- Armata Hyundai WIA CN08 kalibru 120 mm długości lufy 55 kalibrów (polskie leopardy i abramsy M1A1 mają lufy o długości 44 kalibrów). Istotna jest możliwość przejścia z armaty 120 mm na armatę kalibru 140 mm. Czołg jest wyposażony w wydajne napędy i układy stabilizacji uzbrojenia.
- Sprężony karabin maszynowy K12 kaliber 7,62 mm.
- Ciężki karabin maszynowy K-6 kalibru 12,7 mm.
- System kierowania ogniem w trybie hunter-killer (nowoczesny system celowania w połączeniu z radarem, który pozwala skupiać się na celu oddalonym o prawie 10 km). Może przetwarzać informacje z czujników i kamer (o zasięgu 360°) i autonomicznie wyszukiwać, rozpoznawać i śledzić cele.

Armata 120 mm
długości 55 kalibrów

W prawej przedniej części kadłuba obok stanowiska kierowcy zlokalizowany jest **regał z amunicją II rzutu**. Jest on chroniony dodatkowym pancerzem aktywnym typu ERA

SYSTEM OCHRONY

- Standardowo K2 są wyposażone w **warstwowy pancerz kompozytowy** oraz **aktywny pancerz typu ERA** (Explosive Reactive Armour) w postaci ładunków, które po trafieniu pociskiem przeciwnika wybuchają, osłabiając jego pęd.
- Grubość pancerza kompozytowego:** przednia część wieży – od 900 do 1000 mm, przednia część korpusu – od 700 do 800 mm, bok wieży – od 300 do 400 mm.
- Mają też nowoczesny **system ochrony aktywnej typu soft-kill** zakłócający systemy naprowadzania wrogich pocisków przeciwpancernych i w przypadku ataku uruchamiający zastonę dymną za pomocą **multispektralnych granatów typu VIRSS** (Visual and Infrared Screening Smoke) maskujących sygnatury optyczne, termiczne i radarowe.
- Dodatkową opcją jest uzbrojenie w **system typu hard-kill (KAPS)**, który niszczy nadlatujący pocisk przeciw pociskami tworzącymi chmurę odłamków.

Karabin maszynowy kalibru 12,7 mm obsługiwany przez dowódcę czołgu

4 głowice detekcyjne (LWR) wykrywające wiązkę laserową dalmierzy
2 razy po 6 wyrzutni granatów dymnych

Radar systemu ostrzegania o zbliżaniu się pocisków raketowych (MAWS)

Właz kierowcy umieszczony jest na lewo od osi pojazdu, co trochę utrudnia manewrowanie nim. By umożliwić korzystanie z włazu, konieczne było podniesienie dolnej krawędzi przedniego pancerza wieży.

ŚWIADOMOŚĆ SYTUACYJNA ZAŁOGI

- System wymiany danych **C4** (Command, Control, Communication, Computer).
- IVIS** (Inter-Vehicular Information System) dostarcza w czasie rzeczywistym informacji o dokładnym położeniu pojazdów własnych i przeciwnika.
- System swój-obcy (IFF).
- System nawigacyjny **GPS**.
- System ochrony **ABC**.
- System obserwacji dookólnej.
- Dwa niezależne systemy celownicze dla działonowego i dowódcy (dzień, noc, kamera termowizyjna).

AMUNICJA

- Czołg ma **automat ładowania z mechanicznym magazynem amunicji** zawierającym 16 pocisków, oddzielnym od przedziału załogi pancerną płytą i wyposażonym w panel wydmuchujący uwalniający ciśnienie w przypadku eksplozji amunicji. Dodatkowe 24 pociski znajdują się na regale amunicyjnym w kadłubie na prawo od stanowiska kierowcy. Dzięki takiemu rozwiązaniu czołg jest mniejszy i lżejszy od starszych konstrukcji, a załoga liczy tylko trzech żołnierzy.
- K2 strzela pociskami **przeciwpancernymi K276** oraz **kumulacyjnymi K277**.
- Możliwe jest stosowanie **pocisków kierowanych** typu top-attack **KSTAM** (Korean Smart Top-Attack Munition) o zasięgu 2-8 km.



Zestaw do głębokiego brodzenia

Wyrzutnia multispektralnych granatów dymnych typu VIRSS (system soft-kill)

Wysokoprężny silnik Doosan DST o mocy 1500 KM (27 KM/t)

Tylna głowica detekcyjna (LWR)

W pełni automatyczna skrzynia biegów obejmuje pięć biegów do przodu i trzy biegi wsteczne

Aktywny pancerz typu ERA

Półaktywne zawieszenie hydropneumatyczne ISU (In-arm Suspension Unit) zapewnia dobrą manewrowość i regulację prześwitu. Dzięki indywidualnemu sterowaniu zawieszeniem każdego koła pozwala czołgowi „ukłęknąć” tak, by można było obniżyć armatę do -10 stopni

komin doprowadzający powietrze



CZOŁG PODWODNY

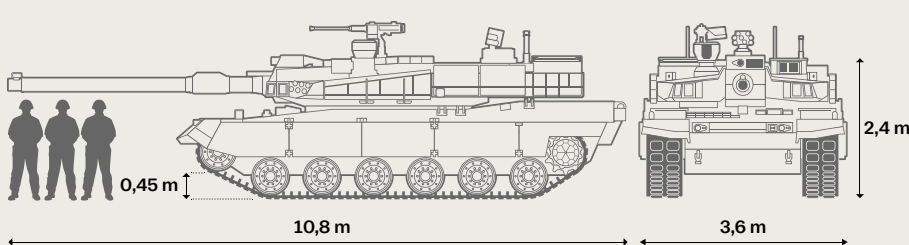
K2 może forsować po dnie szerokie **przeszkody wodne o głębokości 4-5 m** na podobnej zasadzie jak leopardy. Ale w przeciwieństwie do leopardów każda Czarna Pantera wozi ze sobą zestaw do głębokiego brodzenia. Pełni on funkcję kanału doprowadzającego powietrze oraz kiosku dla dowódcy. **Przygotowanie systemu zajmuje około 30 minut**. Wieża jest całkowicie wodoszczelna. Podwozie można napętnić 1900 l wody, aby zredukować siłę wyporu powietrza wewnątrz pojazdu i zapewnić mocne oparcie gąsienic na dnie. Czołg może wejść w stan gotowości bojowej bezpośrednio po wyjechaniu na ląd.

PANCERNY AKROBATA

Zaawansowany system **półaktywnego zawieszenia hydropneumatycznego ISU** (In-arm Suspension Unit) zainstalowany na każdym kole zapewnia K2 rzadko spotykaną mobilność. Czarna Pantera może nie tylko „usiąść” (zmniejszyć prześwit), „wstać” (zwiększyć prześwit) lub „ukłęknąć” (obniżyć przód i podnieść tył wozu), ale także przechylać się na boki. Zmniejszenie prześwitu pozwala obniżyć profil czołgu, ułatwiając ukrycie za naturalnymi przeszkodami lub, w razie wykrycia, utrudniając przeciwnikowi trafienie. Zapewnia również lepsze prowadzenie pojazdu na drodze. Zwiększenie prześwitu daje lepszą zwrotność w trudnym terenie i poprawia widoczność. Przechył do przodu lub do tyłu zwiększa kąt, pod jakim lufa czołgu może się podnieść lub opuścić, co pozwala strzelać z głównego działa w dół. To coś, co potrafi bardzo niewiele czołgów.

Prześwit może być regulowany w zakresie 0,15–0,55 m.

PARAMETRY TECHNICZNE



- masa bojowa **55 ton**
- prędkość maksymalna na bitych drogach **70 km/h**
- prędkość maksymalna w terenie **48 km/h**
- przyspieszenie od 0 do 32 km/h **7 s**
- zasięg na jednym baku **450 km**

- maksymalne nachylenie podjazdu **31 stopni**
- maksymalny przechył boczny **15 stopni**
- maksymalna szerokość rowu **2,75 m**
- pokonywanie przeszkód pionowych **1,3 m**
- maksymalna głębokość brodzenia **4-5 m**

- kaliber **120 mm**
- liczba pocisków **40**
- zasięg pocisków KSTAM **2-8 km**
- szybkostrzelność maksymalna **10 strz./min**
- cena **8,3 mln dol.**

FOT. NATHAN HOWARD/AP



Z SIDNEYEM BLUMENTHALEM*
ROZMAWIA BARTOSZ KIELAK

Ostatnie lata naderwały nasz podziw dla amerykańskiej demokracji za jej zdolność samouleczenia i pokojowego przekazania władzy. Listopadowe półkowe wybory do Kongresu przywracają tę wiarę?

– Te wybory były tak naprawdę referendum w sprawie Wielkiego Kłamstwa, czyli teorii spiskowej głoszącej, że Trump wygrał w 2020 roku, a Biden ukradł mu zwycięstwo. Ich wynik – czyli niewielkie straty Partii Demokratycznej w Izbie Reprezentantów i jej sukces w Senacie – jest czymś wyjątkowym i zaskakującym, bo zazwyczaj wybory półkowe są demonstracją sprzeciwu wobec aktualnego prezydenta i partii rządzącej. A tymczasem mimo nawarstwienia negatywnych zjawisk, w tym wysokiej inflacji i przestępczości, Demokraci przetrwali.

To koniec rządu dusz Trumpa?

– To nie jest koniec Trumpa i trumpizmu, tylko porażka. Media lubią dramatyczne, radykalne narracje, dlatego najpierw umacniały nas w przekonaniu, że zbliża się czerwona fala i druzgoczące zwycięstwo Republikanów, teraz przekonują, że Trump się skończył. To zwodniczy pogląd, który nie odzwierciedla faktów. Ten wirus głęboko zainfekował Partię Republikańską. Mówi się, że umiarkowana większość Republikanów jest zakładnikami Trumpa i jego wiernych wyborców, ale pamiętajmy, że większość republikańskich polityków podważa wygraną Bidena.

A teraz Republikanie zdobyli może niewielką, ale jednak kontrolę nad Izbą Reprezentantów, zyskując między innymi wpływ na zakres zainteresowań i kształt komisji śledczych. Szef Freedom Caucus, lojalnego wobec Trumpa koła parlamentarnego, zostanie prezesem komisji ds. sądownictwa. To znak, co Republikanie mają w zanadrzu.

Co więc zyskał Biden?

– Po pierwsze, gdyby Republikanie odzyskali Senat, mogliby blokować – wzorem Mitcha McConnella, byłego przewodniczącego Senatu, który najbardziej dumny jest z zablokowania kandydatury Merricka Garlanda, obecnego prokuratora generalnego, do Sądu Najwyższego – każdego z sędziów federalnych nominowanych przez Bidena. Teraz Biden przepchnie wszystkich. Nawet jeśli nie będzie w stanie reali-

TRUMP SZYKUJE JATKĘ

Krajobraz amerykańskiej polityki ukształtuje inflacja

zować swojego programu w takim stopniu jak wtedy, gdy Demokraci kontrolowali Izbę, te nominacje sędziowskie są absolutnie kluczowe.

Po drugie, ten wynik wzmacnia Bidena we własnej partii. Demokraci krzywo patrzyli na jego kandydaturę w nadchodzącym wyścigu prezydenckim, wielu wolałoby młodszego kandydata, ale jeśli Biden ogłosi, że startuje – jak podejrzewam, na wiosnę 2023 roku – byłbym w szoku, gdyby wyrosła mu wewnętrzna konkurencja.

A po trzecie, wynik tych wyborów to znak, że Stany Zjednoczone pozostaną pozytywną siłą w stosunkach międzynarodowych, szczególnie we wsparciu Ukrainy. Jeszcze miesiąc temu, gdy nad wszystkim wisiał cień Trumpa, panowało przeświadczenie, że Ameryka jest niestabilna, nie można na niej polegać. Putin też na to liczył – jeśli nie na wycofa-

nie wsparcia militarnego, to na złamanie jedności Zachodu zimą. Trump dałby Rosji wolną rękę, a prawda jest taka, że wciąż do końca nie zbadaliśmy jego relacji z Kremlm.

Trump ma wiele za uszami i niewątpliwie czuje słabość do Putina, jest łasy na pochlebstwa i naiwny, ale wiarygodność Steele'a – byłego kierownika w MI6 pracującego dla firmy wywiadowczej opłacanej przez sztab Demokratów – jest podważana. Nie tylko przez Republikanów.

– Nigdy nie poznałem Christophera Steele'a i nie opieram się tylko na jego słowach. Niezależnie od rewelacji Steele'a istnieją setki udokumentowanych kontaktów pomiędzy sztabem Trumpa a Rosjanami. Uważam, że Putin odegrał kluczową rolę w wyborze Trumpa na prezydenta poprzez ataki hakerskie, szeroko zakrojone użycie botów, sponsorowanie dezinformacji. Rosjanie napuścili na siebie Amerykanów, bo w ich interesie była wygrana Trumpa.

Tak więc wynik listopadowych wyborów oznacza, że pomoc dla Ukrainy będzie płynąć dalej, co ma szerszy kontekst niż tylko jej przetrwanie. Ta wojna ożywiła zachodnie sojusze i związek Stanów Zjednoczonych z Europą, pokazała konieczność istnienia transatlantyckiego sojuszu. To, co widzimy, to świt nowej epoki, tylko jeszcze nie znamy jej kształtu.

Co nie zmienia faktu, że o prezydenturę w 2024 roku powalczą Biden i właśnie Trump?

– Trump może zostać postawiony w stan oskarżenia w wielu jurysdykcjach, jest podejrzany o wiele przestępstw, nie tylko ściśle państwowych. Nie wiemy, jak zareagują na to jego wyborcy. Wielu na pewno utwierdzi się w przekonaniu, że to prześladowanie ich idola, i skonsoliduje się wokół niego. Na postawieniu eksprezydenta przed sądem mógłby zyskać Ron DeSantis, gubernator Florydy, niegdysiejszy ulubieniec Trumpa, a obecnie jego rywal, na którego orientuje się wielu Republikanów i który cieszy się poparciem poważnych donatorów – ale DeSantis nie ma doświadczenia na szczeblu krajowym, no i brakuje mu tego, co ma Trump, czyli charyzmy, komediowego sarkazmu, prostej dobitności sloganu.

Ktokolwiek wystartuje przeciwko Trumpowi, skończy we krwi. Odczuje ciężar niechęci trumpistów, zostanie okrzyknięty zdrajcą, sprzedawczykiem. Cena za rzucenie wyzwania Trumpowi jest wysoka. Niemniej jeśli Trump zostanie zamordowany politycznie przed 2024 rokiem, to z ręki republikanina, a nie demokraty.

A dla Demokratów DeSantis, zachwianie pozycji Trumpa i ciężka wewnętrzna walka przedwyborcza, jaka czeka Republikanów, nim spotkają się w wyborach prezydenckich z kandydatem „niebieskich”, to prezent zesłany z nieba.

A co, jeśli Biden jednak nie podejmie się kolejnej kampanii prezydenckiej? Niektórzy spoglądają z nadzieją na Beto O'Rourke'a w Teksasie, ale on, choć progresywny i sympatyczny, na razie jest seryjnym przegranym. A wiceprezydentka Kamala Harris, przed wyborami 2020 okrzyknięta nadzieją i przyszłością Demokratów, w ostatnich miesiącach jest niewidoczna.

– Krajobraz polityczny jutra ukształtuje inflacja. Do przyszłego lata powinna znacznie spaść w Stanach Zjednoczonych. A jednocześnie nadciąga nowe pokolenie polityków, wielu wybranych właśnie w listopadowych wyborach, również spośród gubernatorów stanowych.

Gretchen Whitmer z Michigan, Wes Moore z Maryland, J.B. Pritzker z Illinois, z bardziej rozpoznawalnych w Europie jest Gavin Newsom, gubernator Kalifornii. Demokraci mają na ławce wielu rezerwowych i jeśli Biden się nie zdecyduje, bez trudu wyłonią nowego kandydata. ●



***Sidney Blumenthal**

• ur. w 1948 r., jeden z najważniejszych amerykańskich komentatorów politycznych. Jako reporter pracował m.in. dla „Vanity Fair” i „New Yorkera”, rzucił media, by zostać jednym z głównych doradców Billa Clintona, któremu pomógł doprowadzić do porozumienia kończącego wojnę domową w Irlandii Północnej. Doradzał Hillary Clinton w prawyborach prezydenckich Demokratów w 2008 r. Po stronie Demokratów jest odpowiednikiem republikańskich spin doktorów harcowników – przypisuje mu się rozpowszechnienie pogłosek o nieamerykańskim pochodzeniu Obamy, co miało pomóc Hillary w prawyborach, niejasna jest jego rola w ujawnieniu tzw. akt Steele'a, które stały się fundamentem oskarżeń Trumpa o konszachty z Rosjanami

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

NIEKTÓRYM NIE WYBACZĘ



**Ostatni uścisk ręki
ojca w cieniu brzozy,
na granicy miasta,
pozostał w moim ojcu
do końca życia**

Z PROF. **PAWŁEM
ŚPIEWAKIEM***, OJCEM
AKTYWISTY MIEJSKIEGO I
LEWICOWEGO DZIAŁACZA,
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Jak się pan czuje na emeryturze?

– Z jednej strony emerytura to zawsze trochę wyłączenie z normalnego życia, intensywnego, społecznie i zawodowo zaangażowanego. Przez wiele lat, kierując ważną instytucją, byłem w centrum różnych wydarzeń – to się skończyło, urwały się telefony, zaproszenia, zebrania. Z drugiej strony mam wreszcie więcej czasu dla siebie. Na kilka lat niemal zarzuciłem życie umysłowo-intelektualne. Teraz mogę powrócić do pisania, do książek, które wypełniają mieszkanie, do wykładów. Choć przyznam, czasami jestem głodny nawet drobnych ekscytacji związanych z działaniem.

Intelektualna samotność?

– Nie wiem, czybym to nazwał samotnością, bo zawsze praca intelektualna jest wpisana w jakiś rodzaj samotności czy osobności i dlatego ten okres wyznaczony COVID-em nie był dla większości moich przyjaciół pisarzy problemem – tak zawsze żyli: osobno, w samoizolacji, ciszy. Natomiast u mnie osobność wynika z ciekawości, która mną kieruje.

I co pana teraz ciekawi, w tym późnym okresie życia?

– Dużo rzeczy, ale jedna się wybiła na plan pierwszy: to próba połączenia mojej pasji biblijnej z filozofią polityki. To spotkanie dosyć trudne, właściwie jest nieznanne w Polsce. Jego efektem jest książka o królu Dawidzie, o królu, polityku, kimś, kto pojawia się znikąd, przejmując władzę i wyznacza dzieje Izraela. Jest tak podobny do księcia Machiavellego. Jest wielkim nauczycielem polityki. To wielki temat dla całej filozofii politycznej.

A teraz zaczął mnie bardzo interesować problem wybaczenia.

***Prof. Paweł
Śpiewak**

• ur. w 1951 r., socjolog, profesor na UW, członek Kolegium Społecznego w Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”, przez wiele lat był dyrektorem Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. W PRL członek „Solidarności”, współzaskładał drugoobiegowy liberalny kwartalnik „Res Publica”. W latach 2005-07 poseł PO. Autor książek „Gramsci”, „Ideologie i obywatele”, „Obietnice demokracji”, „Pięć ksiąg Tory. Komentarze”, „Pamięć po komunizmie”, „Midrasze: księga nad księgami” i głośnej „Żydokomuny”. Ojciec znanego aktywisty miejskiego i lewicowego działacza Jana Śpiewaka.

Od czego się zaczęło?

– Od czytania Księgi Jonasza. Podstawowe przesłanie Księgi oczywiście znamy – wbrew sobie samemu prorok jedzie nawrócić miasto Niniwa. Zapowiada jego zniszczenie, jeśli lud nie zdobędzie się na skruchę. Księga została z czasem włączona w popołudniową modlitwę dnia pojednania i rozgrzeszenia Jom Kippur.

Pytanie o wybaczenie jest obecne w wielkich religiach europejskich – judaizmie i chrześcijaństwie. Drugą stroną wybaczenia jest pytanie o niewybaczalne. Mnie interesuje, czy jest coś, czego wybaczyć nie sposób. Czy i gdzie są te granice postawy międzyludzkiej, społecznej, a trochę religijnej, gdzie natrafiamy na mur bezsilności.

Kiedy myślę o tym, to mam w głowie kilku autorów – jednym jest wspaniały eseista niemieckojęzyczny Jean Améry, żydowskiego pochodzenia, który po anshlusie Austrii znalazł się w Belgii, tam trafił do ruchu oporu. Został aresztowany, torturowany, a potem zesłany do Auschwitz – przeżył i popelnił po latach samobójstwo, jak zresztą wielu więźniów. Zostało po nim niewiele tekstów, ale bardzo ważnych, z których jeden dotyczy tego, co nazywa re-sentymentem. Czyli w tym wypadku odmową pogodzenia się, wybaczenia. Ten sam temat podejmowali francuski filozof Vladimir Jankélévitch czy wielki włoski pisarz Primo Levi, też więzień Auschwitz. Czy to jest dla pani interesujące?

Proszę kontynuować, profesorze.

– Inspiracją był dla mnie esej Szymona Wiesenthala, który przez lata prowadził centrum poszukiwania zbrodniarzy hitlerowskich. „Słonecznik” to osobiste wspomnienie z okresu, gdy był więźniem obozu janowskiego we Lwowie. Przypadkiem trafił do szpitala, gdzie zajmował się usuwaniem odpadów, starych bandażi itd. Pielęgniarka zaciągnęła go do umierającego esesmana. Ten chłopak brał udział w mordowaniu Żydów w Ukrainie, opowiadał, trzęsąc się z przerażenia i bólu. Chciał, żeby właśnie Żyd go wysłuchał i pojednał z losem czy Bogiem. Wiesenthal wysłuchał całej spowiedzi i wyszedł bez słowa. Wieczorem wrócił do baraku. Tam przyjacielowi, bardzo religijnemu, opowiedział wszystko. Jasek na to: „Nie miałeś prawa wybaczyć. Nie w twojej mocy było wybaczenie zbrodni, których nie ty byłeś ofiarą”.

Wiesenthal dostał od esesmana adres rodziny. Po wojnie pojechał do Stuttgartu, spotkał jego matkę. To opowieść o tym, że w jakimś sensie ten esesman nie daje mu spokoju, Wiesenthal nie jest pogodzony z tym, że nie miał mu nic do powiedzenia, że nie był w stanie mu wybaczyć czy choćby pocieszyć.

Może zapomnienie to jakaś pragmatyczna forma wybaczenia.

– Dominuje przekonanie o konieczności wybaczenia, a przynajmniej pogodzenia z dawnymi prześladowcami. Czujemy nacisk, żebyśmy znaleźli jakieś porozumienie, żeby wyjść z zapiekłości, gniewu, porzucić chęć zemsty. To jest szczególnie obecne w tych

krajach, które przeżyły krwawe, niesprawiedliwe rządy. W Polsce Adam Michnik tuż po roku 1989 też mówił wiele o wybaczeniu, ten gest wydawał się dla niego oczywisty.

To się panu nie podobało?

– Oczywiście można pytać, gdzie kończy się wybaczenie, a gdzie zaczyna się kara albo czy wybaczenie znosi karę. Tak czy inaczej to pytanie powraca: czy musimy i możemy wybaczać? Czy możemy wybaczyć komuś, kto nie prosił o wybaczenie i nie okazał skruchy? Oczywiście to pytanie również o ład społeczny: czy możliwy jest ład, w którym element przemocy, resentymentu, urazu jest w nas obecny?

W sercu każdej religii jest wybaczenie. To element, który kształtuje nasze społeczeństwo, już nawet oderwane od religii, ukryty w naszej szeroko pojętej tradycji myślenia o drugim człowieku.

A dlaczego Szymon Wiesenthal pojechał do tej rodziny?

– To była nieudana rozmowa. Od tej kobiety dowiedział się, że jej mąż i ojciec tego esesmana nie pogodził się z wyborami syna. Na ścianie wisiał portret tego chłopaka. Matka miała nadzieję, że syn nie uczynił nic złego. Wiesenthal nic jej nie powiedział o Ukrainie.

Jest w Biblii zdanie: „Wybaczcie im, bo nie wiedzą, co czynią”. René Girard pisze, że ukrzyżowanie Jezusa to pierwsza historia, w której pojawia się idea, że zło dokonywane przez grupę ludzi wynika z ich nieświadomości. W ten sposób po dokonaniu nawet największej zbrodni jest dla człowieka i dla społeczeństwa szansa na powrót do ładu.

Ale mnie jakoś to nie przekonuje. Ci, którzy krzywdzili, może do końca nie rozumieli tego, co robią, niemniej robili rzeczy haniebne i o dramatycznych konsekwencjach. Przeczytałem bardzo dużo dokumentów o losach nie tylko ofiar, ale też katów. Dwie rzeczy mnie uderzyły. Po pierwsze, występuje pośród zbrodniarzy silna tendencja do samousprawiedliwiania. Że to nie oni, że to hierarchia, że to nacisk zewnętrzny, że władza ich zmuszała, że działali w zorganizowanym systemie. A po drugie, nie spotkałem się z przypadkiem, żeby ktokolwiek z tych ludzi okazał skruchę. Skrusza się pojawia tylko u osób, które nazywamy dzisiaj za Irit Amiel osmałonymi czy niedorozstrzelanymi, czyli tymi, które cudem przeżyły. Zostało w nich poczucie, że powinni byli pomóc, że może nie zrobili wszystkiego, że mogli kogoś uratować albo, najczęściej, że woleliby zginąć z najbliższymi.

Na Pawiaku jest drzewo z tabliczkami upamiętniającymi osoby, które tam zginęły. Pośród nich tabliczka Żyda, któremu na Pawiaku zabili żonę i dzieci. Podpisał się jako człowiek „o losie smętniejszym od losu Hioba” – ten, co przeżył wojnę, ale został złamany. To jest trochę los mojego ojca. Mam mówić dalej?

Poproszę.

– Jak wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, rodzice mu kazali uciekać na wschód. Ojciec go odprowadził do granic miasta, podał mu rękę i ten uścisk ręki w cieniu brzozy w nim pozostał do końca życia. Rodzice zginęli w getcie,

w małym miasteczku Zdobunów koło Równego. Ojciec żył w poczuciu, że nie był z rodzicami w najtrudniejszym czasie. Może mógłby ich ocalić? A może przeżyli? Pamiętam, że gdy widział na naszej uliczce jakichś starszych ludzi, biegł sprawdzić, czy to nie oni. Zaglądał do piwnicy. Może tam na niego czekają?

Więc nie chodzi tylko o wybaczenie innym, ale też o wybaczenie sobie, że ciebie tam nie było.

A stawiał się pan kiedyś na miejscu tego esesmana, który prosił o wybaczenie?

– Nie. Bo nie mogę siebie wyobrazić siebie jako człowieka, który strzela do wypadających z okien Żydów. Ja rozumiem, że ludzie, którzy popełnili dużo zła, mogą naprawdę cierpieć potem, straszliwie cierpieć. Każdy z nas popełnił jakieś rzeczy niemądre, a czasami po prostu złe, ale to nie jest tożsamość z zabijaniem, łamaniem podstawowego boskiego przykazania.

A jakie w takim razie pan zajął intelektualne stanowisko względem tego esesmana?

– Ja bym kierował się tutaj zasadą tego Joska, dlatego mnie denerwowała postawa Michnika. Istotą wybaczenia musi być skrucha – jeżeli nie ma skruchy, nie ma wybaczenia. Ten, kto nie wziął na siebie swej winy, nie podjął jakiegoś trudu chociażby zrozumienia tego, co się z nim stało, nie dotarł do ciemności, jakie w nim się kryją, nie pojął, dlaczego to robił, nie ma wybaczenia.

Jak żyć z tym, że się nie wybaczyło?

– To jakiś rodzaj wyroku dla osoby, której nie wybaczyliśmy. Odmawiamy jej pojednania ze światem, pogodzenia. Problem nie tylko jednostek, ale też narodów, często się o tym mówiło w kontekście Niemców – czy to naród, który może się pojednać sam ze sobą i odbudować moralną tkankę. Ale co ma zrobić osoba, która nie może tego wybaczenia udzielić? Hannah Arendt mówiła o zbrodniach, na które nawet nie ma właściwej kary.

Spodziewam się, że myśli pan o wybaczeniu całe życie, ale teraz, kiedy ma pan 71 lat, powstaje dodatkowy kontekst. Co innego nie wybaczać na początku życia, a co innego w późnym wieku. Czy można odejść, nie wybacząc. Czy to niewybaczenie będzie trwało nawet po mojej śmierci.

– Nieraz zdarza się, że umiera ktoś, komu nie możemy czegoś wybaczyć, i potem nosimy to w sobie. Cemu zadaję sobie taki ból? Może to rodzaj zemsty bezsilnego? Wybaczenie jest też zabiegiem psychologicznym na nas samych, bo daje poczucie spokoju, pogodzenia się, odnalezienia się w świecie. Ale są rzeczy, których nie daje się tak po prostu wybaczać. Możemy się wstydzić tego resentymentu, lecz jesteśmy pamięcią krzywd. Tych, które nam zadano, i tych, jakie uczyniliśmy innym.

Na takie prawdziwe moralne sytuacje nie ma łatwych odpowiedzi.

Niejedyn powiedziałby panu, żeby zadbał pan o spokój ducha, wewnętrzny komfort i w zwią-

ku z tym wybaczył dla własnego dobra.

– Dla mnie jedną z najbardziej nieakceptowalnych tendencji na świecie jest ta do psychoterapeutyzacji wszystkiego.

W Ameryce zapytano mnie kiedyś, na ilu psychoterapiach byłem. „Na żadnej”. Patrzyli jak na barbarzyńcę. Nie czułem, żeby mi to było potrzebne, czułem, że muszę sam ze sobą pracować, nie będę szukał kogoś, kto za mnie to wykona. Wybaczenie może być kategorią psychoterapeutyczną – rozluźnijmy się, ułatwmy sobie życie, ale może być kategorią moralną, której się za pomocą psychoterapii nie da przerobić na mąkę i chleb.

Ale widzę, że Freuda pan czyta. Stoi na półce.

– Jak można nie czytać Freuda?

Czego pan szuka w tych dokumentach z Zagłady, do których pan wraca? Tak naprawdę?

– Zadaje mi pani trudne pytanie. A może zamiast pytać, czy stawiałem się na miejscu tego esesmana, powinna mnie pani zapytać, jak bym się czuł zamknięty w getcie, jak bym się zachowywał, kim bym się stał? Uważam, że mnie – może rzecz się ma inaczej w młodszych pokoleniach – nie wolno o tym zapomnieć, nie wolno o tym nie myśleć, nie wolno do tego nie wracać. Żyję każdą lekturą i każdym świadectwem z tamtego czasu.

Miałem kiedyś taką chasydzką nauczycielkę w Izraelu, powie-

my tego nie czytać, bo takie bolesne?

Dla mnie najbardziej wstrząsające są dokumenty o sytuacji kobiet w getcie. W tym patriarchalnym świecie – bo świat żydowski był patriarchalny – nagle wszystko się zmienia, kobiety okazują się bardziej zaradne, wytrzymałe, mężczyźni pierwsi odpadają, umierają, kobiety są o wiele bardziej elastyczne i mają o wiele większe poczucie odpowiedzialności za najbliższych. Muszą przeżyć, bo mają gęby do wykarmienia.

A mogę panu zadać najbardziej okrutne pytanie, jakie mi przyszło do głowy, kiedy do panajechałam?

– No, jedziemy.

Jak to jest być człowiekiem, który ma w sobie coś, jakiś element, który sprawia, że jest się za to zleniawdzonym, przepędzanym i zabijanym, i to przez wieki?

– To jest strach czy lęk. Wieczny lęk: nie należy wszystkiego mówić ludziom, należy unikać pewnych miejsc, w których może dojść do jakichś nieprzyjemnych sytuacji. To nadwrażliwość na antysemityzm we wszelkich postaciach, ten jawny, wrogi i ten najczęściej występujący w Polsce, czyli antysemityzm wężący. Pamięta pani taką myśl nieuczesaną Stanisława Jerzego Leca: „Po czym poznać antysemitę? Po nosie, wężącym”.

Nie lubię moralizowania. Moralizowanie to jest jedna z najbardziej ohydnych czynności. Za moralizowaniem zawsze stoją tylko poczucie wyższości oraz pycha. Za nią obluda

działa, że nie powinno się jeździć do Oświęcimia, bo tam nadal jest zbyt dużo cierpiących dusz. Tam nadal są ci, którzy zabijali, i ci, którzy ginęli. Są takie miejsca, w których przebywanie kończy się rozpadem osobowości. My tam nic nie możemy zrobić poza modlitwą, pozostajemy bezsilni wobec sił, które tam są.

Miała rację?

– Do pewnego stopnia. Czytając te świadectwa, sięgamy do takich ciemności, że nie możemy sobie znaleźć miejsca. Ale z drugiej strony nie możemy omijać tych relacji na zasadzie „to jest takie trudne, że nie mogę tego czytać”. W tym roku chciałem prowadzić zajęcia o socjologii getta – o społeczności zamkniętej, izolowanej, którą rządził przemoc, głód, skrajna bieda.

W bodaj najważniejszym dokumencie czasów okupacji, a powstałym w getcie warszawskim, czyli w Archiwum Ringelbluma, zgromadzono kilkadziesiąt tysięcy stron relacji, dokumentów, świadectw, raportów. Wszyscy żydowscy badacze, którzy tę kolekcję nam zostawili – zginęli. I co, ma-

Wielopokoleniowa obcość. Ja się urodziłem z takim lękiem i poczuciem obcości. Czułem ten lęk w domu. Ojciec zawsze wchodził po schodach pierwszy, żeby zobaczyć, czy ktoś nie namazał „Jude” na drzwiach, tak strasznie się bał. Ten strach to moje DNA.

Umrze pan z tym lękiem?

– Nie, bo mam dwie biografie: polską i żydowską. Mnie się udało, może przez ten dualizm, nabrać nawet jakiejś dumy, nie mylić z zarozumiałstwem. Umiałem sobie powiedzieć: „Hej, ja mam prawo być taki, jaki jestem”.

Powiedział pan o niewybaczeniu, o strachu. Czy trzeci będzie wstyd?

– Nie, słabo znam uczucie wstydu. Są we mnie ślady wstydu dziecka, ale wstyd tak, jak go rozumiał Arystoteles i wiązał z czerwonymi policzkami, jest mi odległy. Leszek Kołakowski w eseju „Czy diabeł może być zbawiony” postawił cudowne pytanie o to, z której strony piekło jest zamknięte. Czy od środka, czy od zewnątrz? Czy jest jakiś sąd, który nas zsyła do szeolu, czy też to my sami zamy-

kamy się w piekle? A piekło możemy sobie wyobrazić właśnie przez wstyd. Wtedy staniemy się dla siebie całkowicie przejrzysti, stanemy w całkowitej nagości psychicznej i duchowej, nic o nas się przed nami nie ukryje.

Szuka pani trzeciego elementu. Wiązałbym go z doświadczeniem samotności. Samotności ludu tyle razy poniżanego, niszczonego, która wkracza do samych trzewi i o której nigdy nie sposób zapomnieć. Ale jest też coś pozytywne-go, a mianowicie głębokie poczucie identyfikacji z Biblią, Tanach, z kulturą żydowską. I radość z tego, co robię.

Pan wspomniał o Primo Levim, a ja chciałam wspomnieć o Imre Kertész, który ocalał i pisał książki w tonie mrocznego nihilizmu.

– Przypomniała mi pani pewną historię. Dziadek koleżanki mojej córki był razem z moim ojcem w sowieckim obozie. Kiedyś przyszedł do mnie, by oznajmić: „Pana ojciec był idiotą, bo nie kradł”. Bo jeśli nie kradłeś, nie żyłeś. Okradanie swoich było warunkiem przetrwania. Myślę, że ci, co mają skrupuły, zawsze giną pierwsi. Nihilizm moralny wygrywa.

I co pan na to?

– Nie lubię moralizowania. Moralizowanie to jest jedna z najbardziej ohydnych czynności, bo kogoś pouczam, jak się powinien zachowywać, jakbym był wyrocznią

moralną. Za moralizowaniem zawsze stoją tylko poczucie wyższości oraz pycha. Za nią obluda.

A czym się różni starość od młodości, panie profesorze?

– Już nie pamiętam za dobrze siebie z młodości. Ale sądzę, że najważniejszym elementem młodości jest to, że się stale rodzimy na nowo. Otwieramy na nowe doświadczenia, nowych ludzi. Z wiekiem to można się tylko modlić o to, żeby nie zamknąć się w jakichś psychologicznych nawykach, gotowcach życiowych, rutynie. Starsi są często bardziej zamknięci, zgorzoczeni, zmęczeni. Poza tym czas starszych ludzi biegnie o wiele szybciej i to jest dla mnie niezwykłe doświadczenie. A w sumie i tak zawsze chodzi o zdolność dziwienia się światu. Pisała o tym Joanna Pollakówna w książce o Marcelim Szpaku, który dziwił się światu.

To znaczy, że trzeba ją w sobie jakoś na nowo pobudzać w panna wieku?

– Największym darem jest zdolność do ciągłego odkrywania nowego i uczenia. Chodzi o to, żeby

nie być na starość smętnym człowiekiem.

Co to znaczy „smętny”?

– Taki zgorzkniały, niecierpliwy. Człowiek z wiekiem staje się napa-
kowany bardzo dużą ilością roz-
czarowań i urazów. I tak musi być,
inaczej się nie da.

**Wydaje mi się, że pan jest star-
szym liberałem.**

– Każdy liberał jest do pewnego
stopnia stary, bo ma w sobie ele-
ment konserwatywny, wie, że są
pewne fundamenty godnego życia
w świecie publicznym, których nie
wolno naruszyć. Od pokoleń wie-
my, czym są rządy prawa, na czym
polega wymóg rządu ograniczone-
go, wiemy, jak niezależna władza
sądownicza powinna równowa-
żyć władze ustawodawczą i wyko-
nawczą. Za liberalizmem stoi wy-
razisty obraz człowieka odpowie-
dzialnego za siebie, broni podstaw
indywidualizmu. Dodajmy jesz-
cze podstawowe prawa człowieka,
które odkryli liberałowie. Kościół
katolicki je uznał 300 lat po tym,
jak liberalizm je nazwał.

Jednak to, co dziś obserwuje-
my, to nie liberalizm, ale moda
na neoliberalizm.

**A jaka jest różnica między libe-
ralizmem a neoliberalizmem?**

– Fundamentalna, bo neolibe-
ralizm kojarzy się nam oczywi-
ście z ekonomią, z pewnym ustro-
jem ekonomicznym przekłada-
jącym się na ustrój państwa, z le-
seferyzmem, gospodarką wol-
norynkową, ograniczeniem wła-
dzy państwa, szczególnym rodza-
jem podatków, systemem dystry-
bucji sprzyjającym ludziom boga-
tym i redystrybucją zgodnie z za-
sadą merytokratyczną.

Neoliberalizm, w największym
skrótce, czyni problem gospodar-
czy centralnym w myśleniu o ży-
ciu społecznym, ruguje proble-
my polityczne, religijne, ducho-
we na dalszy plan. Ulubione słowo
neoliberalów to „prywatyzacja”
– wszystkiego, od kolei, fabryk, po
więzienia i służby policyjne.

Byłem w partii liberalnej,
a w zasadzie właśnie neoliberal-
nej. Odpowiadał mi temperament
Kongresu Liberalno-Demokra-
tycznego. Ceniłem ich za to, że by-
li partią niewarszawską, zresztą
do dzisiaj jest coś z tego w aurze
PO, że nie jest warszawocentrycz-
na. Ale po latach zobaczyłem, ja-
kie głupoty wygadywałem i my-
ślałem.

No jakie?

– Godzinami mógłbym o tym
mówić. Najzwyczajniej – neolibe-
ralizm zatriumfował.

Jeżeli miałbym zwięźle zdefi-
niować politykę dzisiaj, i w Polsce,
i w wymiarze światowym, to ona
sprowadza się do starcia kulturo-
wego. Widać je na ulicach, gdzie
neoliberalizm objawia się przez
to, że są głównie banki i apteki,
zniknęły natomiast instytucje, któ-
re zapewniały zaspokojenie co-
dziennych potrzeb, jak biblioteki,
pralnie, zakłady szewskie. Kosz-
ty życia i wymagania rynkowe po-
wodują, że nikt nie myśli o intere-
sie wspólnym, on po prostu zni-
ka. Kiedyś podszedłem do jedne-
go z prezydentów Warszawy i mó-
wię: „Wiesz, Warszawa, takie du-
że, zamożne, inteligentkie miasto.
Może dobrze, by miało chociaż
jedno pismo literackie?”, a on, że
„nie, to rynek będzie decydował”.

Ale jaki rynek decyduje o pismach
literackich? O dobrych teatrach,
o sztuce? Przecież żaden rynek nie
ocali żadnego pisma, żadnej gale-
rii, teatru, nawet jeśli są dobre; nie
ma takiej opcji.

Powstała bardzo ciekawa sytu-
acja mariażu polityczno-kulturo-
wego między współczesnym ka-
pitalizmem finansowym a pro-
gresywizmem kulturowym, któ-
ry wyznaczają walka o równości
płci, uznanie dla osób LGBT+, fe-
minizm i postulat ochrony różne-
go rodzaju mniejszości. Te gru-
py uzyskują wreszcie społeczne
uznanie, o ich prawa się walczy,
a współczesny kapitalizm ich po-
trzebuję, aby uzyskać dodatkowy
element ideologicznej i społecz-
nej aprobaty.

Nie ma sprzeczności między
nowoczesnym kapitalizmem fi-
nansowym a właśnie tego ty-
pu ruchami emancypacyjny-
mi czy wręcz lewicowymi, a do-
brym przykładem jest choćby
„Wyborcza” – z jednej strony ga-
zeta wspierająca feminizm, wraź-
liwa na krzywdę różnego rodza-
ju mniejszości, z drugiej lansująca
radykałnie neoliberalny model go-
spodarki.

Neoliberalizm potrafił wchło-
nać ruchy protestu i emancypacji,
czyniąc je częścią swojego projek-
tu etycznego, zyskując atuty intu-
icyjnie związane z postępem i teraz
może przekonywać innych, że „my
jesteśmy ci wrażliwi, nowocześni,
tolerancyjni”. Neoliberalizm słu-
ży najbogatszym, a neoliberalizm
progresywny osłania ich pozycję
troską o pokrzywdzone mniejszo-
ści. Za tym idzie poczucie etycz-
nej wyższości wobec prostego lu-
du, pouczanie tych mniej oświe-
conych i paternalistyczne nawyki,
niemniej ten progresywny wymiar
wzmocnia go w kontrze neolibera-
lizmu reakcyjnego.

Każdy liberał jest do pewnego stopnia stary, bo ma w sobie element konserwatywny

A co to jest?

– To na przykład Trump i do pew-
nego stopnia Kaczyński. Obaj nie
kwestionują neoliberalnych za-
sad, Trump je zresztą świetnie wy-
korzystuje w karierze finansowej,
ale odwołują się do innych senty-
mentów kulturowych, takich jak
tradycyjna religijność, nacjona-
lizm, jakiś rodzaj antyeuropejsko-
ści, antyglobalizmu, zamknięcia,
lęku przed imigrantami. Buduje
się w opozycji do tych, którzy czu-
ją się lepsi, wyżsi, nowocześniejsi
w swej retoryce emancypacyjnej.
Odwołuje do resentymentów pro-
stych ludzi i domaga się uznania
i szacunku dla tradycyjnych nawy-
ków i przesądów.

Fetyszyzacja Polski B...

– Dokładnie tak.

A trzeci element, jeśli chodzi
o scenę polityczną, to zanik lewi-
cy – jedyna partia, której nie ma,
to właśnie partia lewicowa, dzia-
ła Zandberg, ale nie wiem, czego

Nowy serwis



żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



chce. Czy ktoś wie, o co mu cho-
dzi? Mam wrażenie, że wszystkie
partie lewicowe są kompletnie po-
gubione. Oni oczywiście zaraz się
obrażą, ale nie szkodzi.

Więc można powiedzieć, że
jedni neoliberalowie wyprodukowa-
li drugich. PiS udaje lewicę, sto-
suje chwyt populistyczne, ale jest
partią antyspołeczną, co widać
w ich stosunku do szkolnictwa,
służby zdrowia, ochrony rodzin.

**Rozumiem, że ma pan na myśli
500+.**

– Między innymi. Moi najbliżsi do-
stają 500+ na dzieci, ale oni bez
tych 500+ daliby sobie radę. Moż-
na by zupełnie inaczej przemyśleć
dystrybucję, myśląc o niej w kate-
goriach klasowych, a nie w kate-
goriach symbolicznych. A dziś ka-
pitalizm jest niezaprzeczalnym,
niepodważalnym elementem
funkcjonowania obu stron sporu
politycznego. Nie zauważyłem, że
by Kaczyński powiedział coś złego
o samym kapitalizmie, choć wy-
gaduje jakieś brednie o cwania-
kach przedsiębiorcach.

**Chce pan powiedzieć, że PiS to
partia neoliberalna?**

– Do pewnego stopnia. Ona ma
różne oblicza. Ma bardzo silne po-

A co jest najważniejsze?

– Realne podziały społeczne i kla-
sowe. Weźmy choćby jeden: od lat,
od początku transformacji są nie-
dopłacani i przy tym na różne spo-
soby poniżani nauczyciele, biblio-
tekarze oraz akademicy.

Ja się strasznie przejmuję,
bo jestem społecznie, historycz-
nie związany z warstwą, powie-
działbym, szkół. To przejmują-
ce, że moja córka, która od lat
pracuje w PAN, otrzymuje pen-
sję na poziomie minimum socjal-
nego. Można powiedzieć, że so-
bie dorobi, bo będzie brała różne
granty, ale one raz są, raz ich nie
ma. To oczywiście dotyczy wielu
sektorów i o tym nie można my-
śleć w kategoriach wolnego ryn-
ku. Kiedyś rozmawiałem z byłym
premierem liberalnej Polski i rzu-
ciłem, że w Polsce nie da się na-
uczyć języka jidysz, bo wszyscy
nauczyciele wyjechali. Odpowie-
dział mi: „No bo ich widocznie ry-
nek nie potrzebował”. No kurde...
Żeby tak myślał człowiek, który
jest premierem...

Oczywiście nie ma gospodar-
ki innej niż rynkowa, nie powsta-
ła jeszcze taka na świecie, no, chy-
ba że komunistyczna, ale to by-
ła katastrofa. Pytanie brzmi: do ja-
kiego stopnia mamy tę gospodar-
kę absolutyzować i uważać, że jej
reguły mają dotyczyć wszystkiego,
wszystkich sfer życia i czy wszyst-
ko powinno ulegać prywatyzacji?
Próbujemy myśleć o redystrybucji
w społeczeństwach, które są bar-
dzo bogate. Jednym z pomysłów
jest gwarantowany stały dochód
dla wszystkich, innym opłacanie
za ich pracę kobiet, które zajmują
się domem.

**Mam hipotezę, panie profes-
rze.**

– No, niech pani mówi. Ja już za
długo gadam.

**Może w fundamencie libera-
lizmu oprócz tych wszystkich
szczytnych idei jest też chci-
wość.**

– Na chciwości jest oparty neolibe-
ralizm. Mamy być greedy, co zna-
czy, że status społeczny jest okre-
ślany wyłącznie przez pozycję ekono-
miczną. Neoliberalizm projek-
tuje wizję homo oeconomicus,
jednowymiarową i toporną.

W tej grze między dwoma neo-
liberalizmami ukrywa się jedną
kategorię, która kiedyś była bar-
dzo ważna, czyli kategorię klasy
społecznej. Oczywiście nie mówię
w języku marksistowskim: robot-
nicy kontra przedsiębiorcy, bo ten
język dzisiaj już nie pasuje i nie
bardzo się można w nim odnaleźć.
Ale problem trwałych podziałów
społecznych o charakterze ekono-
micznym – i częściowo też kultu-
rowym – istnieje, problem ludzi,
którzy nie mają narzędzi wyjścia
z trudnej sytuacji życiowej, w ja-
kiej znajdują się bardzo często od

pokoleń. Dziedziczą niskie położe-
nie klasowe i nie mają ani kapita-
łów intelektualnych, ani finanso-
wych, żeby z tego wyjść.

Mój ojciec był przed wojną le-
wicowcem, bardzo wrażliwym na
problem niesprawiedliwości spo-
łecznej. I myślę, że nie doceniamy,
iż bardzo wiele osób weszło do tej
partii, którą my dzisiaj nazywamy
komunistyczną, właśnie z powo-
dów lewicowych.

**A nauczył pana czegoś syn so-
cjalista?**

– On jest oczywiście bardzo ra-
dykalny. Nie wiem, czy to sprawa
temperamentu czy wieku, z rzad-
ka rozmawiamy, ale jego podsta-
wowa intuicja, ta, że oprócz racji
indywidualnej są racje społeczne,
jest słuszna.

Dużo zrobił, demaskując cha-
rakter repriwatyzacji w Warsza-
wie, i zrobił to bardzo odważnie.
Mam znajomego, nazwijmy go
człowiekiem siły, zadzwonił i za-
pytał, czy znam Jana Śpiewaka.
„To mój syn”. „Wiesz, jest zlece-
nie na niego”. To był jasny sygnał.
On naprawdę ryzykuje i nie cho-
dzi o jego nierozumne, niemądre
procesy. Szanuję jego obywatel-
ską odwagę.

**Socjaliści mówią ojcom libe-
rałom: zobaczcie, jakicie nam
stworzyli świat, ojcowie.**

– Tak, u mojego syna i jego for-
macji jest pretensja o koszty neo-
liberalnej rewolucji 89-90 roku.
A drugi dla niego dramatyczny
problem to zniszczenie środowi-
ska naturalnego. I rozumiem, że
on się oburza, tylko to jest stano-
wisko jaskrawie ahistoryczne. Nie
bardzo potrafię sobie wyobrazić,
czy była alternatywa historycz-
na, inne wyjście z realnego socja-
lizmu.

Dzisiaj oczywiście stać mnie
na więcej dystansu, mogę uwa-
żać, że pewne grupy zostały bar-
dzo niesprawiedliwie potraktowa-
ne, że wyrządzono wiele krzywd
społecznych, że chciwość stała się
naczelną postawą moralną. Pro-
blemy ekologiczne też już wtedy
były widoczne, a nie potrafiliśmy
w 1989, w '90 roku ich uznać za
jedne z podstawowych.

Ale każde pokolenie popę-
nia błędy. Dzieci moich dzieci też
będą miały pretensje do rodzi-
ców, to naturalne. A my żyliśmy
w poczuciu przełomowości epo-
ki, to był wstrząs związany z to-
talną zmianą systemu politycz-
nego, gospodarczego i ładu praw-
nego. I nie było wyjścia. Musimy
myśleć historycznie i znać tamte,
sprzed 30 lat ograniczenia. Trze-
ba też dostrzec, ile nasz kraj zyskał
na transformacji.

Czyli nie było alternatywy?

– Nie było. ●

Komisja ds. uziemienia Tuska

PiS ma kolejny pomysł, jak uczynić sądy niepotrzebnymi.

Marcin Matczak*

Rzadko pod obrady Sejmu trafia projekt ustawy tak wrednej jak ta o przeciwdziałaniu rosyjskim wpływom. Wprawdzie jej projekt upadł, ale warto przyglądnąć się mu dokładnie, bo ujawnia, co dzieje się w duszach miłościwie nam panujących.

Ustawa ma zbadać, jak w latach 2007–22 Rosja wpływała na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski. Piszę „jak”, a nie „czy”, ponieważ uzasadnienie przesądza, że wpływała, i to najbardziej na Tuska i Pawłaka, których nazwiska pojawiają się w jednoznacznym kontekście zdrady. Wiadomo więc, co komisja ma zrobić, trzeba jej tylko dać narzędzia.

I są one hojnie dawane. Komisja ścigać będzie wpływy rosyjskie, zdefiniowane ogólnie jako działania „zmierzające do wywarcia wpływu na działania spółek lub organów władzy publicznej RP” – i tu uwaga – prowadzone także „metodami prawnie dozwolonymi”. To już niezły hardcore: nawet jak działasz zgodnie z prawem, a komisja uzna, że to realizacja agendy Moskwy, mogą cię spotkać sankcje. Na przykład zakaz pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi na okres do 10 lat, co w przypadku polityka oznacza wyłączenie z życia publicznego.

Komisja mogłaby ścigać nie tylko polityków, ale też osoby „inne”, które pod wpływem Rosji „godziły w interesy RP”, wpływając na „środki masowego komunikowania”, na „rozpowszechnianie fałszywych informacji” czy „działalność stowarzyszeń lub fundacji”. Żaden dziennikarz czy pracownik organizacji pozarządowej nie może więc spać spokojnie. Aż dziw bierze, że choć sankcje za uleganie rosyjskim wpływom przewidują odebranie pozwolenia na broń, nie ma wśród nich odebrania pozwolenia na długopis.

Ustawa zawiera klasyczne pisowskie rozwiązania instytucjonalne. W komisji mogą zasiadać osoby „posiadające wykształcenie wyższe lub niezbędną wiedzę w zakresie funkcjonowania organów władzy publicznej”. To oznacza, że wpływy rosyjskie może ścigać osoba bez podstawówki, o ile zwiędza kiedyś jakieś ministerstwo albo ma tam wujka.

Przewodniczący komisji decyduje o relacjonowaniu obrad przez media. Zapisano, że można wskazać „uprawnionych do dokonywania za pomocą aparatury utrwalenia obrazu i dźwięku (...) według kolejności zgłoszeń lub na podstawie losowania”. Wystarczyłoby napisać, że przed ogłoszeniem daty rozprawy daje się cynk TVP Info i losowanie niepotrzebne.

Dlaczego piszę o projekcie, który upadł? Bo daje wgląd w pisowską wizję państwa. Jest jasne, że Polska to strefa rosyjskich wpływów i agenturę trzeba wypalać gorącym żelazem. Ale od tego są służby, nie politycy po podstawówce, oraz sądy, a nie komisje, które muszą się spieszyć z raportem na rocznicę radzieckiej inwazji na Polskę (ustawa datę pierwszego raportu ustaliła na 17 września 2023). Ustawodawca nie chce powtórzyć błędów komisji smoleńskiej, która zbyt długo dochodziła do prawdy. Stąd data, kiedy do prawdy dojść trzeba, bez względu na to, czy to, do czego się doszło, to prawda.

Komisja to kolejny – po komisji reprowaktyzacyjnej – pomysł, by sądy uczynić niepotrzebnymi. I tu, i tam chodzi o to, żeby wyroki wydawali politycy, a nie sąd. Komisja wydaje wprawdzie decyzje administracyjne, ale niewiele to zmienia – spokojnie da się taką decyzją zniszczyć czyjeś życie.

Stanisław Zakroczyński, analityk prawny Instytutu Strategii 2050, słusznie wskazuje, że propozycja PiS jako żywo przypomina pomysł Josepha McCarthy’ego, amerykańskiego senatora, który w połowie ubiegłego wieku rozpętał polowanie na czarownice, ścigając komunistycznych agentów penetrujących instytucje USA. I wtedy, i teraz prawicowi politycy żerują na ludzkim strachu przed Rosjanami. I wtedy, i teraz ten strach potęguje wojna. Daje to politykom nadzieję, że w strachu ludzie przyzwolą na bezprawie – bo jest nim ustawa, która pozwala niszczyć czyjeś życie na podstawie ogólnych definicji, wątpliwych podejrzeń i chęci politycznej zemsty.

McCarthy zaczął jak Macierewicz – od wystąpienia z kartką, na której, jak powiedział, ma listę 205 nazwisk komunistycznych agentów. Następnie ich ścigał, korzystając ze specjalnych ustaw i komisji. W końcu znalazł – z jego listy udowodniono szpiegostwo dziewięciu osobom, przy czym w tym czasie działało w USA kilkuset rosyjskich szpiegów, których McCarthy nigdy nie podejrzewał. Antykomunistyczna historia doprowadziła za to do zniszczenia życia 12 tys. niewinnych osób. Dlaczego?

Bo wystarczyło rzucić podejrzenia, by ludzie dokonali reszty. Firmy prowadziły wewnętrzne audyty, po których prewencyjnie wywalały pracowników na bruk, zanim zaczął się nimi zajmować McCarthy. Atakowano aktorów i twórców filmowych (między innymi Chaplina i Brechta), nauczycieli akademickich oraz gejów. Nawet na szczyptę patrzono podejrzliwie – jak na spisek komunistów, którzy chcą zatruć zdrowe, amerykańskie organizmy. Palono książki, a nad

tym wszystkim czuwał szef FBI Hoover, podracując komu trzeba kompromitujące materiały.

PiS, jak McCarthy, uwielbia budzić demony. Piotr Kaleta, prezentujący projekt ustawy, już nazywa ludzi, których ma ona ujawnić, „kreaturami i „chwastami”. Ta potrzeba dehumanizacji spływa na innych, bo ryba psuje się od głowy. I zamiast racjonalnie bronić interesu państwa, zapadamy się w zbiorną psychozę. Taki jest cel tego projektu i dlatego jest on barbarzyński. Zamiast ścigać rzeczywistych szpiegów, będziemy łapać tych, którzy medialnie nadają się na kozły ofiarne. I zapewne nie znajdzie się ich w partii rządzącej – przecież to niemożliwe, żeby ktoś, kto należy do PiS, zdradził.

Prezydent Truman szaleństwo makkartyzmu nazwał „gniciem prawdy”, „porzuceniem prawa do sprawiedliwego procesu”, „dojściem do władzy demagoga, który żyje z nieprawdy”, „niszczeniem zaufania na każdym poziomie społeczeństwa”. Wiktor Krawczenko, który uciekł przed komunistycznym terrorem do USA, pisał: „wierz głęboko, że w walce z komunistami nie powinniśmy uciekać się do metod stosowanych przez komunistów”. I to są najlepsze komentarze do pisowskiej ustawy o ruskich wpływach.

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”

Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



Klub „Wyborczej”

Wojna, inflacja, rządy PiS

Dziennikarze podsumowują rok 2022

Obejrzyj na **wyborcza.pl**
we wtorek, 20 grudnia,
godz. 20

Dołącz do Klubu
„Wyborczej” na
Wyborcza.pl/prenumerata

Justyna
Dobrosz-Oracz

Bartosz
Wieliński

Agata
Kondzińska

Paweł
Wroński

Adam Michnik poleca

CÓŻ WSPANIALSZEGO NIŻ RADZIECCY GENERALÓWIE!

Nawet dziecku najwyraźniej brakowało poczucia odpowiedzialności za Hitlera

Dwight Macdonald*

W nowojorskim piśmie „Politics” w numerze z kwietnia 1945 roku jego szef i wydawca Dwight Macdonald wziął na warsztat temat zbiorowej winy i sposobu myślenia, który każe jej się wszędzie doszukiwać. Taką postawę uosabiał w jego oczach Max Lerner (rocznik 1924), pod koniec wojny analityk wojskowy, dziennikarz. Był on jednym z ulubionych celów polemik Macdonalda wśród liberalnych intelektualistów.

Naród niemiecki zawiódł Maxa Lerner. Tylko tak można to ująć: zawiódł go i niemal złamał jego wielkie postępowe serce. Lerner, w mundurze korespondenta wojennego, jechał swoim jeepem za posuwającą się w głąb Niemiec amerykańską 9. Armią, kiedy natknął się na dużą grupę niemieckich cywilów.

„Było wilgotne popołudnie – pisze. – Gromadzili się pod cementową szopą otwartą na jednym końcu. Była tam kobieta z kilkutygodniowym dzieckiem, był też staruszek, lat 87. Większość stanowili mężczyźni i kobiety w wieku ok. 40 lat i star-

si, z dziećmi. Prawie sami rolnicy” (pismo „P.M.”, 4 marca 1945 roku).

Przez trzy dni ukrywali się w piwnicach, a w tym czasie amerykańskie działa niszczyły ich wioskę w ramach „wojny, którą sami wywołali”. (Brak doprecyzowania, w jaki sposób „sami ją wywołali”).

Lerner wysiadł ze swego jeepa i zapytał ich: „Czy jesteście winni?”. Nie uzyskał odpowiedzi od dziecka, ale pozostali odparli, że nigdy nie ufali Hitlerowi ani go nie lubili, że zawsze uważali nazistów za zbrodniarzy i że są katolikami, a więc z powodów religijnych nie zgadzali się z polityką Hitlera.

Dlaczego więc – pyta Lerner z tą swoją żelazną logiką, po którą sięga, gdy wpuszcza w maliny kogoś, kto nie potrafi znaleźć odpowiedzi – pozwoliliście nazistom robić te straszne rzeczy?

Zgodnie odpowiedzieli, że „poddali się sile i tylko sile”. Ale to nie podoba się Lernerowi; zwraca on uwagę drżącym, oszołomionym bombardowaniami rolnikom, że mieszkańcy Francji, Belgii, Polski i Rosji nie poddali się niemieckiej sile; dlaczego więc oni się poddali? (Uwaga: według wiarygodnych źródeł wszystkie powyższe kraje były zaangażowane w wojnę przeciwko Niemcom).

• Niemieccy chłopcy z Gwardii Powietrznej Hitlera, schwytani przez 3. Armię Stanów Zjednoczonych, Giessen, Niemcy, 1944-1945 rok.

FOT. US ARMY/FPG/GETTY IMAGES



To był świetny strzał: „Zamilkli”. (Różnie można interpretować to milczenie). Nawet po tym niektórzy z tych prostych chłopów najwyraźniej nie rozumieli, z jakim zwierzęciem mają do czynienia; byli przecież przyzwyczajeni do cywilizowanego społeczeństwa wieprzy. Poprosili więc Lerner o dobre słowo o ich lokalnym szefie policji, który wykorzystał swoje oficjalne stanowisko (prawdopodobnie narażając siebie samego), „aby osłonić ich przed surowością nazistowskiego reżimu”. Pominiemy reakcję Lerner na tę kwestię.

Wyjechałem stamtąd przybity i zniechęcony – pisze Lerner. – Zbrodnią tych ludzi były raczej tchórzostwo i moralna bezdusznosc niż aktywny udział w czynach przestępczych. (...) U nikogo nie znalazłem moralnej siły, by zmierzyć się z faktem winy. Reakcją były jedynie protesty: nie byli odpowiedzialni za to, co się stało”. Nawet dziecku najwyraźniej brakowało poczucia odpowiedzialności za Hitlera, co pokazuje, jak immanentną częścią niemieckiego charakteru narodowego jest moralna bezdusznosc.

Lerner uważa jednak, że wśród robotników być może znajdzie lepszy „materiał” niż wśród rolników i klasy średniej. „W Akwizgranie znaczna część klasy robotniczej jest prawdopodobnie do uratowania”. Zatem skoro tym, co zniechęca Lerner do Niemców, jest fakt, że tak wielu z nich zaprzecza, jakoby byli za nazizmem, moralna wyższość robotników z Akwizgranu musi polegać na tym, że przyznają oni, iż nie zostali zmuszeni do poparcia Hitlera, lecz zrobili to z własnej woli i dlatego są odpowiedzialni za zbrodnie nazistów. To, że niemiecka klasa robotnicza była pronazistowska, staje się dla Lerner źródłem satysfakcji.

W tym samym numerze „P.M.” ukazał się jako artykuł redakcyjny tekst Tomasza Manna. XX-wieczny Goethe (wydanie kieszonkowe) rozprawia o swoich rodakach (wątpi w „słusznosc litości”) i raczy nas fragmentami swoich dzienników z lat 1933 i 1934. Kluczowy fragment:

„Brak wyczucia zła, jakim wykazały się duże masy narodu niemieckiego, był i zawsze będzie karygodny. Szaleństwo, jakie ten wiecznie żądny wrażeń naród zaczerpnął z zatrutego źródła nacjonalizmu, tworó głupców i kłamców, musi spotkać się z zapłatą. [Nie jest to zbyt długie zdanie jak na Goethego, nawet kieszonkowego]. Nie można wymagać od wykorzystanych narodów Europy, aby wyznaczyły linię podziału między »nazizmem« a narodem niemieckim. Jeśli istnieje coś takiego jak Niemcy jako jednostka historyczna, to istnieje również coś takiego jak odpowiedzialność – zupełnie niezależnie od niepewnego pojęcia winy”.

Teraz Tomasz Mann sam należy do tego „historycznego podmiotu zwanego NIEMCY”, używa języka niemieckiego, jest NIEMCEM. Jeśli porzucimy „niepewne pojęcie winy” i uczynimy jednostkę moralnie odpowiedzialną za czyny „historycznego podmiotu”, w którym się urodziła, to Tomasz Mann jest jak najbardziej tak samo winny jak jego współtowarzysze Niemcy drżący pod alianckimi bombami i pociskami w ruinach swoich domów; te biedne diabły, które Mann – w złym guście i dając dowód nieludzkiego charakteru – osądza w tak faryzejski sposób. Jeśli porzucimy „niepewne pojęcie winy”, to położenie Manna staje się tu rzeczywiście niepewne. Czy w końcu jest on, czy też nie jest członkiem owej „historycznej jednostki”, Niemiec?

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 UDZIEŁĘ ŚLUBU PAROM LGBT Z POLSKI.

Pierwsza polska
pastorka na Orkadach

2 UKRAINKI W POLSCE:

Jeżeli ktoś zaprosi nas
z synem na święta,
z przyjemnością
pójdziemy

3 NAJSZCZUPLEJSZY DZIEŃ W ŻYCIU.

O brideoreksji, czyli
wielkim odchudzaniu
przed ślubem, pisze
Aleksandra Pakieła



FOT. GETTY IMAGES

*Dwight Macdonald

• 1906–82, amerykański pisarz i dziennikarz, badacz i krytyk kultury masowej, (po lewej).

Tekst za portalem Libcom.org. Tytuł „Wyborcza”.

Rozkaz zabraniający żołnierzom USA bratania się z niemieckimi cywilami działał tylko w obecności żandarmerii. „Mamy nienawidzić ludzi. Ale kiedy tylko kończy się walka, zaczynamy im współczuć”

Proszę nam wybaczyć, że na tę nowatorską informację – dotychczas nieodnotowaną w badaniach nad nazistowskimi Niemcami – zareagowaliśmy bez wielkiego entuzjazmu.

Ale Lerner potrafił donieść w tym samym numerze „P.M.” o szczęśliwszym doświadczeniu, które – jak się wydaje – przywróciło mu wiarę w ludzką naturę. Poświęca całą stronę na opisanie, ze wszystkimi szczegółami, emocjonującej wizyty dwóch radzieckich generałów majorów, którzy odwiedzili 9. Armie. Spotkanie z tymi osobistościami nappełniło wielkie, postępowe serce Lerner ogromnym ciepłem, tak jak postawa niemieckich chłopów nappełniła je przygnębieniem. Byli znacznie lepiej niż owi chłopcy ubrani: „o!śniewające mundury i długie płaszcze polowe uszyte z bogatego materiału, obcisłe zielone spodnie i długie czarne buty, do tego błyszczące złote gwiazdy na ramionach”. Byli też znacznie ważniejsi.

Lerner z zachwytem relacjonuje ciekawostki z ich wizyty: jak to doszło do „kryzysu wojskowego”, gdy okazało się, że nazwisko gen. Iwana Susłoparowa zostało zapisane z błędem; jak jeden z nich „wykazał się bogatą znajomością amerykańskiego slangu”; jak drugi poklepał mapę ścienną, gdy ją mijał (nie zostało wyjaśnione, o co chodziło).

W końcu byli to radzieccy generałowie, generałowie ludowi, generałowie demokratyczni, w sumie niosący inspirację generałowie, generałowie stojący po Słusznej Stronie, po stronie Ludu, po stronie Jałty. Tak, to byli ludzie w typie Maxa Lerner – postępowi, demokratyczni i zwycięscy, nie jak ci nędzni niemieccy rolnicy w swych podartych ubraniach, mieszkańcy zniszczonych domów, ludzie z głodem wypisanym na twarzach, ci, którzy bezdusznie i tchórzliwie nie chcieli liść butów akredytowanego korespondenta wojennego „P.M.”.

NIE ŚMIEJCIE SIĘ Z KSIĘCIA HEINRICHACHA

Wychowałam się w Niemczech, państwie od czasów Bismarcka wstrząsanym przez powstania, pucze, terrorystyczne ataki

Magdalena Parys

O d czego zacząć tę historię? Przecież w prawdziwym świecie takie rzeczy się nie dzieją. Może opiszę to więc w tym samym stylu, w jakim napisałam fikcyjnego „Księcia”, i pobawimy się w „znajdź różnicę”?

— 7.12.22. BERLIN, GODZ. 7.35 —

Budzi mnie wiadomość od syna: „Mamo, miałas we wszystkim rację! Nawet z tym całym Księciem, zobacz!”. Przecieram oczy, spoglądam na załączone zdjęcie i czytam coś o puczu. Do czwartej nad ranem pisałam kontynuację „Księcia” i w moim mózgu wciąż rozgrywają się sceny filmowe, żeby nie powiedzieć: fantastyczne. Rzeczywistość do mnie nie dociera. Z drugiej strony syn ostatnim razem powiedział, że mam rację, kiedy miał pięć lat. Niedawno skończył 22. Nie czyta moich książek ani felietonów, jest studentem teatrologii. Wyreżyserował właśnie kolejną sztukę. W jego oczach jestem „dziaderką”. Skoro wysła coś takiego, to chyba wydarzyło się coś ważnego. Może widział cię-kawą sztukę?

— GODZ. 7.36 —

Ale sztuka o puczu? Dziwne, że spodobał mu się pucz w sztuce. Koniecznie powinnam tę sztukę zobaczyć! Syn nienawidzi polityki. Przez ciągle dyskusje o neofaszystach i terrorystach w rodzinnym domu nabrał do tych tematów awersji. Zamykam oczy. Sztuka poczeka.

— GODZ. 7.40 —

Nie poczeka. Komórka znów dzwoni. Siadam na łóżku. Przyjaciół W.D. wysła jakieś zamglone zdjęcie i pyta, czy słuchałam już wiadomości. W.D. to legenda berlińska, opozycjonista, odznaczony przez (poprzedniego, to jednak ważne) prezydenta Polski Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. W siną zachodnią dal, na wilczym bilecie, wysłały go w 1978 r. władze komunistyczne. „Zobacz, co się dzieje!”. Krzyczy? Przeżył dziesięć żyć w jednym życiu, zatem jeśli on krzyczy, to staję się nerwowa. Patrząc więc, czytam: „Pucz księcia udaremniony. Jak w twojej powieści!”. Tymczasem komórka wydaje sygnały – nadchodzą kolejne wiadomości.

— GODZ 8.15 —

Piszą i dzwonią ludzie, którzy odzywają się tylko wtedy, kiedy wydają nową książkę albo wystąpiłam w telewizji. Co o tym myślę? Czy to prawda? Czy się wypowiem? Tylko że ja nic nie wiem.



• Książę Reuß Heinrich XIII w drodze do policyjnej suki . Frankfurt, 7 grudnia

BORIS ROESSLER/DPA VIA AP

racji, Obywateli Rzeszy i qanowców utrzymujących, że władcy tego świata odmładzają się nektarem z zamordowanych dzieci. W pandemii połączyła te grupy nienawiść do elit rządowych. Jedna duża nienawiść zawsze jest potężniejsza niż mniejsze nienawiści. To trochę tak jak Iran, co nie przepada za Rosją, ale bardziej nienawidzi USA, zatem nagle wychodzi na to, że lubi Rosję. No ale wróćmy do Reichstagu. Oto jedna z apostołów ruchu QAnon dała sygnał do szturm, rozwścieżonemu motłochowi udało się opanować co prawda tylko schody, ale przez krótką chwilę między nimi a wejściem do Reichstagu stało tylko trzech policjantów i niewiele brakowało. Po tych zdarzeniach Bundestag pozostawał przez jakiś czas zamknięty.

Atak na Kapitol w Waszyngtonie miał miejsce 6 stycznia 2021 r., siedem miesięcy później, i nieporównywalna jest skala tych dwóch wydarzeń; ofiary śmiertelne, człowiek bizon jako symbol upadku demokracji i ogrom spustoszeń przesłoniły zdarzenia ze stolicy Niemiec. Zastanawiam się jednak, kto z kogo brał przykład. Czy nie przypadkiem Amerykanie – z Europy?

— GODZ. 11.10 —

Zamykam oczy. Mnie zdjęcia spod Reichstagu mocno zapadły w pamięć. Głównie powiewające na wietrze flagi Obywateli Rzeszy. W jednym z doniesień prasowych czytam, że wśród osób uczestniczących w ataku na Reichstag była także sędzia Malsack-Winkemann. Wciąż się pojawia ta pani. Za kilka dni przeczytałam w „Spieglu”, że do aresztowania była członkinią sądu partyjnego, który decyduje m.in. o wydale-niach szczególnie radykalnych członków. Według kolegów Malsack-Winkemann należy do skrzydła AfD uchodzącego za łagodne. Niewiele mówi to o niej, sporo o samej AfD. I jeszcze ciekawostka, że jako posłanka pani Birgit lubiła przemawiać. Na przykład twierdziła, że „uchodźcy są skażeni bakteriami odpornymi na antybiotyki”. Mnie to coś przypomina, inną mównicę i nie jakąś panią, ale pewnego pana... Trump natomiast pozostawał w jej oczach „prawdziwym mężem stanu”.

Nie wiem, jak państwo, ja muszę na chwilę przetrwać, nie tylko żeby wstawić pranie, szczerze mówiąc, mam już trochę dosyć.

— GODZ. 13.00 —

Ktoś ze znajomych pyta: skąd wiedziałam. Czuję się niezręcznie. Co na to powiedzieć? Pisząc „Tunel” w latach 2006-09, pisałam o ludziach odrzuconych, niezrozumianych i pogardzonych przez Zachód: o Niemcach wschodnich. W „Magiku” pisałam o tym, że odrzuceni się radykalizują, ale potrafią być charyzmatyczni. Nawet przeszłość w szeregach Stasi już nie przeszkadza, a jak trzeba, może pomóc w kampanii wyborczej. W „Księciu” opisałam, jak ekscentryczny książę gromadzi neonazi-

— GODZ. 10.30 —

Wiem! Już wiem! Siedemdziesięcioletni książę Reuß, po niemiecku „Prinz”, niejaki Heinrich XIII wraz ze swoim dworem składającym się między innymi z: byłej deputowanej AfD do Bundestagu, sędzią Birgit Malsack-Winkemann, pilota, słynnego kucharza, śpiewaka operowego, adwokata, lekarki i jasnowidzki, próbował dokonać zamachu stanu. On i jego świta należą do Reichsbürger, czyli Obywateli Rzeszy, którzy – mówiąc najogólniej – nie akceptują struktur obecnego państwa i uważają, że wciąż obowiązuje stan rzeczy z czasów monarchii, czyli II Rzeszy. Książę Reuß Heinrich XIII obsadził się w roli głowy państwa. Może chciał zostać cesarzem? Utworzył także gabinet, ale doszło do niesnasek, szczególnie łakomym kąskem okazało się dla wielu ministerstwo finansów, także w sprawie ministerstwa spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych dworzanie nie potrafili się dogadać. Chciałoby się rzec: jak w prawdziwym życiu. A! Przepraszam, jesteśmy w prawdziwym życiu.

— GODZ. 11.30 —

Wypijam drugą kawę i nadal wydaje mi się to wszystko operetkowe, ale kiedy czytam, że w obławie policyjnej brało udział 3 tys. funkcjonariuszy w 11 krajach związkowych (a jest ich 16), że przeczesano 130 obiektów, że niedoszłych zamachowców pojmano także poza granicami państwa (w Austrii i we Włoszech), to już jest trochę mniej śmiesznie. A w ogóle zaczyna być niewesoło, kiedy liczba zatrzymanych rośnie, w gronie spiskowców znaleźli się byli podpułkownik Bundeswehry, żołnierze, policjanci i komandos, niektórzy czyn-

ni zawodowo, znaleziono pokaźne składy broni, ponad 130 tys. euro w gotówce, kilograpy złota i srebra. Za kilka dni przeczytam, że w banku są jeszcze sztabki złota. Raczej wolę nie wiedzieć, z jakich czasów pochodzą. Natychmiast przypomina mi się okładka „Spiegla” sprzed roku – komandos z zamaskowaną twarzą i pytanie grubą czcionką: „Jak pewne są nasze służby bezpieczeństwa?”. Plus 11 stron o tym, że zamiast chronić demokrację, zaczynają jej zagrażać.

Jeszcze mniej zabawny wydaje się fakt, że sędzia Malsack-Winkemann, niedoszła minister sprawiedliwości w niedoszłym rządzie, aż do aresztowania była w posiadaniu legitymacji uprawniającej do wejścia do Bundestagu. Jej rola w spisku jest nie do przecenienia, przez cztery lata zdążyła poznać w Reichstagu każdy kąt i to ona właśnie miała umożliwić wtargnięcie do gmachu swoim ziomkom. A wtargnąć, po czym skuć w kajdanki ministrów i posłów, miało około 25 mężczyzn i kobiet. Spiskowcy liczyli, że akcja doprowadzi do zamieszek w całym kraju, a te umożliwią zamachu stanu, czyli rząd tymczasowy z księciem Reuß na czele. „Zniszczymy ich, teraz to już koniec!” – miał powiedzieć niedoszły premier w przechwyconej rozmowie telefonicznej.

— GODZ. 11.05 —

Myślę o tym, że atak na Reichstag miał już raz miejsce, dwa lata temu podczas antyrządowej demonstracji skupiającej antyszczepionkowców, płaskoziemców, neonazistów, wszelakie skrajne ugrupowania lewicy i prawicy, kiedy to obok homofoba w marszu spotkać można było drag queen, niejakiego pana Brauna z Konfede-

stów i faszystów, ezoteryków i wprowadzając chaos, przygotowuje się do Dnia X, czyli do przejścia władzy w Niemczech. Te tematy to najwyraźniej moje przeznaczenie.

GODZ. 14.00

A tymczasem okazuje się, że Obywatele Rzeszy wciąż napawają niektórych komentatorów wesołością. Warto wesółkom przypomnieć, że parę miesięcy temu zwolennicy monarchii zamierzali porwać na oczach kamer i wielomilionowej widowni niezwykle popularnego ministra zdrowia Karla Lauterbacha. Jak wykazało śledztwo, ochrona ministra miała zostać unieszkodliwiona „oddaniem strzałów z karabinów maszynowych”. Błogosławieństwo miało nadejść z Rosji.

Za kilka dni Michał Nogaś zapyta mnie w audycji „8:10”, czy do zamachu stanu mogło rzeczywiście dojść. Odpowiem, że właśnie z powodu tego zaniechanego porwania nie mogło, bo służby były już czujne. Lecz czy można być wszędzie na każdym profilu Instagrama, Facebooka, Twitera i Telegrama, podsłuchać każdą rozmowę, podsłuchać wszystkich? W moich książkach tak, ale w rzeczywistości jeszcze nie. Chyba nie. Nie wiem.

GODZ. 15.40

Wciąż jestem jednak spokojna i żaden udaremniiony pucz nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. W końcu wychowałam się w Niemczech, państwie od założenia przez Bismarcka wstrząsanym przez powstania, pucze, terrorystyczne ataki. Od kilku lat wciąż czytam o rzeczach, które się nie wydarzają w praworządnym państwie i ponoć 20 lat temu nie mieściły się niemieckiemu obywatelowi w głowie. Mnie się mieściły. Właśnie dostałam się na studia, był rok 1992, kiedy w Mölln neonaziści podpalili dwa domy dla uchodźców, zabijając trzy osoby. Dziesięć lat później komórka terrorystyczna NSU składająca się z dwóch mężczyzn i jednej kobiety, prawicowych ekstremistów, jeździła po Niemczech, napadając na banki i strzelając do osób wyglądem przypominających obcokrajowców, w sumie zabili dziewięciu niewinnych ludzi i policjantkę. W roku 2019 neonazista zastrzelił w Kassel lokalnego polityka CDU na tarasie jego domu. W tym samym roku zwolennik antysemickich teorii spiskowych zaatakuje synagogę w Halle i zastrzeli dwóch przypadkowych ludzi. Rok później, w 2020 r., prawicowy ekstremista zastrzelił dziewięć młodych osób z rodzin imigranckich, następnie zabił matkę, na końcu siebie. Policja odnajdzie w jego zapiskach fantazyjne teorie spiskowe. A co z ruchem Pegida i ich demonstracjami, podczas których obok neonazystów i radykałów spotkać można było rodziny z dziećmi? Pozornie zwykli obywatele, którym coraz mniej podobają się system, biurokracja, przyjmowanie uchodźców, którym w ogóle coraz mniej podoba się wszystko. I to tak bardzo im się nie podoba, że AfD z małej partii zmienia się w dużą partię.

Dlatego to, co wydarzyło się 7 grudnia, nie ma prawa mnie szokować. Wszystko układa się w jasny obraz. Nie rozumiem tylko zdziwienia licznych znajomych i nie rozumiem przestraszonych twarzy dziennikarzy gromadzących przed telewizorami wciąż jeszcze milionową publiczność. Jak mogło do tego dojść? Jak to się stało? – pytają. A ja zastanawiam się, czy oni i ja żyliśmy w ostatnich 30 latach w dwóch różnych Republikach Federalnych Niemiec.

GODZ. 16.00

Telefon na szczęście gdzieś się zapodział i myślę już tylko o nowym rozdziale do nowej książki. Manuskrypt mam oddać już w marcu, więc nie piszę felietonów, nie jeżdżę na spotkania autorskie, mam tylko je-

den cel – na czas oddać trzecią część trylogii berlińskiej. A jednak do wieczora przeczytam wszystko, co można przeczytać na temat puczu, obejrzę konferencję prokuratora generalnego, talk-show Lanza, wysłucham ekspertów i z niedowierzaniem przeczytam znajomych dziennikarzy, którzy nazywają to, co się wydarzyło, operetką, komedią i absolutną przesadą. A nawet poradzą innym dziennikarzom, żeby nie siali paniki. Popatrzę na rozweselone twarze polityków, którzy pękają ze śmiechu, widząc starszego pana Heinricha XIII w sztruksowej marynarce, apaszcze i z zacięsanym za uchem siwym włosom.

Kiedyś, dawno temu najsłynniejszy polski publicysta powiedział mi, żeby wystrzegać się ambitnych młodych recenzentów, którzy rozszarpiają najlepszą książkę i najzdolniejszych ludzi, aby tylko pokazać swój lwi pazur. Najwyraźniej ta choroba dotyka nie tylko młodych recenzentów, ale też doświadczonych dziennikarzy. Cynizm i szyderstwo to cnoty, dla których dałby się zabić co drugi europejski inteligent. Pierwsze przykazanie publicysty: wyśmiać wszystko, byleby nie wydać się naiwnym. Albo do brym. Albo czułym. Empatycznym. „Szydera” to słowo, które powinno wygrać plebiscyt naszych nowożytnych czasów. I tak oto czytam felietony, komentarze, oglądam filmiki na YT, a w nich natrząsanie się z tych, którzy widzą w grupie spiskowców więcej niż tylko wariatów. Bardzo śmieszy ich ten nowy rodzaj terroryzmu, na który składa się nienawiść bardzo zróżnicowanych grup, które łączy jedno: nienawiść do ustalonego porządku i do elit politycznych.

W jednej sprawie należy przyznać prześmiewcom rację, i o tym też po wielu dygresjach powiem Nogasiowi. Po pierwsze, puczyści nie mają jeszcze takiego przełożenia, aby reszta obywateli przyłączyła się do ich szaleńczego planu (choćaż Ach-tung! i tu kolejna dygresja, kiedy za kilka dni udam się z berlińskim taksówkarzem w podróż do innej dzielnicy, a ten powie mi, że Książę Puczysta jest jego idolem, nie jestem już taka pewna). A po drugie, zapewne do zamachu i tak by nie doszło, ponieważ policja i służby zbyt starannie rozpracowały domniemyanych zamachowców, aby dać się zaskoczyć. Po tylu wcześniejszych wpadkach, niedociągnięciach i skandalicznych przeoczeniach teraz nie mogli nawalić. Gra szła o wszystko. Dlatego w tym przypadku zasługują na najwyższe słowa uznania.

Zatem do zamachu by nie doszło, lecz ile rzeczy mogłoby się wydarzyć po drodze? Wciąż myślę o tych karabinach maszynowych.

WIECZOREM

W wyborach do Reichstagu w 1928 r. nazisci zdobyli tylko 2,6 procent głosów i bardzo bawiły wówczas obywatele karykatury niedosłego puczysty z Monachium – Hitlera. Naczytałam się powieści historycznych i powieści z tamtych czasów i naprawdę tak jak śmiano się z Hitlera w Niemczech, nie śmiano się nigdzie indziej: karykatury, kabarety, satyry, ha, ha, ha, jak jest zabawnie!

Bardzo śmiano się 90 lat później w sąsiednim kraju, śmiano się z PiS, drwiono z PiS, a kiedy straszono PiS, słyszało się od rozsądnych, lubiących spokój i rozwaagę: przestańcie straszyć! Tymczasem mamy już rok 1931 i poparcie dla NSDAP wynosi 18 procent. Ale przecież i to nie zadziało się bez przyczyny. Zanim Hitler doszedł do władzy, młoda niemiecka demokracja zdążyła utworzyć 20 gabinetów rządowych. Coraz bardziej popularne stawało się niebezpieczne przekonanie, że naprawy wymaga cały system polityczny, i nagle w centrum uwagi znaleźli się propagatorzy radykalnych rozwiązań. Wtedy jeden silny człowiek, taki, jakiego znamy go dzisiaj, był kimś nowym, świeżym, dla wielu wciąż karykaturalnym, bo nikt nie miał z tyłu głowy jeszcze obrazów z Auschwitz.



FOT. GETTY IMAGES

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Sophia de Mello Breyner Andresen*

Teraz

Teraz w chwili czystej prawdy trzeba powiedzieć prawdę całą
Nawet tę której ludzie nie chcą słyszeć w ten dzień gdy o ludziach mowa
Bo trzeba aby lud powrócił z długiego wygnania
I usłyszał całą prawdę a nie półprawdę

Półprawda to jak zamieszkiwanie połowy pokoju
Zarabianie połowy pensji
Jak prawo do tylko
Połowy życia

Demagog zdradza połowę prawdy
I zrzęcznie odrzuca resztę
Bo myśli że lud jest zdolny do połowy myśli
Bo myśli że lud nie rozumie ani nie wie

Prawda to nie specjalność
Wyszkolonych czytanych duchownych

Nie wystarczy krzyczeć lud trzeba pokazać
Wyjść od oczu dłoni i rozumu
Wyjść od czystości podstawy

Tak jak wychodzi się od słońca morza powietrza
Tak jak wychodzi się od ziemi gdzie są ludzie
By stworzyć ziemską pieśń
– Pod nieobecnym milczącym uważnym spojrzeniem –

Byśmy stworzyli ziemskie świętowanie
W nagość radosną odziani
20 maja 1974 r.

***Sophia de Mello Breyner Andresen** – 1919-2004, jedna z najważniejszych XX-wiecznych poetek Półwyspu Iberyjskiego. Obok kilkunastu tomików poezji autorka opowiadań, noweli dla dzieci, sztuk teatralnych czy esejów. Wiersz „Teraz” powstał kilka tygodni po „rewolucji goździków”, przewrocie wojskowym, w którego wyniku upadł w Portugalii autorytarny system władzy.

Tekst za polskim wydaniem poezji de Mello **„Oto ja. Wiersze wybrane”**, przeł. Gabriel Borowski, Wyd. Lokator, Kraków 2022.

Gdyby ktoś się dziwił, skąd w obecnych niemieckich elitach rządzących ten lęk przed zmianą nastrojów, przed inflacją, zanikiem poparcia, to wystarczy, że obejrzy serial „Babilon” albo przeczyta fantastyczną berlińską trylogię Philipa Kerra, i wiele dowie się o swoich najbliższych sąsiadach Niemcach. I zawsze wyjdzie jedno: Berlin nigdy nie był miastem spokoju.

8 GRUDNIA, 8.00 RANO

Za każdym razem, kiedy opowiadam niemieckim wydawcom o kolejnej książce, patrzą na mnie jak na kosmitkę. „Dlaczego ty musisz tak przesadzać? Napisz najlepiej jakąś rodzinną historię. Coś o Polsce”. Dzisiaj rozmawiam z kolejnym wydawcą, pyta mnie, czy znamam osobiście księcia. Nie! Czy przeniknęłam ich struktury. Nie! Chyba mi nie uwierzył.

Za to francuskie tłumaczenie już się tworzy i wydawnictwo, które z powodzeniem wydaje wszystkie moje książki, zacie-
ra ręce.

DZISIAJ, 4 NAD RANEM

Jak zwykle nie wiedziałam, od czego zacząć felieton, a teraz nie mogę go skończyć. Przebiegłam cały tekst i wyrzuciłam dro-

gie sercu zdania, żeby mi redaktor nie wyrzucił połowy tekstu. A szkoda, bo napisałabym Ci jeszcze, Drogi Czytelniku, o armii cieni i o akcji służb, którą nazwali akcją „Cień”, ale może to i dobrze, bo przeczytasz o tej armii cieni w mojej powieści.

Glupio samemu polecać własną powieść, naprawdę, proszę mi uwierzyć, choć jeszcze gorzej być prorokiem, będąc Polką mieszkającą od dziecka w Niemczech i piszącą po polsku.

Następną książkę postaram się napisać tylko o miłości. To oczywiście żart. ●

„Tunel”, „Magik” i „Książę” – kryminały historyczno-polityczne Magdaleny Parys – na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl



HONORATA

Była mi bliższa niż wszyscy

KRYSTYNA JANDA

N

Niemniej robiłam rolę za rolę, cztery filmy rocznie, grałam cały czas w teatrze, śpiewałam, występowałam w kabarecie Pod Egidą, a jednocześnie miałam małe dziecko i rozpadające się powoli małżeństwo.

Ale miałam Honoratę! Gosposię, która zbierała do kupy i regulowała wszystko, szczególnie moje ego, rządziła niepodzielnie i stawiała mnie do pionu. Spotkałam ją w kościele na miesiąc przed moim ślubem. Jeszcze studentka, byłam przerażona tym małżeństwem. Poszłam do kościoła i tam w pustym budynku usłyszałam cichy płacz. Stara kobieta, wiejska, w chustce na głowie, z perkatym nosem. „Służyła” u dalekiej rodziny, wyrzucili ją i nie miała się gdzie podziać. Była z Dąbrowy Tarnowskiej, mówiła taką gwara, że prawie jej wtedy nie rozumiałam i do końca, tak naprawdę przez kolejne 14 lat, rozumiałyśmy ją tylko ja i moja córka. Przyprowadziłam ją wtedy do mieszkania rodziców i powiedziałam przyszłemu mężowi, że zaangażowałam gosposię, że będzie się nami zajmowała. Miałam absolutny przebłysk geniuszu, nie umiałam gotować, sprzątanie mnie nudziło, kiedy się wyprowadziłam od rodziców i chciałam raz przyszłemu mężowi ugotować zupę, zadzwoniłam do mamy i zapytałam, skąd się bierze ta woda w zupie, śledzie zrobiłam w oliwce kosmetycznej Bambino, bo nie było w domu innej, a kałafiora ugotowałam z octem, bo go zamoczyłam, żeby wyszły z niego glisty (tak robiła babcia, tyle że potem odlewała tę wodę z octem, czego już nie skojarzyłam). Po ugotowaniu z tym octem był koloru fioletowego. Trzeba przyznać, że mąż zjadł go, nie mrugnawszy okiem, ale wiedziałam, że wszystko jest NIE TAK, a ja się tego, żeby było TAK, nie miałam ochoty uczyć.

Teraz należę do grupy internetowej Chujowa Pani Domu i jest mi ta grupa bardzo bliska.

Tak więc na moim ślubie była już moja gosposia, która wyglądała tak, że wszyscy zachodzili w głowę, skąd ją wytrzasnęłam, ale mnie było wszystko jedno. Potem tak samo ubierała przez lata Marysię do przedszkola i do szkoły: grube majtki, spodenki, na to spódniczka, sweterek, kurteczka, czapka, na czapkę chustka, szalik itd., itd., ale dziecko nigdy nie chorowało i było szczęśliwe. Honorata nie miała własnych dzieci, ale miała instynkt nieprawdopodobny, dany od Boga. Kochała Boga, Marysię i mnie miłością czystą i ślepą, męża niekoniecznie, wszystkich innych podejrzewała o złe intencje. Kiedy odwiedzały mnie mama z siostrą, gderała w kuchni: „O, jus psylazły, mamusia z siostrusią, kazały se dać kawów, rozsiadły się, a ta baba – to ja, bo byłam dla niej zawsze babą – katai – czyli pracuje – od rana do nocy i świata nie widzi. A Un – Un to był mąż – Un tyż jak ponczek w maśle. Onego ciągle ni ma, a baba ze wszystkim na głowie. Nadaje i nadaje – to znaczy gram – w fimie, telewizji, radyju, teatrze, chuda i zalotana. Oj, babo, babo: one cie zeżrą wszystkie z kopytami”. Zajmowała się domem, dzieckiem, gotowała, robiła zakupy i czekała na mnie, nigdy nie zjadła nic przede mną, a najchętniej po mnie dojadła; krzyczałam i błagałam, nie pomagało. Ja po teatrze i całym dniu pracy jadłam kolację, a ona donosiła – na sąsiadów, moją rodzinę, a przede



• Krystyna Janda
i Edward Klosinski,
grudzień 1989.

FOT. ANDRZEJ WIERNICKI / EAST NEWS

To Honorata najpierw mnie wyprowadziła z pierwszego małżeństwa. Pewnej nocy powiedziała: „Będzie tego! Bierz dziecioka i idziemy do tatusiów”, a potem znalazła mi męża i wprowadziła do drugiego małżeństwa

wszystkim na męża. „Babo, połóżynaś se na stolicku 50 grociszów, a on przeszedł, smyrnął łapą i ci zabran...”. „Pani Honorato, nie zabrał, tylko leżały, ponieważ się”. „Oj, babo, ja wim swoje. Każdy chłop taki som!”. Mężów, zresztą, i pierwszego, i drugiego, często nie było.

Nauczyłam ją czytać, pisać nauczyła się z Marysią, kiedy ta poszła do szkoły, nauczyłam też ją czytać godzinny zegarek i była z tego bardzo dumna. Kupiłam jej wielki męski zegarek i go nosiła na rękawie, na wierzchu.

Usypiała Marysię, bujając się w fotelu bujanym, wal-
kując nogą kota i czytając jej do snu kronikę sądową
w „Expressie Wieczornym”: „Za-za-za-bi... zabił i po-po-
-poć-poć-wia-rtwowal. To świnią jedna! Zatrąceniec! Po-
-po-tem za-za-kopał w le-le-sie. Sumienia ludzie w sercu
nie mają, Matka Bożuchna płacze żelaznymi łzami przez
takich. Ale ludzie mordercy, Maryś”. Usypiała moje dziec-
ko, wymieniając, jak się po kolei paliła w niedzielę wieś
Nieczajna, gospodarstwami, polami... „Brysie – matka jem
się spaliła i styry krowy, Gruce – strasznie dużo zwierząt,
bo zamknęni, jak sli do kościoła. Wątroby, Grudy... itd.
Ksiądz na mszy zawołał z ambony: »Ludzie, lećta do Nie-
cajny, bo się pali«, a tam same stare leżące, dzieci i bydle-
ta zostały... Lecieli my na bosaka i głodne, bo butów nie było
i komunii my jescze nie wzięni, tylko wody trche w ustach
mieli”. Marysia była zawsze dla niej Maryś. Zawiązywa-
ła jej buty do siódmego roku życia, a wołała: „Zezuj se, Ma-
ryś, bucicki”, kiedy wracały. Co rano budziła mnie jej li-
tania do Marii Przenajświętszej – krzątała się po kuch-
ni (mieszkanie miało 35 metrów) ze szmatą na kota i śpie-
wała: „Kochana matko, najdroższa matko... A pudziesz ty,
cholerniku zatracony – to na kota. – Ulubiona matko...”.
Ja, młoda i szalona, bez zastanowienia przyprowadzałam
do domu kolejne zwierzęta: psa szczeniaka, po którego
siusianiu odeszła cała klepka, kota czarnego, bo na szczę-
ście, kanarka, papugę, a ona sobie z tym wszystkim mu-
siała radzić. Kiedyś po jakichś zdjęciach w filmie wraca-
łam do domu, przed kioskiem wielka kolejka, a w kiosku
na miejscu sprzedawcy Honorata. „Zaraz ten pon przyj-
dzie, nie denerwujta się, ludzie”. „Pani Honorato, co pani
tu robi?” „Babo, nie wścikaj się, kioskarz chodzi z naszym
psem na spacer, bo ja nie mom siły, a ja mu za to dwie ka-
wusie co dnia znosze. Tak, babo, ten pies ciągnie, tyle ma
gad sił, a ja stara”. No i sobie poradziła. I tak ze wszyst-
kim. Kiedy w stanie wojennym niespodziewanie dostałam
paszport i mnie wypuścili z dzieckiem do Francji, miałam
przez Film Polski podpisany kontrakt, zostawiliśmy ją sa-
mą na półtora roku, a kiedy wróciliśmy, wszystko było jak
dawniej. Jak ona dała radę, do dziś nie wiem.

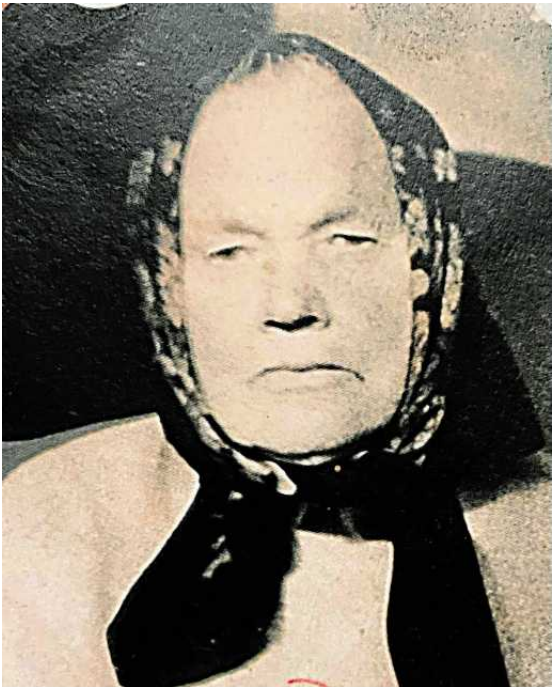
Oglądała telewizję, ale myślała, że to okno. „Dyszcz?
Nima dzyszczal”. Tłumaczyłam: „Pani Honorato, to
się nie dzieje tu i teraz, mówilam pani”. „No prze-
cież wim, babo, masz mie za gupiom? O, mówio, że poma-
rańcy przywieźli statkiem, jutro polece do sklepu”.

Pewnego dnia w jakiejś artystycznej sprawie odwiedził
nas pan Andrzej Łapicki – przywitała go, żegnając się: „Je-
zusie, to ty żyjes? Chłopie, a przecie żeś umarl!”.

Stanął skonsternowany. „Pani Honorato – ucinalam
zniecierpliwiona – to było w filmie. To nie było napraw-
de!” „No przecież wim! – odburczała. – Ale że żyje, tom się
zdziwiła. Chcesz kawki pon?”. Kiedyś w telewizji ogląda-
łam festiwal jazzowy, przysiadła się Honorata, jakiś naj-
wybitniejszy perkusista świata grał solo na perkusji. Ho-
norata obserwowała go zdumiona, nagle wybuchnę-
ła śmiechem i zaczęła z nim rozmawiać: „A nie wał tak?
Coś zgupial! Patrz, babo: gupioka! Ale tarabani. Umordo-
wał się, upocił. Wymóciłbyś za ten cas! Chłopie! Gupio-
ku! A uspokóże się”. „Pani Honorato, on gra. To jest wy-
bitny muzyk”. „El Oj, babo, ludzie pogupieli na tym świe-
cie!”. Pewnego razu weszłam do domu i jednocześnie by-
łam w telewizji. No to było za dużo dla niej, popatrzyła na
mnie, na mnie w telewizorze i zmateriałizowało się nie-
możliwe. „Eee, eee, ide spać” – wycofała się, żegnając.

Kłopot był z telefonem. Tłumaczyłam, prosiłam, żeby
nie odkładała słuchawki, kiedy idzie po mnie, żebym przy-
szła do telefonu. Nie rozumiała, że rozłącza rozmowy. Kie-
dyś byłam w wannie. Zadzwoił telefon. Zapukała do ła-
zienki: „Chodź ino tu, bo jakiśik Wajdyja dzwoni. Mówi, że
ważne, babo”. Wyskoczyłam z wanny, naga, mokra, wy-
rwałam do telefonu. Słuchawka na widelkach! „Pani Ho-
norato! Tyle razy mówiłam! Znowu pani rozłączyła! Ile ra-
zy mam pani mówić!!!!”. Zła podeszła do telefonu: „A nie
drzyże się tak, może ón tam jeszcze jest”. Podniosła słu-
chawkę. „Pon, jesteś tam? No jest. – I z triumfem podała
mi telefon. – Godoj do niego”. Nie rozłączyło się! Tym ra-
zem się nie rozłączyło, lata nauki poszły na marne, a ona
odeszła, znacząco pukając się w głowę, że niby mam się
zastanowić nad sobą. Rzuciła mi tylko ręcznik pod mo-
kre nogi, bo zrobiłam kałużę. Z nagością były problemy.
Chodziłam, biegałam, rano, w nocy, z szybkości po mies-
zaniu nago. Robiłam zawsze po trzy rzeczy naraz, śpie-
szałam się całe życie, nie zwracałam na drobiazgi uwagi.
Pewnego razu Honorata wróciła z Marysią z piaskowni-
cy. „Wisz, babo, ja się za ciebie modle i daję na ofiarę, że-
byś zmądrzała i za to, że tak nago latasz, ale rozmawia-
łam w piaskownicy z kobitami, ich córki i ony tez tak lo-
tają, i w takich samych burnusach do pracy jak ty chodzo,
szmaty takie jak i ty ubierają, powyciągane, kupiłaś se
coś ładnego, jak ty wyglądas! I tak cud, że one do nadawa-
nia ciebie chciom”.

Uwielbiała gości, była cały czas w domu sama, męża
prawie nigdy, ja w pracy, Marysia w przedszkolu.
Listonosza trzymała na siłę, pierogami karmiła,



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Pewnego dnia w jakiejś artystycznej
sprawie odwiedził nas
pan Andrzej Łapicki – przywitała
go, żegnając się: „Jezusie, to ty żyjes?
Chłopie, a przecie żeś umarl!”*

zupką, kieliszeczkiem, moich gości zabawiała, kazała
czekać, zniechęcała do angażowania mnie, zawiadamiała,
że jak chcą, żebym nadawała, to ja się nie zgodzę, bo mam
dziecioka w domu. Wtedy nie było telefonów komórk-
owych, informacje przechodziły trudniej. Nie wiem, ilu re-
żyserów wystraszyła, ale jeden z nich opowiadał mi potem,
że przysięgała: „Choćbyś jej pon o tu, pod sufit, pieniędzy
nałożył, to ona nie będzie nadawać, bo ma dziecioka i tu
musi siedzieć”. Wypytywała ich o wszystko – czy chodzą
do kościoła, czy mają żony, dzieci itd. Kiedyś czekała na
mnie wieczorem jak zwykle, ja wykończona jadłam, co mi
podała, a ta nagle: „Wiesz, babo, taki tu Romuś przylata.
Miły chłop, ale dziwny. Żony ni ma, dziecioków ni ma,
delikatny taki jakiś. Zawsze głodny, nawet mu ostatnio
w słoik zupy dałam do domu. Co jest z tym chłopem?”.
Ja, zmęczona, bezmyślnie: „Oj, pani Honorato, bo to
jest gej”. I poszłam do siebie. Kiedy już leżałam w łóżku,
przyszła. „A co to je gej?”. „O matko, pani Honorato! Taki
chłop, co z chłopem śpi i się w chłopach kocha” – zawsze
rozmawiałam z nią w jej stylu. Przez następne dni nie
zwracałam na nią uwagi, ale w niedzielę ze zdumieniem
zauważyłam, że nie poszła do kościoła. Nie miałam do tego
głowy. Pod koniec kolejnego tygodnia zasłabła. Przerażona
zaczęłam z nią rozmawiać, okazało się, że pości od wielu
dni i do kościoła nie pójdzie. „Babo – zaczęła płakać – tyle
lat zeżyłam i o takich rzeczach nie wiedziałam, a ty mi
pod koniec życia musiałaś cos takiego powiedzieć”. No cóż
miałam robić, tłumaczyłam, przepraszałam, rozmawia-
łam, wreszcie w kolejną niedzielę uznałam, że sama nie
dam rady. Poszłam do księdza do parafii św. Katarzyny,
na który to kościół Honorata oddawała co miesiąc prawie
całą swoją pensję, i postanowiłam przyprowadzić tamtej-
szego księdza. Rozmawiali zamknęci długo i o 18 ksiądz
ją wyprowadził do kościoła na wieczorną mszę, wydawało
się, pogodzoną z losem i światem. A propos pieniędzy,
Honorata wspomagała wszystkie kościoły dookoła nas, aż
się zdenerwowałam, zaczęłam jej wypłacać połowę pensji,
a drugą połowę, zamieniając na dolary, chować, co wzbud-
dziło niespodziewanie jej wielkie uznanie. Uratowałam tak
przed jej ofiarnością sumę bardzo jej potrzebną w ostat-
nich latach, kiedy była już pensjonariuszką domu opieki
dla emerytowanych księży i zakonnic.

Najpierw jeszcze co roku jeździłam z nią na bazar Ró-
zyckiego kupować sukienkę, sandały i chustkę do trumny,
a ten zestaw z poprzedniego roku zaczynała nosić.

Kłóciła się na tym bazarze z największą przyjemno-
ścią, targowała na całą Warszawę, ja ze wstydu ucieka-
łam, bo najpierw przedstawiała wszystkim mnie, tym, co
chcieli i nie chcieli, jako swoją panią. W autobusie, kiedy
wsiadaliśmy, mówiła: „Pochwalonego”, kazała pierwsze-
mu lepsze mu mężczyźnie wstać i mnie ustąpić miejsca.
„Pon, wstań, niech se moja pani usiedzie, bo ona umen-
czona baba”. Ja, 24-, 25-latką, ze wstydem siadałam, bo
nie było dyskusji, ona stawiała nade mną, 70-latką, i cale-
mu autobusowi oświadczała, że jedziemy na bazar po rze-
czy do trumny, ja jestem jej panią, co nadaje, i przepytywa-
ła kolejno, co ksiądz mówił u nich w niedzielę na kazaniu.

Ludzie albo się śmiali, albo uciekali, ale ja się przyzwy-
czaiłam i mnie to tylko rozczulało. Gdyby jej ktoś zwrócił
uwagę, wydrapałabym oczy.

Po latach najpierw złamała biodro. Był to okres, kiedy
robiłam serial „Modrzejewska” w wytwórni na
Chelmskiej. Leżała w szpitalu na Stępińskiej i były
tam z nią problemy astronomiczne. W każdej przerwie
obiadowej, w krynolinie, stylowej sukni, przerobiona kom-
pletnie na Modrzejewską, zjawiałam się w szpitalu, żeby ją
karmić, a ona przyjmowała pokarmy naprawdę tylko ode
mnie i tylko przy mnie brała leki. Potem, kiedy już nie mia-
ła siły ani nie chodziła dobrze, poprosiła mnie o załatwie-
nie miejsca w domu starców dla emerytowanych księży
i sióstr. Udało się to daleko, za Tarnowem, i przez kilka
lat, wracając z występów, wstępowałam tam, najczęściej
nocą, o 2 czy 3 w nocy, z kwiatami na ołtarz, w sztucznych
rzęsach i z przyklejonymi paznokciami jako Callas, jako
Medea, jako Gizela z „Dwoje na huśtawce”. Budziłam cały
dom, ustawiali kwiaty w kaplicy, a ona opowiadała mi, co
się dzieje, i chowała pieniądze, które jej zostawiałam pod
poduszką, żeby siestrusie nie zabrały. Rozczarowała się
do służby Pana Boga na starość, opowiadała niestworzone
rzeczy, nawet w nie nie wierzyłam do końca. Kiedy umar-
ła, jak zwykle grałam, ale Marysia pojechała na pogrzeb.
Ksiądz cały czas, wspominając ją, mówił o niej Rozalia, na-
wet nie pofatygował się o sprawdzenie jej imienia. Rodzina
nie zaprotestowała i tak pogrzebano najbardziej wierną
córę Kościoła i Boga, najbardziej sprawiedliwą i oddaną.
Pod imieniem Rozalia.

Honorata bywała w teatrze. Widziała mój debiut
w „Ślubach panieńskich” – Anielę w Teatrze Ate-
neum („Aniela jest od Aniola, a nie do Diabła” –
pisał mi na lustrze Jan Świdorski, reżyser i Radost w tamtej
inscenizacji). Potem była z Marysią jeszcze kilka razy:
na „Mewie”, na „Ricie”, na „Nocy listopadowej”. Grałam
Marię w „Warszawiance”, Honorata z Marysią na kolanach
siedziały blisko sceny, nagle usłyszałam moje dziecko
mówiące na cały głos: „Kakusiu – bo mówiła do Hono-
raty Kakusiu – mamę widzę, tatę też (Andrzej Seweryn,
mój ówczesny mąż i aktor tego teatru), a gdzie ty jesteś?”.
Pomyliły się biednemu dziecku rzeczywistości.

To Honorata najpierw mnie przyprowadziła z mojego
pierwszego małżeństwa. Pewnej nocy powiedziała: „Bę-
dzie tego! Bierz dziecioka i idziemy do tatusiów”, a potem
znalazła mi męża i wprowadziła do drugiego małżeństwa.

„Babo, taki czerniawy tu do ciebie przylata, babo, on
je najlepszy. Poprosiłak go wcoraj, żeby przyniósł wia-
nek papieru toaletowego, i chłop przyniósł, wystął w kolej-
ce i przyniósł, nie wstydził się, niósł przez cały Urysnów,
a i okno umie naprawić. On ze swoją babą nie żyje, to bę-
dzie dobry. Tylko będziecie żyć w grzechu, bo ślubu z nim
nie weźmiesz, miał przed tobą rzymski, nie do odwróce-
nia, ale z pierwszym mężem nie miałaś ślubu kościelnego,
to ci nie zależy. Do kościółka i tak nie chodzisz. Ja się za
ciebie modłę. A Boga w sercu masz, to starczy. Kotki, pie-
ski, ptaszki, jak – nie przymierzając – Święty Franciszek je-
steś”. I tak wybrała Edwarda Kłosińskiego, światowej słay
operatora filmowego, przyjaciela mojego i Andrze-
ja Wajdy, na drugiego męża, z wielkim znawstwem i prze-
nikliwością. Co prawda, jak się Andrzej Wajda dowiedział
o naszym planowanym ślubie, tłumaczył Edwardowi:
„Edziu, Krysia się na wszystko nadaje, ale nie na żonę. To-
bie trzeba kogoś, kto ci herbaty poda”. Edward odpowia-
dał: „Ja jej chętnie podam, co będzie chciała”. Ja płakałam
w toalecie w domu Wajdów na Żoliborzu przez sześć go-
dzin i nie chciałam wyjść, w rezultacie obaj mnie przepra-
szali i przez szczelinę pod drzwiami wsuwali ciastko.

Honorata, wielka postać, wielka, najbardziej inteli-
gentna i mądra życiowo osoba, jaką znałam. Bóg
czy los ją postawił na mojej drodze w nagrodę za
nie wiem co, na drodze naszej rodziny i mojej córki Mary-
si, którą wychowała. Bylibyśmy innymi ludźmi, gorszymi,
bez niej. A ja na pewno nie byłabym aktorką i człowiekiem,
jakim jestem. Bo aktorstwo miszy się człowieczeństwem.
Dała mnie i mojemu dziecku wszystko, co miała: dar
miłości, wierności, lojalności, przyjaźni. Nie rozumiała nic
z naszego życia, z mojej pracy, zmagani, lęków, sukcesów
i porażek i miała je za nic, na szczęście. Byłam dla niej
tylko babą, co katai, i wszystko ustawiła w odpowiednich
proporcjach. Przetrzymała i za nic miała moje histerie,
lzy, pomyłki, niezręczności, grzechy młodości i nieuwagi,
obcesowość wobec starej, chorej i prostej kobiety, ale
wiedziała, że ją kocham i nie dam zrobić krzywdy. Była mi
bliższa niż wszyscy. To dzięki niej mogłam grać, czytać,
szaleć, mądrzeć, uspokajać się, zakochać, odbierać holdy
i nagrody, które ona potem wrzucała do pudła i wsuwała
je pod łóżko. „Po co te bambusy mają się kurzyć. Daliby co
wartościowego, a tu tylko jakieś szkła i kamienie”. ●



Wszystkie rozmowy i opowieści
o Krystynie Jandzie na
wyborcza.pl/magazyn

Moim zdaniem pan Piotr Gliński jest przypadkowym człowiekiem na tym miejscu. Wykonuje plan cudzy. To widać w jego chaotycznych wypowiedziach. Tak nie mówi człowiek, który rozumie swoje decyzje

W ROZMOWIE Z AGNIESZKĄ KUBLIK

Po śmierci męża nie zamknęła się w bólu, wyszła do ludzi. Pokazała wielu kobietom, że z nieszczęścia można wyjść bez wrogości do całego świata. Że twórcza praca z ludźmi i dla ludzi to najlepsza rzecz pod słońcem

Jadę na rowerze po zakupy. To będzie przeżycie! Chyba najpierw wstąpię na cappuccino w barze na placyku. Ach, zapomniałabym napisać, że Renato Cardinale, wynajmując mi rower, klepnął mnie w tyłek. No cóż, Włochy. W ogóle się nie oburzyłam, a nawet mi to pochlebilo. Bo jest tu przecież dużo młodszych dam wynajmujących rowery

19 kwietnia pisze o decyzji Ministerstwa Środowiska, które chce odstrzalu jeleniowatych w Lesie Warmińskim z powodu zgryzania przez nich pędów młodych drzew. Cytuje wpis ze strony Ogólnopolskiego Strajku Kobiet: „Komisja Zdrowia przegłosowała zmianę, EllaOne dostępna będzie tylko na receptę. Nie oddamy EllaOne tak łatwo”. 20 kwietnia poleca tekst Michała Boniego „Francuski łącznik. Dlaczego to tak ważne wybory?”. I wpis, że PiS zawarł umowy z konstytucjonalistami na przygotowanie ankiety w sprawie zmian w konstytucji, co oznacza, że partia płaci prawnikom za ekspertyzy. Wrzuca filmik z szefem północnokoreańskiego MSZ i notkę o Trumpie, który ostrzega Pjongjang. I odsyła do manifestacji w obronie niezawisłego sądownictwa. W rocznicę wybuchu powstania w warszawskim getcie na Facebooku umieszcza cytaty z Marka Edelmana: „Nienawiść jest łatwa, miłość wymaga wysiłku i poświęcenia”

AGNIESZKA KUBLIK

podsumowuje lata publicznego zaangażowania Jandy

*Panie Boże, czy głupi
też mają szansę na
zbawienie? Przecież
jest takie powiedzenie:
„Człowiek głupi,
ale dobry”*

Świetnie łączy rozum z emocjami. Codzienne zmagania z domową rzeczywistością splata z zawodowym życiem artystki, z pracą reżyserki i z doświadczeniami dyrektorki teatru. Ma więc dobre rozeznanie w problemach, z którymi zmagają się zwykli ludzie, a jednocześnie rozumie, z czym zmagają się szefowie firm, artyści oraz tzw. osoby publiczne

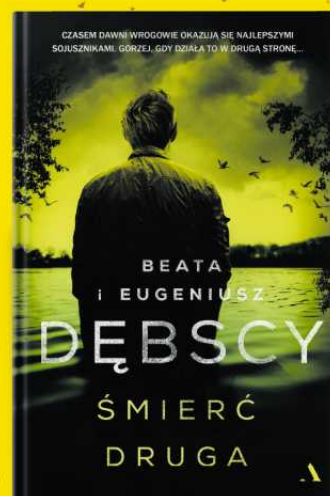
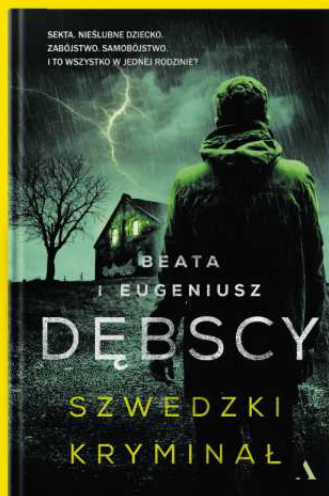
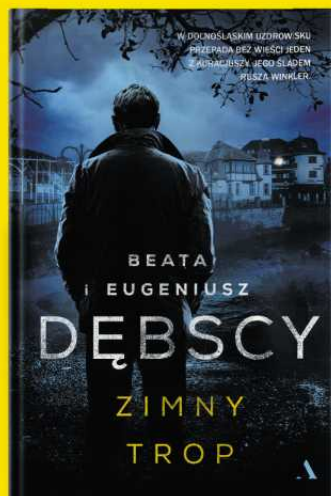
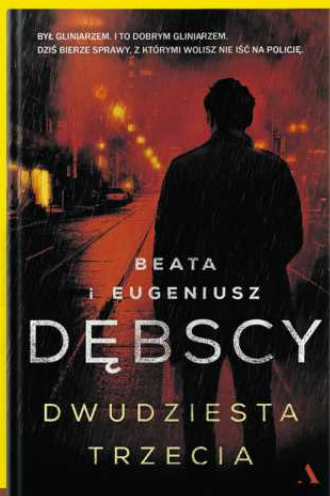
PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA

socjolożka, analizuje fenomen Jandy

Dzisiaj mam nieprawdopodobnego kaca. Kończę tę książkę na trzeźwo, bo z powodu tego złego samopoczucia smutniej i robię się zaczepna i niezdolna

FRAGMENT SZEŚCIOTOMOWEGO
„DZIENNIKA” JANDY

wydanego nakładem wydawnictwa
Prószyński i S-ka



Najlepszy prezent dla miłośników kryminałów

Dębscy dobrze wiedzą, jak niepostrzeżenie zaangażować czytelnika w wykreowany przez nich świat. I robią to z niesamowitą gracją! Świetny styl, realistyczne kreacje postaci i intryga nabierająca tempa proporcjonalnie do liczby przewracanych stron, gwarantują prawdziwą ucztę kryminalną!

Martyna Chmiel, kryminalnatarazu.pl

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



CZUŁE SŁÓWKA

Paskowyz

Na prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego zawsze można liczyć, kiedy już obejrzało się wszystkie komedie na serwisach streamingowych, a pożąda się rozrywki.

Michał Rusinek*



Co jakiś czas organizuje on bowiem pogadanki zwane konferencjami prasowymi, staje za mównicą w charakterystycznej, kultowej już, o numer za dużej marynarce i rozpoczyna godzinny monolog. Przy słuchaniu go warto się zaopatrzyć w popcorn. Oczywiście jeśli inflacja pozwoliła była nam szarpnąć się na tak kosztowną przekąskę.

Teoretycznie Glapiński zawsze mówi to samo: że, owszem, jest inflacja, ale inne kraje mają gorzej, bo nasz rząd robi wszystko, żebyśmy mieli lepiej, np. „uruchamia różne tarcze”, że jego zdaniem inflacja będzie spadać i że pod koniec przyszłego roku powinna być jednocyfrowa, ale to zależy od czynników zewnętrznych, których nie da się przewidzieć, że pracują u niego najlepsi analitycy, doceniani na całym świecie, że niebawem będziemy krajem dobrobytu, tylko żeby potem nie mieć do niego pretensji, jeśli będzie inaczej.

Za każdym razem dodaje jednak coś nowego, jak rasowy stand-uper. Ostatnio, odnosząc się do zarzutów, że członkowie Rady Polityki Pieniężnej nie mają wstępu do siedziby NBP, odpowiedział, że to nieprawda, bo „nie jesteśmy bantustanem”, czyli – jak czytamy w słownikach – niepraworządnym i źle zarządzanym państwem. Bantustany były sztucznymi bytami przypominającymi raczej rezerwaty, wydzielonymi niegdys z Republiki Południowej Afryki w ramach polityki apartheidu, a wyraz ten ma zabarwienie rasistowskie, nawet jeśli używa się go, jak prezes Glapiński, z zaprzeczeniem. Prezes NBP wypowiedział jednak to słowo na tyle niewyraźnie, że część dziennikarzy usłyszała „bankostan” (co w slangu ekonomistów oznacza model państwa, które szczególną opieką otacza bankierów), więc oburzenia nie było.

Oburzenie komentatorów wywołało natomiast stwierdzenie, że za wzrost inflacji są odpowiedzialni komunistyczni ekonomiści z rocznika pana prezesa, którzy wprowadzają dezinformację, a jej skutkiem jest wzrost cen. Glapiński dodał także, że czym innym jest kryzys w sensie potoczny, a czym innym w sensie ekonomicznym i że takiego kryzysu w Polsce nie ma. Poza tym inflacja w rzeczywistości „nie jest tak wysoka, jak ją malują media”. „Warto zacząć chodzić do sklepów” – zwrócił się prezes zapewne do tej części społeczeństwa, która żywi się wyłącznie informacjami medialnymi, a nie artykułami żywnościowymi. „Ja to zrobiłem” – oświadczył triumfalnie, a my, słuchacze, jesteśmy pełni podziwu dla jego heroicznego wyczynu. „Poszedłem z notesem do sklepów” – uściślił, ale też nie miał w tym notesie listy zakupów, tylko notował w nim ceny, dzięki czemu mógł dojść do wniosku, że „wbrew niektórym stacjom telewizyjnym z niepolskim kapitałem cena chleba jest niższa, masła też”.

Oburzenie publicystów wynikało wyłącznie z niewiedzy. Otóż wszystkie te nowości w stand-upie prezesa sugerują, że przeczytał on klasyczną już książkę „The Rhetoric of Economics” Deirdre N. McCloskey z 1985 roku. Nie cytował autorki z nazwiska zapewne dlatego, że jest ona osobą transpłciową, a więc należącą do grupy konsekwentnie wyszydzanej przez prezesa PiS; cytując ją, zakłóciłby zatem spójność partyjnego przekazu. W dodatku autorka przed korektą płci nosiła znienawidzone w kręgach prezesa imię Donald. Podstawowa teza jej książki dotyczy znaczenia języka w nauce, jaką jest ekonomia. Autorka obala modernistyczną tezę, że język wyłącznie opisuje zjawiska ekonomiczne, stawia natomiast inną: że język potrafi je tworzyć. Tak więc konsekwentne nazywanie jakiejś sytuacji „kryzysem” może doprowadzić do kryzysu jako takiego – zdaje się mówić za McCloskey Glapiński. Bo Glapiński okazuje się ekonomistą postmodernistycznym.

I właśnie dlatego, że jest postmodernistą, tak chętnie sięga do metafor. Nie boi się ich. Wie, że nie są wyłącznie paraliterackim ornamentem, ale mają funkcję poznawczą. Różnica między nim a McCloskey polega wyłącznie na tym, że amerykańska ekonomistka analizuje metafory w ekonomii, a Glapiński wyłącznie produkuje takie metafory i pozostawia je nam do analizy. W czasie ostatniej konferencji, mówiąc o inflacji, posłużył się na przykład metaforą płaskowyzu: „Inflacja jest bardzo wysoka, to cały czas jest płaskowyz – górki, dolki, ale nie ma pięcia się w górę” – powiedział. Metaforyczność ta ma napawać nas nadzieją: owszem, ceny drastycznie wzrosły, jeszcze jakiś czas utrzymają się na podobnym poziomie, ale zapewne w marcu-kwietniu przyszłego roku spadną równie szybko, jak kiedyś wzrosły. Metafory – co zauważa McCloskey – bywają jednak niebezpieczne. Na przykład jeśli przetłumaczymy sobie wyraz „płaskowyz” na język angielski czy francuski, otrzymamy „plateau”, a to słowo w polszczyźnie ma wyraźne konotacje seksuologiczne. Plateau to druga z czterech faz reakcji seksualnych: po podnieceniu, a przed orgazmem (climax) i odprężeniem. Kiedy więc metafora przeniesie nas nie w rejony geografii, ale w rejony seksuologii – a przecież jest do tego zdolna – to zamiast się uspokoić, jak chciałby prezes NBP, zaczniemy z niepokojem wyczekiwać jej gwałtownego skoku. Także z myślą o odprężeniu, które w przypadku braku orgazmu tak szybko i tak łatwo nie przychodzi.

Odprężeniu słuchaczy miało służyć zakończenie konferencji, kiedy to prezes Glapiński złożył wszystkim życzenia świąteczne i powiedział, żeby się nie kłócić przy stole i nie przejmować polityką czy gospodarką, bo „nie są one naprawdę najważniejsze z perspektywy życia”. Najważniejsza, jego zdaniem, jest miłość: „jak odczuwamy brak miłości, a nie mamy w pobliżu kogoś atrakcyjnego, komu moglibyśmy zaufać, to kupcie sobie psa, kota i to bardzo uspokaja”. Z tego zawiłanego gramatycznie zdania wynika, że obiekt miłości, zdaniem Adama Glapińskiego, powinien być nie tylko godny zaufania, ale też atrakcyjny fizycznie (chyba pamiętamy, jaki typ kobiety uważa pan prezes za atrakcyjny). Taka sytuacja grozi jednak stosunkiem płciowym, a więc i orgazmem. Ten ostatni zaburzyć wszak może płaskowyzową wizję inflacji, którą nam prezes przedstawił. Stąd zapewne obecność zwierzęcia domowego, które nas uspokoi i pozwoli szybciej zejść z fazy plateau do fazy odprężenia. Tak zapewne uważa wielu seksuologów. Musimy tylko uważać, żeby podążając za tą wizją, nie zakrzuszyć się popcornem. Bo wtedy z odprężenia nici.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2. Fragmentu książki Martyny Wojciechowskiej „Co chcesz powiedzieć światu”



„Co chcesz powiedzieć światu” to portrety dziesięciu
niezwykłych kobiet, które spotkałam na różnych
krańcach świata i w Polsce. Zainspirowały mnie,
pokazały drogę, dodały otuchy.
Ta książka to opowieść o odważnych kobietach,
ale też o mnie samej, bo bez nich nie byłabym tym,
kim jestem.

Martyna Wojciechowska

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Martyny Wojciechowskiej „Co chcesz powiedzieć światu” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

CHOSMW

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdz na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

N A S Z A E U R O P A



Koniec świata w Alpach

LÓD

POD CALUNAMI

• Tak wygląda w lipcu otulony materiałami izolacyjnymi lodowiec Rhone, jeden z najstarszych w Alpach, w pobliżu Furkapass w Szwajcarii

FOT. URS FLUEELER/KEYSTONE/AP

To normalne, że świat się zmienia. Ale dziś różnicę robi tempo. Antropogeniczne zmiany klimatu następują znacznie szybciej, niż spodziewali się pesymiści.

Katarzyna Boni

17 września wjechałam na 3 tys. m n.p.m., żeby zobaczyć fragment skały pomiędzy lodowcami Tsanfleuron i Scex Rouge. Upał lata 2022 dał się im we znaki: po raz pierwszy od co najmniej 2 tys. lat lód stopniał tak bardzo, że rozłączył lodowce.

Na górnej stacji kolejki Glacier 3000 były chmury, mgła i śnieg. Przez panoramiczną lunetę patrzyłam na biel: Mont Blanc, Matterhorn, Jungfrau, Eiger.

Odsłoniętego przejścia pomiędzy dwoma lodowcami – szramy, która je rozdzieliła – nie zobaczyłam.

Ale tydzień później połączyłam się z glaciologiem Maurem Fischerem z Instytutu Geografii Uniwersytetu Berneńskiego, żeby porozmawiać o tym, czego nie widziałam. Mauro z ramienia Glacier Monitoring in Switzerland od dziesięciu lat prowadzi sezonowe pomiary na lodowcach w regionie.

...

Co bym zobaczyła ze szczytu Scex Rouge, gdyby nie mgła?

– Przede wszystkim panoramę dużej części Alp. I dwa lodowce. Większy Tsanfleuron

i znacznie mniejszy Scex Rouge. Zobaczyłabyś także wąski pas skały macierzystej, która niedawno je rozdzieliła. Cienki lód łączący te dwa lodowce stopił się w pierwszych tygodniach września 2022 r.

Pierwszy raz od tysięcy lat.

– Co najmniej od 2 tys. Ale – gdybyś przyjechała przed pierwszym śniegiem – zobaczyłabyś coś jeszcze: jak źle wyglądają lodowce. Warstwa śniegu, która powinna je przykrywać, stopiła się już w połowie lipca. Odsłoniła lód, wystawiając go na słońce i wysokie temperatury. Zobaczyłabyś, że Scex Rouge prawie w całości zakrywa gruba warstwa osadów. Lodowce cierpią.

Można gołym okiem ocenić, który lodowiec jest zdrowy, a który chory?

– Gdyby lodowiec był w stanie równowagi, pod koniec lata ponad połowa jego powierzchni ciągle jeszcze byłaby pokryta śniegiem. Jednak w tym roku wiele alpejskich lodowców zostało zupełnie pozbawionych śniegu. Jeśli linia śniegu mierzona na przestrzeni dekad podnosi się ponad najwyższy punkt lodowca, nie ma on jak przyrastać. I już wiesz, że on umrze. Nie ma innej opcji.

Robisz pomiary od lat. Co czujesz, kiedy widzisz lodowce w takim stanie?

– Kiedy zaczynałem w 2012 r., warstwa lodu łącząca te dwa lodowce miała 15 m grubości.

Z jednej strony patrzę na ich ewolucję jak naukowiec: przyzwyczaiłem się, że lodowce tracą masę. Nie było ani jednego roku, w którym zaobserwowalibyśmy przyrost ich masy. Owszem, zależnie od warunków traciły więcej lub mniej lodu. Ale strata była normą.

Jednak w tym roku – nawet z punktu widzenia naukowca – to, na co patrzyłem, nie było normalne. Nie wiedziałem, że tak duża utrata masy lodowej w ciągu jednego lata jest w ogóle możliwa.

Dla mnie lodowce to białe błyszczące piękno. Kiedy widzę, w jakim tempie topnieją, przepelnia mnie smutek. Jakby płakały i mówiły: „Zrób coś”.

Nie mogłem uwierzyć, ile stopionej wody wypływało w tym roku z bramy lodowca. To była powódź. Już nie płacz, ale lament.

Musieliśmy zorganizować „awaryjne pomiary”. Kiedy przez dekadę mierzysz bilans masy na konkretnym lodowcu, wiesz, jakiego ubytku możesz się spodziewać w danym miejscu. I instalujesz tyczki pomiarowe na tyle głęboko, żeby zostawić zapas na niespodzianki. Wtedy wystarczy się pojawić na pomiary raz – pod koniec lata. W tym roku jednak ubytek był poza jakąkolwiek skalą. Już w połowie lipca wynosił tyle, ile ubytek z całego roku 2021. Gdybyśmy nie przesunęli markerów, stracilibyśmy wszystkie tego-roczone pomiary.

Jak to jest chodzić po ziemi odsłoniętej po raz pierwszy od kilku tysięcy lat?

– Najdziwniejszy był moment, kiedy pojechałem zrobić dodatkowe pomiary pod koniec sierpnia. Piękna pogoda, wspaniałe widoki. Tsanfleuron i Scex Rouge łączyło 20-metrowe pasmo lodu o grubości ok. 10 cm. Znałem prognozę na następne dni. Wiedziałem, że kiedy przyjadę za trzy tygodnie, lodowce będą już rozłączone. I tak się stało.

Opowiadasz o lodowcach jak o żywych istotach, z którymi masz relację.

– Prowadzenie pomiarów na lodowcu to wymagająca fizycznie praca. Zimą, kiedy mierzymy objętość i gęstość śniegu, spędzamy całe dnie, zjeżdżając zygżakiem poza trasą na skiturach. Latem chodzimy po lodowcu w rakach, omijając pęknięcia, uskoki i szczeliny. I choć te wyprawy bywają wyczerpujące, jest w nich coś niezwykle przyjemnego. Męczę się w miastach, w tłumie. A kiedy jestem wysoko w górach i wokół jest cicho, nie ma zbyt wielu kolorów i bodźców – tylko ta jasna, rozświetlona całość – czuję spokój.

Lodowiec nie jest środowiskiem życia dla ludzi, nie przeżyjemy tam bez specjalnego sprzętu. Kiedy jednak jestem na lodowcu, wszelkie problemy, wątpliwości i cienie zostają daleko w dole. I wszystko w tym krajobrazie wydaje się w porządku.

Tylko że wiem, że już takie nie jest.

NASZA EUROPA

JAK WYPRAWIĆ POGRZEB LODOWCOWI

W 2019 r. szwajcarscy glaciolodzy urządzili ceremonię pogrzebową dla lodowca Pizol – wzorowaną na islandzkiej ceremonii oplakującej odejście lodowca Ok. Pizol skurczył się tak, że prowadzenie pomiarów nie jest już możliwe. Żeby go zobaczyć, wjechałam na 2222 m n.p.m. i ruszyłam szlakiem pięciu jezior. Po mniej więcej godzinie, przy drugim jeziorze – turkusowym Wildsee – zobaczyłam kamienne osuwisko i trochę śniegu. Lodowca nie było.

Następnego dnia pokazałam zdjęcia glaciologowi – przybliżył je i wskazał na trochę brudnego śniegu ukrytego między złebami. Ten brudny splachetek to była resztkalodowca.

Co nam mówią znikające lodowce?

– To zwiastun tego, co nadejdzie. Lodowce to jedne z najlepszych wskaźników kryzysu klimatycznego. Gdybyśmy wszyscy – całaludzkość – zniknęli tej nocy i od jutra ustałyby emisje dwutlenku węgla, lodowce i tak – jeszcze przez kilka dekad – kurczyłyby się, topiły i cofały. Aż ustabilizowałyby się na nowo.

Czyli dzisiaj widzimy konsekwencje działań naszych rodziców. A to, w jaki sposób my wpływamy na klimat, zobaczymy z wielkim opóźnieniem.

– Tak, zwłaszcza w przypadku większych lodowców; mniejsze reagują na zmiany znacznie szybciej. Ale łącząc różne scenariusze emisji gazów cieplarnianych z modelami ewolucji lodowców, możemy oszacować, jakabędzie przyszłość lodowców. Jeśli nie obniżymy globalnego poziomu emisji, w Alpach już pod koniec tego wieku praktycznie nie będzie lodowców. Pozostaną resztki tych największych – na wysokości powyżej 4 tys. m. W najlepszym przypadku – jeśli osiągniemy cele porozumienia paryskiego – do końca stulecia w Alpach zachowamy ok. 25 proc. dzisiejszej masy lodowej, ale to wymaga radykalnych zmian i dużych cięć w emisjach. Jeśli chodzi o konsekwencje i koszty zmiany klimatu nie tylko dla lodowców, ale również dla nas, różnica pomiędzy najgorszym i najlepszym scenariuszem jest ogromna.

Ktoś mógłby powiedzieć, że zmiana jest nieunikniona, to oczywiste, że świat zmienia się z każdym pokoleniem. Co jest tak odmiennego w obecnej zmianie?

– Tempo. W instytucie, w którym pracuję – oraz według czołowych klimatologów, z którymi współpracuję – wszyscy twierdzą, że antropogeniczne zmiany klimatu następują znacznie szybciej, niż się spodziewali.

Czym dla ciebie jest zmiana klimatu? Jak ją odczuwasz na co dzień?

– Jako Szwajcar łączę ją z topniejącymi lodowcami i szybko zmieniającymi się wysokogórkimi krajobrazami. Alpy to jedne z najbardziej wrażliwych na zmiany klimatyczne obszarów na świecie. Dzisiaj w miejscu, w którym mieszkam, w ciągu roku jest znacznie więcej tropikalnych nocy w porównaniu z czasami mojego dzieciństwa. Zmiana klimatu bezpośrednio dotyka mojego ciała i zdrowia.

Oczywiście z punktu widzenia naukowca zmiana klimatu to bonanza: jest tyle badań do zrobienia. Z drugiej strony jednak mam bolesną świadomość tego, co się dzieje. I kiedy patrzę na fakty i możliwe scenariusze, czuję strach. Kocham Alpy. Wiedza, którą mam na temat tego, co się stanie z tymi górami – i jakie konsekwencje oraz koszty poniosą ludzie – napelnia mnie smutkiem i niepokojem.

Prawda jest taka, że ludzie nie rozumieją, że walka ze zmianami klimatycznymi nie jest jedynie walką o uratowanie Ziemi albo utrzymanie jej w obecnym stanie. Przede wszystkim chodzi o nas, nasze życie i na-

szych dzieci. Coraz bardziej oddalamy się od klimatycznych i ekologicznych warunków, które pozwalały naszemu gatunkowi się rozwijać. A zapominamy, że jeśli gatunek ludzki wyginie, Ziemię niespecjalnie to obędzie. Ziemia i jej ekosystem jako całość są bardzo wytrzymałe. Poradzą sobie bez nas. I właśnie dlatego zmiana klimatu – która jest zagrożeniem dla nas – jest apolityczna. Gdyby chodziło tylko o zmieniające się krajobrazy i naturę, ludzie mogliby mówić: „Co mnie obchodzi znikanie lodowców? Ja żyję w mieście”. Nie rozumieją, że znikające lodowce są – pośrednio i bezpośrednio – zagrożeniem dla nas. Miliony ludzi na świecie są uzależnione od wody wypływającej z lodowców podczas suchych miesięcy letnich – to dzięki niej nawadniają plony.

Spójrz na swój telefon – to małe urządzenie ma większą moc obliczeniową niż komputery w czasach, kiedy latałyśmy na Księżyc. Potrafimy robić niewiarygodne rzeczy, ale jednocześnie nie ma głupszego gatunku. Niszczymy podstawy niezbędne do własnego przeżycia.

I to świadomie! Od momentu, w którym dowiedzieliśmy się, jak bardzo emisje gazów cieplarnianych wpływają na klimat, wyemitowaliśmy ich więcej niż przez całe stulecie wcześniej. Ale z drugiej strony zużycie energii to podstawa naszej egzystencji. Za każdym razem, kiedy sprawdzamy maila, zużywamy energię i emitujemy gazy cieplarniane. Zużywamy ją nawet teraz, kiedy rozmawiamy w wirtualnej rzeczywistości.

– Dlatego musimy dokonać radykalnej zmiany stylu życia.

Zrównoważone technologie są już dostępne i będą coraz lepsze, ale nie możemy czekać, aż wszystkie zostaną zainstalowane i zastąpią starsze, oparte na paliwach kopalnych – nie mamy na to czasu. Musimy zmienić nasze przyzwyczajenia i nawyki. Ludzie tego nie chcą, boją się, że coś zostanie im odebrane i nie będą mogli żyć szczęśliwie. A ja myślę, że nasze życie może być szczęśliwsze i bogatsze po zmianie. Bo co tak naprawdę wzbogaca moje życie? To, że polecę do Berlina na weekend? I że zajmie mi to cztery godziny, bo nie pojadę pociągiem? Czy to naprawdę czyni mnie szczęśliwszym?

To kwestia wygenerowania nowych przyzwyczajeń. Jako gatunek potrafimy się adaptować. Podczas pandemii szybko przyzwyczailiśmy się do nowej sytuacji, znaleźliśmy rozwiązania.

Czy w Szwajcarii się o tym mówi?

– Mam wrażenie, że nikt już nie podważa faktów na temat zmian klimatycznych. Tylko trochę mniej ludzi zgadza się z faktem, że zmiana klimatu jest praktycznie w 100 proc. powodowana przez nas. A jednocześnie nie są przekonani o potrzebie zmiany już teraz, w tym momencie, w roku 2022.

Kilka tygodni temu w czasopiśmie „Science” opublikowano badania o punktach krytycznych systemu klimatycznego i o tym, jaki wzrost średniej globalnej temperatury – w porównaniu z epoką przedindustrialną – oznacza osiągnięcie tych punktów. Kiedy je osiągniemy, zmiany będą nieodwracalne.

Punktów jest 16. Naukowcy twierdzą, że mogliśmy przekroczyć pierwsze pięć, a przynajmniej weszliśmy w ich dolne zakresy: topnienie lądolodu grenlandzkiego i antarktycznego, przyspieszone tajenie wiecznej zmarzliny, wymieranie raf koralowych, załamanie się schematu prądów morskich na północnym Atlantyku i znikanie lodu morskiego w Arktyce. A na poziomie globalnym temperatura wzrosła dopiero o 1,1 st. w porównaniu z epoką przedindustrialną.

– Globalny wzrost temperatury pomiędzy 1,5 a 2 st. oznacza poważne konsekwencje

dla całej planety. A to i tak jest nasz najlepszy możliwy scenariusz. I nie wygląda na to, że uda nam się go osiągnąć.

Przy globalnym wzroście temperatur pomiędzy 2 a 4 st. C – do którego dzisiaj wyraźnie dążymy – przekroczymy kolejne punkty krytyczne. Zniknie puszcza amazońska, zmieni się schemat afrykańskich monsunów, utracimy górskie lodowce. Każde z tych wydarzeń będzie samoistnie napędzało kolejne zmiany.

– A jeśli nic nie zrobimy i przekroczymy globalny wzrost temperatury na poziomie 4 st., to osiągniemy wszystkie 16 punktów. I to będą dramatyczne zmiany.

Jako naukowiec nie mówię: głosuj na konserwatystów, głosuj na liberałów czy progresywnych. Musimy jednak zrozumieć, że zmiany klimatu to problem całkowicie apolityczny. Politycy mogą jedynie zdecydować, w jaki sposób będziemy się szykować do zmian i łagodzić ich skutki, ale nie zatrzymają ich bez radykalnych działań. Niech ci z prawicy i ci z lewicy klócą się, w jaki sposób mamy się zmieniać, OK, ale niech pamiętają, że musimy gruntownie się zmienić. Ludzie cały czas nie są świadomi olbrzymich konsekwencji tego, co się wydarzy. I nie rozumieją, że mamy tylko kilka lat na wdrożenie zmian i wprowadzenie drastycznych cięć emisji. Kiedy osiągniemy punkty krytyczne, będzie za późno.



W Szwajcarii zetknęłam się z optymizmem. Może i nie będzie lodowca, ale będzie piękne polodowcowe jezioro. Może i nie będzie śniegu, ale nie zabraknie wody.

– Jakiś czas temu zostałem poproszony o komentarz o stanie lodowców w okolicach miejscowości Zermatt na potrzeby filmu o nowym wyścigu narciarstwa zjazdowego organizowanym przez FIS. To ma być część Pucharu Świata, trasa zacznie się na 4 tys. m n.p.m. w Szwajcarii i zakończy na 3 tys. we Włoszech. Dwie trzecie trasy biegnie przez lodowiec – który jest pełen szczelin. Żeby je wypełnić lodem i śniegiem, na te 4 tys. m wprowadzono ciężką maszynierię. Zapytałem organizatorów: „Ten wyścig nie wpłynie znacząco na globalne zmiany klimatyczne, ale czy pomyśleliście, jaki ma wpływ na lokalne środowisko? Przecież te wszystkie materiały i maszyny trzeba przetransportować na wielką wysokość. Ileż energii zużyje się do produkcji sztucznego śniegu i do tego, żeby te maszyny działały?”. Odpowiedzieli, że właściwie o tym nie pomyśleli – oni tylko się śpieszyli, żeby ze wszystkim zdążyć. Może w kolejnych latach obliczą zużycie energii i ślad węglowy.

Nie mogłem w to uwierzyć. To jest narciarstwo alpejskie, Puchar Świata. Potrzebują śniegu zimą – i lodowca – żeby uprawiać tę dyscyplinę. W Szwajcarii narciarze są gwiazdami, wszyscy ich znają. To oni mogliby przekazywać wiadomość od naukowców, że lodowce topnieją. I że coraz częściej wysoko w górach pada deszcz zamiast śniegu. FIS powinno działać, żeby alpejskie narciarstwo miało jakąkolwiek przyszłość. Przecież to logiczne, żeby byli na pierwszej linii walczących ze zmianami klimatu!

RATOWANIE PRZYSZŁOŚCI

Dzień przed wizytą na Tsanfleuron odwiedziłam lodowiec Rodanu. Na końcu jeziora lodowcowego – tam, gdzie zaczyna się jezioro i źródła rzeki płynącej przez Szwajcarię i Francję – co roku drażona jest lodowajaskinia. To atrakcja turystyczna. Dlatego w lecie fragment lodowca przykrywa się wielkimi płachtami materiału – to spowalnia topnienie. Materiał – w dotyku przypominający filc – jest brudny i postrzępiony.

Okrywanie lodowców geotekstyliami to czuły, ale i bezradny gest. Materiał jest w stanie spowolnić topnienie, ale nie zatrzyma procesu. Tak naprawdę lodowce w Szwajcarii okrywane są całunami.

Szwajcaria szykuje się na zmiany. Planuje budowę zbiorników na wodę, z której będzie można robić sztuczny śnieg na stoki narciarskie. I sztuczne jeziora, które zbiorą wodę dla hydroelektrowni. A żeby spowolnić proces topnienia, latem lodowce przykrywane są specjalnymi płachtami, które chronią przed słońcem.

– Przykrywanie lodowców geotekstyliami znacząco zmniejsza topnienie, owszem. Ale to ma sens tylko na niewielkich obszarach. To jest logistycznie wymagające i kosztowne.

Mogą sobie na to pozwolić wyłącznie miejsca, które czerpią z lodowców zyski.

– Tak. Przykrywając nieduże powierzchnie lodowców w lecie, ośrodki narciarskie nie tylko zmniejszą ich topnienie, ale także powstrzymują zmiany w topografii powierzchni lodowca – dzięki temu stoki nie robią się zbyt strome. To taktyczne działanie. Tak samo jak „uprawianie śniegu”, czyli zbieranie go i przechowywanie jako bazy na następną zimą. W dłuższej perspektywie jednak nie ma szans na to, żeby uratować lodowce, przykrywając je białym materiałem. Wydaje mi się niezwykle wymowne, że nie próbujemy wpłynąć na przyczyny, które powodują, że lodowce topnieją, tylko szukamy szybkiego rozwiązania, żeby to topnienie spowolnić. Bylebyśmy tylko nie musieli zmieniać stylu życia. W Szwajcarii mamy na to określenie: „polityka plasterka”.

OK, ale tak naprawdę po co nam lodowce? Czy tracimy wraz z nimi tylko piękno lodu i sporty zimowe?

– Bynajmniej! Jakie są zagrożenia? Zaczniemy od globalnych. Na świecie mamy dwa lądolody: grenlandzki i arktyczny. To one regulują globalny klimat – wpływają na system klimatyczny na całym globie. Dodatkowo ich topnienie przyczynia się do podnoszenia poziomu morza. Ale nie tylko one topnieją – na świecie jest ponad 200 tys. lodowców i na razie to one odgrywają najważniejszą rolę w podnoszeniu poziomu mórz, oczywiście do czasu. Gdyby wszystkie lodowce i pokrywy śnieżne świata – z wyjątkiem wspomnianych lądolodów – stopniały, globalny poziom morza podniósłby się o 33 cm. Możesz uznać, że to nic – ale miliard osób na Ziemi mieszka pomiędzy 0 a 1 m n.p.m., więc nawet te 33 cm mogą być dramatem. Malediwy i wyspy na Oceanie Pacyficznym zostaną po prostu zatopione. Nie dziwi, że te niewielkie wyspiarskie państwa były jednymi z pierwszych, które podpisały porozumienie paryskie – zagraża im utrata całego terytorium!

Akurat Alpy mają tak niewielką objętość lodu, że gdyby wszystkie tutejsze lodowce się stopiły, nie miałyby to wpływu na poziom morza. Najważniejszą rolę odgrywają Himalaje, Alaska i Arktyka. W mniejszej skali – na poziomie regionalnym – lodowce pełnią niezwykle ważną funkcję w cyklu hydrologicznym. Są tymczasowymi zbiornikami słodkiej wody. Latem dostarczają roztopioną wodę do rzek – wtedy, kiedy zagraża im susza. To ma ogromne znaczenie zwłaszcza w takich regionach jak Azja Centralna. W Indiach i Pakistanie woda w wielkich rzekach

NASZA EUROPA

pochodzi z letniego topnienia górskich lodowców. Kiedy jej zabraknie, jak ludzie będą nawadniać pola w porze suchej? Od lodowców zależą plony i życie wielu milionów ludzi. Dzisiaj może się wydawać, że problem nie istnieje, bo im szybciej lodowce topnieją, tym więcej jest wody, ale dynamika tego procesu się w końcu zmieni. Dla regionów, które latem zależą od roztopionej wody, to będzie tragedia.

Można zejść na jeszcze niższy poziom – lokalny. Od lodowców zależy szwajcarska turystyka. Sam fakt, że w Alpach szwajcarskich mamy – jeszcze przez kilka dekad – tyle lodowców, pozwala ośrodkom turystycznym zarabiać duże pieniądze. Nie bez powodu miejscowe firmy używają słowa „lodowiec” w nazwie. Podczas letnich pomiarów często spotykam ludzi z krajów arabskich albo z Dalekiego Wschodu, którzy nigdy nie widzieli śniegu i po raz pierwszy w życiu chodzą po lodzie. Do tego dochodzi cała turystyka oparta na sportach zimowych. Lodowce mają również znaczenie ekonomiczne w produkcji hydroenergii. Sztuczne jeziora, które napędzają hydroelektrownie, wypełnia woda z topniejących lodowców. To nie jest tak, że kiedy znikną lodowce w Szwajcarii, zabraknie wody. Opady deszczu nie ustaną, ale choć ostatnie analizy pokazują, że w Alpach ilość rocznych opadów deszczu się nie zmieni w przyszłości, to ich schemat przesunie się zależnie od sezonu. Lat będzie znacznie bardziej suche, a zima dużo bardziej mokra i ciepła. A im cieplej jest w zimie, tym wyżej podnosi się linia wiecznego śniegu. Ciepłsze zimy oznaczają więc znacznie mniej śniegu i znacznie mniej sezonowych rezerwuarów słodkiej wody w górach, bo deszcz po prostu spływa po stokach. Tak, będziemy mieć problemy z produkcją energii i z dostępnością wody. Doświadczaliśmy tego już teraz, w 2022 r.!

Jest jeszcze jedna istotna rzecz. Znikające lodowce zwiększają prawdopodobieństwo wystąpienia zagrożeń naturalnych, takich jak kruszenie się skał z niestabilnych górskich zboczy, odrywanie się lodowców od stoku, lawiny lodowcowe albo lodowcowe powodzie. Brak lodowców dramatycznie zmienia krajobraz wysokich gór i stwarza dodatkowe zagrożenie na gęsto zamieszkanych obszarach Alp.

A czy europejskie rzeki są zagrożone? Kiedy zabraknie lodowców, Rodan i Ren mogą wyschnąć?

– Im dalej od gór, tym mniejsza ilość wody pochodzącej z lodowców. Tymczasem w suche i upalne lata wzrasta jej znaczenie. W tym roku 25-30 proc. wody w środkowej części Renu – niedaleko Koblencki – pochodziło z topiących się szwajcarskich lodowców.

A i tak w sierpniu poziom wody obok Frankfurtu wynosił 35 cm. Trzeba było zatrzymać niektóre statki, bo były zbyt głęboko zanurzone, nawet bez ładunku. A przecież Ren to jeden z głównych szlaków transportowych Europy.

– Tego lata prawie jedna trzecia wody w Renie pochodziła ze szwajcarskich lodowców. Ale alpejskie lodowce albo już osiągnęły moment szczytowy, albo za chwilę go osiągną. W następnych latach wody z topniejących lodowców zacznie ubywać, nawet jeśli będzie coraz goręcej. Ludzie w Niemczech mogą myśleć, że choć jest gorąco i sucho, to przecież w Alpach są lodowce i nie ma się czym martwić. W upalne lata wody w Renie będzie jednak coraz mniej.

Wyobrażam sobie, że to może prowadzić do politycznych sporów o to, do kogo należy woda wypływająca z lodowców. Czy Szwajcarzy mają prawo używać jej do zasilania własnych elektrowni, czy musi płynąć dalej, żeby

zasilać Ren? Źródła rzek od zawsze były polityczną beczką prochu.

– Długo myśleliśmy, że Alpy są wodną twierdzą Europy i wody u nas nigdy nie zabraknie. Teraz dociera do nas, że niebawem w Europie Środkowej może zacząć brakować wody. W Centralnej Azji i na Bliskim Wschodzie to już się dzieje. Spory pomiędzy krajami położonymi w biegu rzeki wyżej a tymi poniżej trwają od lat. Konflikty rozgrywają się obecnie pomiędzy Kirgi-

Gdyby chodziło tylko o zmieniające się krajobrazy, ludzie mogliby mówić: „Co mnie obchodzi znikanie lodowców, ja żyję w mieście”. Nie rozumieją, że znikające lodowce są zagrożeniem dla nas

stanem i Tadżykistanem a położonym niżej Uzbekistanem. Albo pomiędzy Turcją a Irakiem i Etiopią a Egiptem. Myślę, że w następnych dekadach wojny będą się toczyć już nie o gaz albo ropę, tylko o wodę.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą tracimy razem z lodowcami, i wydaje mi się, że w Szwajcarii silnie to odczuwacie. Lodowce są częścią szwajcarskiego folkloru – mitów i legend. Wypraw na lodowce to sposób na łączenie się z przyrodą i spędzanie wolnego czasu. We wrześniu szwajcarski portal Heidi. news opublikował cykl Requiem dla naszych lodowców. Czy masz poczucie, że razem z lodowcami tracicie tożsamość i kulturę?

– Tak mi się wydaje – a przynajmniej jej istotną część.

ROK KATASTROFY

18 września, dzień po mojej wizycie w śnieżnej zawiei na szczycie Scex Rouge, w restauracji w stacji kolejki Glacier 3000 wybuchł pożar. Patrzyłam na zdjęcia płonącego budynku, w którym dzień wcześniej jadłam fondue. Pożar wybuchł o 1.30 w nocy, na szczęście nikogo nie było w środku. Trzeba go było ugasić z helikopterów. Restauracja pozostanie zamknięta na cały narciarski sezon 2022/23.

Słyszaleś o pożarze w restauracji Botta?

– Kiedy zobaczyłem zdjęcia pożaru, pomyślałem: dobre podsumowanie tego upalnego lata. To rok katastrof. W tamtym miejscu nigdy jeszcze nie zanotowaliśmy tak dużego ubytku masy lodowej. I jest to ubytek spowodowany działalnością człowieka! Restauracja na 3 tys. m n.p.m. – kaprys! – też została zbudowana dla człowieka. Pożar na koniec sezonu – dla mnie to bardzo symboliczne.

Pod koniec września, tydzień po naszej rozmowie, Szwajcarska Akademia Nauk (SCANT) opublikowała informację prasową o stanie szwajcarskich lodowców. W lecie 2022 r. straciły ponad 6 proc. objętości (to 3 km sześć. – tyle, ile wynosi pojemność jeziora Zug, dziesiątego pod względem wielkości jeziora Szwajcarii), to największej od czasów, kiedy zaczęto pomiary. Kilka lodowców jest tak małych, że przestano je mierzyć i uznano za umarłe.

Naukowcy jako ekstremalne określali do tej pory ubytki rzędu 2 proc. Jak określić trzy razy większą stratę? ●

Dziękuję arcybiskupowi Gądeckiemu

Właśnie zdobyłam dowód swoich profetycznych zdolności.

Magdalena Czyż

No to zaczęło się. Redakcja tygodnika „Niedziela” ruszyła do kampanii wyborczej. I to przez duże K. Wypuściła w ostatnim numerze (50/II XII 2022) dodatek specjalny pod tytułem „Katolik w Państwie”. Z którego polski katolik dowie się wszystkiego, co powinien wiedzieć, jak myśleć i gdzie stawiać znak iks, stojąc nad urną wyborczą najbliższej jesieni.

Zwłaszcza otwierający tekst arcybiskupa Stanisława Gądeckiego rozwiewa wszelkie wątpliwości skonsternowanego polskiego katolika.

Mój ulubiony arcybiskup zaczyna tak: „Redakcja tygodnika »Niedziela« podjęła cenną inicjatywę przybliżenia czytelnikom katolickiego podejścia do niektórych zagadnień związanych z ich obecnością w sferze politycznej. Zebrane teksty odnoszą się do kwestii demokracji, świeckości państwa, relacji państwo – Kościół i obecnego kształtu unijnej polityki. Całość wieńczy skierowana do katolików zachęta do większego zaangażowania w sprawy społeczne i polityczne. Refleksja tego typu jest potrzebna, gdyż – jak podkreślał św. Jan Paweł II – klęska komunizmu niekoniecznie oznacza bezwarunkowe zwycięstwo liberalizmu (por. Centesimus annus, 42)”.

To nic, że we fragmencie encykliki przytaczanym przez arcybiskupa nie ma nic na temat liberalizmu. JP2 bowiem pisze: „czy można powiedzieć, że klęska komunizmu oznacza zwycięstwo kapitalizmu jako systemu społecznego”. Dalej JP2 opisuje problematyczność kapitalizmu jako modelu gospodarczego i społecznego, który należy proponować krajom Trzeciego Świata.

Nie pierwsze to i nie ostatnie, co arcybiskup Gądecki wykoślawia, jeśli chodzi o naukę Kościoła, który reprezentuje. Dalej jest tylko gorzej: „Co zatem katolicy powinni wnieść do polityki?”. Odpowiedź Gądeckiego brzmi: fundamentalne wartości oparte na prawie naturalnym, niepodlegającym negocjacom. Te wartości są dwie: małżeństwo heteroseksualne i zakaz aborcji. Chrześcijańskie minimum moralne.

No proszę, a ja, głupia, całe życie myślałam, że fundamentalną wartością wniesioną do świata przez chrześcijaństwo, w tym Kościół katolicki, jest przykazanie miłości bliźniego. Zwłaszcza że z tego, co wiem o historii Kościoła, to akurat kwestia jego stosunku do aborcji podlegała rozlicznym negocjacjom.

Pohamuję żądzę wyzłościwania się na temat rozumienia chrześcijaństwa przez arcybiskupa i szerokości jego chrześcijańskich horyzontów, bo dalej w liście udowadnia, że o żadnej szerokości nie ma mowy: „Katolikom nie wolno głosować na polityków, którzy nie szanują tego minimum moralnego. Czasem słyszy się w tym kontekście stwierdzenie, że w liberalnym państwie należy zachować neutralność i nikomu nie wolno narzucać jakichkolwiek wartości. Strategia rozmiękczenia katolickiego stanowiska pod pozorem nienarzucania go osobom niewierzącym jest błędna, a kończy się tym, że państwo liberalne pod pozorem neutralności narzuca katolikom i katolickim instytucjom wartości liberalne”.

Ciekawa jestem, o jakie to narzucane wartości liberalne chodzi arcybiskupowi? Bo nie wyjaśnia. O wolność wyboru?

Mniejsza z tym. Ważniejszy jest fakt, że Gądecki nakreślił linię podziału katolików w nadchodzącej kampanii wyborczej. Bo zgadzam się z nim w jednym zdaniu, gdy pisze: „W Polsce nie sposób zdobyć władzę, jeśli nie uzyska się głosów większości katolików”. Ta linia zasadza się w definicji tego chrześcijańskiego minimum moralnego. Czy zwyciężą ci, którzy redukują je do małżeństwa heteroseksualnego i zakazu aborcji, czy ci, którzy w kampanii, mówiąc o Kościele, będą mówić o przykazaniu miłości bliźniego.

Pamiętam, jak niedawno chwaliłam za coś arcybiskupa Gądeckiego, zastrzegając przy tym, że chwalać go, mam przeczcucie, że albo będę tego żałować, albo się wstydzić, albo jedno i drugie. Właśnie zdobyłam dowód swoich profetycznych zdolności. ●

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński

GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

WYDAWCON PRASY

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

Wróżka, która chciałaby się mianować psychoterapeutką, dziś może to zrobić



• René Magritte,
„Terapeuta”,
1937 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

PSYCHOTERAPIA NA SUPERWIZJI

FOT. FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z PROFESOREM **BOGDANEM DE BARBARO**, PSYCHIATRĄ, PSYCHOTERAPEUTĄ, SUPERWIZOREM, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Co trzeba zrobić, żeby zostać w Polsce psychoterapeutą?

– Niestety, nie mamy jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Jeden powie, że wystarczy do drzwi gabinetu przybić tabliczkę ze swoim nazwiskiem i podpisem „psychoterapeuta”. Inny – że należy ukończyć 1200 godzin szkolenia i podlegać kodeksowi etycznemu danej organizacji zrzeszającej psychoterapeutów. I jeden, i drugi będzie mieć rację, bo nie istnieje powszechnie obowiązująca prawna regulacja tego zawodu. Dlatego ci, którym zależy, żeby słowo „psychoterapeuta” było słowem pozytywnie konotowanym, próbują to od dawna uporządkować.

Stąd się wzięło to 1200 godzin szkoleń, czyli mniej więcej cztery lata nauki?

– Dodajmy: zakończonych egzaminem. A do tego praktyka pod okiem superwizora, czyli doświadczonego psychoterapeuty. Co do tego jest zgoda różnych towarzystw szkolących psychoterapeutów, między innymi Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, Polskiego Towarzystwa Terapii Poznawczej i Behawioralnej, a także Polskiej Rady Psychoterapii, zrzeszającej wiele szkół terapeutycznych.

Nie wszystkie jednak te standardy szanują. Są ośrodki, które certyfikat psychoterapeuty przyznają po rocznym kursie. – Słyszałem, nie popieram. Nie wierzę, żeby można się było nauczyć odpowiedzialnego praktykowania psychoterapii po roku. Nie potrafię powiedzieć, ilu jest w Polsce samodzielnich psychoterapeutów lub takich, którzy po tygodniowym, a nawet rocznym szkoleniu uważają się za dostatecznie przygotowanych do wykonywania zawodu. Ale wystarczyłoby kilku, by psuć opinię kilku tyśiącom. Nie mówiąc już o krzywdzie, jaką taki pseudopsychoterapeuta może wyrządzić pacjentowi.

Rozumiem, że szkolenie wybiera się w zależności od nurtu psychoterapii, jaki chce się praktykować: poznawczo-behawioralne, psychodynamiczne, psychoanalityczne, Gestalt, systemowe itd.?

– Szkolenie powinno dawać podstawy, które pozostają uniwersalne, bo dotyczą wielu szkół, a specyfiką danego kursu będzie pogłębienie wiedzy i umiejętności w ramach wybranego nurtu lub nurtów realizowanych przez dany ośrodek szkoleny. Wierzę, że szerokie podstawy są każdemu potrzebne, bo poznając i doceniając inne podejścia psychoterapeutyczne, a nie myśląc o nich rywalizacyjnie czy lekceważąco, można pracować w tym zawodzie z większą korzyścią dla pacjentów.

Żeby zostać psychoterapeutą, nie trzeba ukończyć psychologii?

– Dziś metalurg może zostać psychoterapeutą, jeżeli się takim mianuje i zacznie przyjmować w swoim gabinecie. Ale w różnych ośrodkach szkolących są różne oczekiwania. Jedne wymagają jako warunku wstępnego ukończonych studiów psychologicznych lub specjalizacji psychiatrycznej, inne nie. Mogę powiedzieć, jak ja uważam, że powinno być.

Proszę.

– Jeśli ktoś jest psychiatrą albo kształci się na psychiatrę i chce zostać psychoterapeutą, powinien uzupełnić szkolenie o wiedzę z psychologii klinicznej. Jeśli ktoś jest filozofem, socjologiem albo anglistą, powinien wzbogacić się o wiedzę z zakresu psychologii klinicznej i psychiatrii. Jeśli psychologiem – z zakresu psychiatrii.

Czy dziś ocenia się jakoś predyspozycje do zawodu?

– To też wygląda różnie. W wielu ośrodkach, także w tym, w którym ja uczestniczę, szkolenie poprzedzone jest „spotkaniem kwalifikacyjnym”. To rozmowa, zwykle półgodzinna, podczas której sprawdzamy, czy kandydat albo kandydatka spełniają pewne wstępne warunki. Czy potrafią być empatyczni, czy mają swego rodzaju inteligencję emocjonalną, czy odznaczają się pewnego rodzaju emocjonalną dojrzałością. To pozwala nam oszacować, czy dana osoba skorzysta ze szkolenia, a zatem – czy jej przyszli pacjenci skorzystają z prowadzonej przez nią terapii. Oczywiście ten aspekt przygotowania do zawodu jest weryfikowany w trakcie szkolenia.

Domyślam się, że są ośrodki, które przyjmują na szkolenie bez takiej rozmowy? Wypełnia się kwestionariusz, płaci wpisowe i już.

– Chyba tak, ale nie jestem i nie chciałbym być tym, który to sprawdza. Choć uważam, że fachowa i merytoryczna kwalifikacja wstępna, przeprowadzona

wiązek chodzenia na własną psychoterapię, najczęściej prywatnie, a także płacenie za superwizję. Przez to osoby, które mają predyspozycje do tego zawodu, ale nie stać ich na szkolenie, odpadają z powodów finansowych.

– Szkolenie, za które odpowiadamy, trwa pięć lat i kosztuje niewiele ponad połowę wymienionej przez panią sumy. Owszem, to nadal niemało, ale po pierwsze, takie szkolenia są przeznaczone dla absolwentów i osób pracujących, wydaje się więc, że taka kwota znajduje się w ich zasięgu. Po drugie, od drugiego czy trzeciego roku osoby szkolone zaczynają pracować w roli terapeutów, oczywiście pod superwizją. Wtedy jest to już praca zarobkowa.

Tu tkwi kolejna pułapka, bo osoby, które kończą szkolenie psychoterapeutyczne, w związku z tym, że jest kosztowne, wolą potem pracować w prywatnych ośrodkach albo otworzyć własną praktykę, gdzie mogą zarabiać 150 czy 200 zł za godzinę, a nie 30 jak w NFZ-ecie.

– Bywa różnie. Wielu pracuje i w ośrodku NFZ-etowskim, i w gabinecie lub ośrodku prywatnym. Ale zgadzam się z panią, że konsekwencje tej sytuacji, tzn. sprywatyzowania szkoleń, mogą być i takie. Owszem, w „prastarych” czasach – myślę o latach 70. i 80. ubiegłego wieku – szkolenia były bezpłatne. Ale dziś sytuacja jest inna: psychoterapeuta, który wykonuje rzetelnie pracę ciekawą, dobrze płatną, ale też wymagającą, może zostać ktoś, kto ma predyspozycje osobowościowe, swego rodzaju otwartość emocjonalną oraz kogo stać na drogie studia podyplomowe.

Zgodzi się pan jednak, że to dziwna sytuacja? Lekarzem, w tym lekarzem psychiatrą, można zostać w toku nauki na państwowej uczelni, natomiast psychoterapeutą wyłącznie prywatnie. Mimo to Ministerstwo Zdrowia chce teraz wciągnąć psychoterapię na listę specjalizacji medycznych.

– Tradycja kształcenia psychoterapeutów w Polsce ma mniej

i superwizja. Te szkolenia prowadzili zwykle pasjonaci, na zasadzie: coś wiem, to powiem innym. Było w tym coś z romantycznego porywu. Dopiero gdy psychoterapii zaczęło przybywać znaczenia jako dziedziny, ludzie zaczęli się organizować. Powstawały stowarzyszenia, sekcje i ośrodki szkolące przy, przykładowo, Polskim Towarzystwie Psychiatrycznym czy Polskim Towarzystwie Psychologicznym albo przy cenionym od lat Ośrodku w Rasztowie. Takich ośrodków jest wiele i reprezentują wiele szkół terapeutycznych. Dziś Ministerstwo Zdrowia jest gotowe organizować szkolenia dla 100 osób rocznie. Obecnie różne ośrodki kształcą co roku wielokrotnie więcej osób.

Pół wieku szkolenia psychoterapeutów, ale dotąd nie powstała ustawa o zawodzie.

– Pamiętam, jak wiele lat temu przedstawiciele środowiska psychoterapeutów zebrali się w Ministerstwie Zdrowia w tej sprawie, po czym okazało się, że różne osoby mają różne pomysły, jaka powinna być ta regulacja prawna. Ministerstwo powiedziało: „Najpierw się dogadajcie między sobą, potem pójdziemy dalej”.

Nie dogadaliście się?

– Wówczas nie. Co można zrozumieć. Moim zdaniem kwestie, nazwijmy to, ambicjonalne były drugorzędne. Główną przyczyną może być fakt, że psychoterapia jest dziedziną, w której ani co do metod terapeutycznych, ani co do szkolenia nie ma jednego algorytmu. I tej okoliczności proszę nie traktować jako ułomności. Prosty przykład: dla jednych psychoterapeutów jest oczywiste, że aby zostać psychoterapeutą, trzeba przejść terapię własną, dla innych – niekoniecznie. Dla jednych przytulenie pacjenta będącego w kryzysie i spojrzenie mu głęboko w oczy jest dopuszczalne, dla innych to błąd w sztuce. Dla jednych praca z rodziną pacjenta nie jest konieczna, dla innych jest niezbędnością. I te różnice można by mnożyć. Gdyby chcieć na przykład wprowadzić jeden wspólny egzamin dla wszystkich psychoterapeutów, to byłoby trochę tak, jakby absolwentom malarstwa kazać zdawać egzamin testowy z tego, jak należy malować. Każde podejście w psychoterapii to inny styl myślenia, inna rama teoretyczna, inne metody.

Tyle że malarz nie bierze odpowiedzialności za drugiego człowieka, a psychoterapeuta już tak.

– Całkowita zgoda. Nie chcę powiedzieć, że malarstwo i psychoterapia są tożsame, tylko że w psychoterapii jest miejsce i na rzemiosło, i na sztukę. I to jest jeden z powodów, dla których trudno jest wsadzić psychoterapię do medycyny. Medycyna jest zanurzona w przyrodzności, biologii, naukach ścisłych, nawet jeśli lekarz jest humanistą i docenia znaczenie relacji lekarz – pacjent. A psychoterapeuta powinien się znać i na psychologii klinicznej, i na antropologii kulturowej, i na filozofii, i na religioznawstwie, i na socjologii. Psychoterapia jest bardzo zanurzona w kulturze i nie poddaje się tak ścisłym regułom jak wiedza medyczna.

Jednak da się ją zweryfikować. W tej chwili różne ośrodki szkolące przeprowadzają na końcu egzamin. Do tego można się też starać o certyfikat, na przykład Polskiego Towarzystwa Psychologicznego albo europejskich stowarzyszeń.

– Należy pamiętać, że w poszczególnych stowarzyszeniach warunki dopuszczające do egzaminu oraz sam jego przebieg różnią się od siebie.

Zalóżmy, że ktoś chce wykonywać ten zawód odpowiedzialnie i uzyskuje dyplom czy certyfikat w dobrym ośrodku. Co dalej?

– Cały czas powinien podlegać superwizji. Niezależnie od tego, czy pracuje pierwszy rok czy pięćdziesiąty. Prowadzenie psychoterapii jest wydarzeniem skomplikowanym, bo dotyczy nie tylko tego, co mówi pacjent, czy też klient, i tego, co jest w głowie terapeuty, ale także interakcji między nimi. A w związku z tym potrzebna jest refleksja z udziałem osoby doświadczonej – czyli superwizora albo superwizorki – która będzie czuwać nad tym procesem. Ważne jest też ciągle dokształcanie się, co, jak mi się wydaje, nie we wszystkich szkołach psychoterapeutycznych jest wymagane, czyli udział w konferencjach, warsztatach, seminariach. Uaktualnianie wiedzy.

Czy w obecnej sytuacji pacjent(ka) czy klient(ka), którzy mają zażalenia wobec swojego psychoterapeuty(-tki), mają możliwość odwołania się do jakiejś wyższej instancji?

– Każde szanujące się stowarzyszenie ma kodeks etyki i komisję etyczną, której można takie zastrzeżenia zgłosić. Poszczególne stowarzyszenia publikują w internecie spis certyfikowanych psychoterapeutów.

Przy czym... Nie wiem, jak to wyrazić, żeby nie zabrzmiało asekurancko, ale nieraz jest tak, że procesowi psychoterapii towarzyszą burzliwe emocje. Niektórzy psychoterapeuci uważają nawet, że faza „agresji na psychoterapeutę”, która może w swojej istocie być gniewem przeniesionym, jest potrzebna w procesie psychoterapii. Tyle że to nie jest materiał na skargę do komisji etyki, ale na pracę terapeutyczną.

Co to jest „gniew przeniesieniowy”?

– To gniew, który pacjent czuje tak naprawdę nie do terapeuty czy do terapeutki, tylko na przykład do swojego rodzica, ale przenosi go na terapeuta. Ojcu bał się go okazać, a terapeutę już nie. W terapii można to odkryć i się tym zająć jako naturalnym etapem. Ale oczywiście istnieją takie sprawy, które należy zgłaszać. Na przykład kiedy psychoterapeuta uwodzi pacjenta albo pacjentkę. Albo z sesji psychoterapeutycznych robi kazania światopoglądowe. Lub w inny sposób narusza kodeks etyczny.

Problem w tym, że każde stowarzyszenie ma inny, czyli ja jako pacjentka muszę najpierw wiedzieć, jaki nurt reprezentuje mój psychoterapeuta czy moja psychoterapeutka, a później – do jakiego stowarzyszenia należy. Co jeśli tego nie wiem?

Ministerstwo Zdrowia jest gotowe organizować szkolenia dla 100 osób rocznie. A różne ośrodki kształcą co roku wielokrotność tej liczby

przez profesjonalistów, a nie na przykład przez urzędników, powinna być obowiązkowa w każdym ośrodku szkolącym.

Na razie szkolenia psychoterapeutyczne są wyłącznie płatne. Kosztują do nawet 70 tys. zł. Do tego często dochodzi obo-

więcej pół wieku. Byliśmy szkoleni przez psychoterapeutów z Zachodu, którzy mieli już wówczas ustrukturyzowane szkolenia. Pierwsze szkolenia prowadzone w Polsce przez polskich psychoterapeutów trwały około 300 godzin (trzy dwutygodniowe wyjazdy), wymagane były także staż

Czy istnieje rejestr wszystkich psychoterapeutów w Polsce?

– Jak dotąd nie. Myślę, że to by się zmieniło, gdyby powstała ustawa o zawodzie. Wtedy udaloby się też wypracować jeden wspólny kodeks etyczny.

Środowisko od lat domaga się ustawy, która by ten zawód regulowała, ale Ministerstwo Zdrowia postanowiło uregulować go inaczej.

– To najpierw uściślijmy fakty. W czerwcu 2021 r. podczas zjazdu psychiatrycznego powiedziałem, że bardzo chciałbym regulacji zawodu. Obecna tam wicedyrektor jednego z departamentów Ministerstwa Zdrowia odniosła się do tego, mówiąc: „To róbmy ustawę”. Ucieszyłem się i poprosiłem Zofię Miłską-Wrzośnińską oraz Krzysztofa Klajsa, doświadczonych psychoterapeutów, do pracy nad szkicem ustawy, nad której kolejnymi wersjami już wcześniej pracowała Polska Rada Psychiatrii. Pracowaliśmy nad tym draftem dalej, razem z przedstawicielami ministerstwa. Po czym latem tego roku usłyszeliśmy, że wiceminister zdrowia nie chce ustawy, tylko chce, żeby to było rozporządzenie.

Na czym polega różnica?

– Rozporządzenie jest regulacją na poziomie ministerstwa, w tym przypadku Ministerstwa Zdrowia. Ustawa jest dokumentem na poziomie parlamentu. Ma wyższą rangę, pozwala na regulację zawodu przy uwzględnieniu jego specyfiki, a jednocześnie zostawia decyzyjność samorządowi psychoterapeutów. W wersji rozporządzeniowej kluczowe decyzje pozostają w rękach urzędników Ministerstwa Zdrowia.

Jakie intencje przyświecają ministrowi?

– Domyślam się, że pod spodem są argumenty praktyczne. Rozporządzenie wydaje się szybko. Praca nad ustawą trwa kilka lat. A ministerstwu zależy na efektywności. Zegar tyka.

W sensie – idą wybory?

– I to jest jakiś ludzki argument. Chcą zdążyć coś zrobić.

Rozporządzenie zakłada, że psychoterapeuta staje się zawodem medycznym, co, jak ustaliliśmy, nie odzwierciedla jego specyfiki, bo w tym zawodzie potrzebna jest szeroka wiedza pozamedyczna.

– Poza tym my nie tylko leczymy. Terapia rodzin na przykład zajmuje się zapobieganiem rozwodom, w ogóle rozpadowi więzi. Ponadto psychoterapeuci pomagają zapobiegać rozwinieciu się poważnych zaburzeń psychicznych, czyli działają w obszarze ochrony zdrowia i profilaktyki, a nie tylko usuwania choroby.

Odzew środowiska psychoterapeutów na projekt rozporządzenia jest w znaczącej większości negatywny. Co budzi największy sprzeciw?

– Rozporządzenie mogłoby spowodować, że w praktyce szkolenie, egzaminowanie, a także czuwanie nad jakością psychoterapii przestałoby zależeć od środowiska psychoterapeutów i przeszłoby do Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego

(CMKP). To w praktyce oznaczałoby zakwestionowanie tego, co przez dziesiątki lat wypracowało środowisko polskich psychoterapeutów. Ze stratą i dla pacjentów, i dla terapeutów.

Rozporządzenie zakłada, że osoby, które chcą się szkolić na psychoterapeutów, muszą mieć wykształcenie medyczne, psychologiczne, socjologiczne, resocjalizacyjne albo pielęgniarskie.

– Ale nie to jest kością niezgody. Wyobrażam sobie, że jeśli środowisko chciałoby do tego dodać jeszcze teologów czy filozofów, to nie sądzę, żeby ministerstwo powiedziało: „O nie, tego nie uwzględnimy!”. Chociaż oczywiście, to zakłada, że osoby bez przygotowania psychologicznego czy psychiatrycznego będą musiały w określonej formie zakończonej określonym egzaminem tę wiedzę uzupełnić. To jest ten wątek z początku naszej rozmowy. Największy sprzeciw budzi to, że rozporządzenie „zmedycynia” oraz biurokratyzuje psychoterapię.

W myśl rozporządzenia szkolenia na psychoterapeutów miałyby się odbywać pod egidą Ministerstwa Zdrowia. Co to dokładnie oznacza?

– Nie jest to do końca sprecyzowane. Jeśli ta kwestia zostałaby oddana CMKP, to decyzją należałaby do konsultanta krajowego i jego ekspertów. W wersji optymistycznej konsultant może powiedzieć: „Niech ośrodki, które do tej pory szkoliły, szkołą nadal, bo mają doświadczenie”. Ale może też powiedzieć na przykład: „Ośrodek A dobrze szkoli, dostaje naszą akredytację, B źle szkoli, niech się poprawi, a ośrodek C w ogóle należy zamknąć”.

„Ośrodek D należy do brata jednego z ważnych posłów, wpiszemy go na listę ośrodków akredytowanych. A terapia dzieci z dysforią płciową będzie prowadzona u bonifratrów”, z całym szacunkiem dla bonifratrów.

– Zwłaszcza że bonifratr to „dobry brat”, czyli wie, co robi.

Poważnie pytam: czy moje obawy są przesadzone?

– To jest kwestia tego, gdzie się umieszczamy na osi między naiwnością a podejrzliwością. Mnie bliżej do tych naiwnych, w związku z tym myślę, że tak by się nie działo. Ale mam wrażenie, że emocje, które się pojawiły w środowisku psychoterapeutów, są bliżej tego drugiego bieguna. I możliwe, że należy być podejrzliwym.

Ktoś inny może pomyśleć: ośrodki, które szkołą od wielu lat, robią na tym biznes. Rozporządzenie jest zagrożeniem, że ten biznes mogą stracić. Czy cały ten sprzeciw nie wynika przypadkiem z obawy o własny interes?

– Jakiegokolwiek byłyby motywy tej uważności, warto sprawdzić argumenty merytoryczne. Jeżeli ośrodki, które szkołą, są do tego dobrze dydaktycznie przygotowane, mają w prowadzeniu kursów duże doświadczenie, to powinny na tym dobrze zarabiać. Nie uważam, żeby było w tym coś etycz-

nie naganego. Mało tego, jest to spójne z interesem społecznym. W takim sensie, że obecnie popyt na psychoterapię znacznie przeważa nad podażą: więcej jest tych, którzy potrzebują psychoterapii, niż pustych miejsc w kalendarzu psychoterapeutów.

Rozporządzenie zakłada, że po odbytym szkoleniu wszyscy mają zdawać ujednolicony państwowy egzamin na specjalistę psychoterapeutę?

– Rozporządzenie tego nie reguluje. Aczkolwiek istniejąca już ustawa o specjalizacjach medycznych konkretnie reguluje, jak ma wyglądać egzamin. Ta formuła całkowicie nie pasuje do tego, co powinno być sprawdzane u kandydata na psychoterapeutę. I tu się pojawia kolejny obszar, który zagospodarujemy albo naiwnością, albo podejrzliwością. Ministerstwo Zdrowia zapewnia, że dorobek praktykujących psychoterapeutów, którzy posiadają dyplomy i certyfikaty, zostanie uznany. Podobnie szkolenia osób, które są w trakcie nauki. Natomiast

■
*Gdybyście
wprowadzić jeden
wspólny egzamin
dla wszystkich
psychoterapeutów,
to byłoby tak,
jakby absolwentom
malarstwa kazać
zdawać egzamin
testowy z tego,
jak należy malować*

nie jest jasne, co z tymi, którzy jeszcze tych szkoleń nie rozpoczęli. Można się obawiać, że nie będą oni mieli możliwości podjęcia kursu w dotychczas działających ośrodkach szkoleniowych. Mój niepokój budzi: jakie certyfikaty ministerstwo będzie uznawać i na jakiej podstawie? Mówiliśmy o tym, że czasami certyfikat jest wydawany po rocznym kursie. Ta cała szara strefa mogłaby zostać porządnie uregulowana ustawą, ale rozporządzenie tego nie rozwiązuje. Bo nawet czteroletni kurs nie gwarantuje, że jego uczestnicy zdobędą umiejętności praktyczne, jeśli to szkolenie będzie przygotowywać wyłącznie teoretycznie.

Ministerstwo zarzeka się, że to rozporządzenie sprawi, iż na rynku pojawi się więcej psychoterapeutów. Psychoterapeuci twierdzą z kolei, że będzie ich jeszcze mniej. To jak to jest?

– Tak jak wspominałem, rozporządzenie przewiduje, że zgodnie z tą regulacją będzie się kształcić 100 psychoterapeutów rocznie. W tej chwili istniejące ośrodki wypuszczają co roku w sumie kilkuset absolwentów, a to i tak za mało w stosunku do potrzeb.

Czego jeszcze to rozporządzenie nie uwzględnia?

– Tego, że psychoterapeuta powinien podlegać stałej superwizji. Nie ma słowa o roli superwi-

zora, kluczowej dla tego zawodu. Nie ma też żadnej weryfikacji umiejętności na późniejszym etapie, bo tak jest w specjalizacjach medycznych. Ja na przykład jestem specjalistą psychiatrą. Dyplom lekarza uzyskałem prawie pół wieku temu i od tamtej pory nikt nie sprawdza, czy nadal mogę leczyć. Na szczęście, ponieważ jestem również psychoterapeutą, mam ten sprawdzian na bieżąco na swoich spotkaniach superwizyjnych. Gdyby zaś nie miało być ustawy o zawodzie psychoterapeuty, specjaliści psychoterapeuci niebędący lekarzami nie byłiby związani kodeksem etycznym ani nie podlegaliby sądom koleżeńskim.

Jeśli to rozporządzenie weeszłoby w życie, jak mogłoby się odbić na pacjentach?

– Psychoterapeutów byłoby jeszcze mniej, w związku z czym jeszcze trudniej byłoby się do nich dostać. Profilaktyka zdrowia psychicznego nie byłaby respektowana, bo wyszkoleni psychoterapeuci uprawialiby tak naprawdę tylko psychoterapię kliniczną, skoro to miałyby być specjalizacja medyczna. Jeśli za ścieżkę kwalifikacyjną odpowiadałoby urzędnicy, a nie doświadczeni superwizory, byłaby słabsza dbałość o standardy szkoleniowe i bardziej wadliwa metoda przyjmowania na szkolenia. Istnieje ryzyko, że nadal istnieliby samozwańcy psychoterapeuci i wróżka, która by chciała się mianować psychoterapeutką nadal by mogła to zrobić.

Czy Ministerstwo Zdrowia mówi cokolwiek o tym, że przy okazji wprowadzenia specjalizacji utworzy pulę miejsc, gdzie będzie się można wykształcić na psychoterapeutę bezpłatnie?

– Nic takiego nie padło wprost, ale możliwe, że za specjalizacją idą pieniądze z funduszy europejskich. Może one by fundowały takie miejsca? Może o to chodzi, kiedy ministerstwo mówi, że będzie szkolić 100 psychoterapeutów rocznie? Tyle że finansowanie specjalizacji z funduszy europejskich dotyczyłoby tylko pierwszych edycji. A co potem? Planów Ministerstwa Zdrowia w tej sprawie nie znam, ale wiem, że 100 psychoterapeutów rocznie to kropla w morzu potrzeb.

Ministerstwo Zdrowia nie zdaje sobie też chyba sprawy, że jak dotąd dostaje za darmo kilkuset psychoterapeutów rocznie, którzy wykształcili się za własne pieniądze.

– A ponadto: nawet jeśli psychoterapeuta pracuje w prywatnym gabinecie, to dzięki temu pacjent nie wchodzi do państwowej ochro-

ny zdrowia i nie obciąża budżetu NFZ-etu.

Albo dzięki pracy psychoterapeutycznej nie osuwa się w ciężką depresję, która powoduje, że musi wziąć półroczne zwolnienie.

– A dzięki pracy terapeutów rodzinnych jest mniej tragedii rodzinnych. Tak oto mamy dodatkowy argument i nie mówię tego ironicznie: polityka prorodzinna państwa. I są dane, które pokazują, ile dokładnie pieniędzy oszczędza państwo dzięki pracy psychoterapeutów.

Do 15 grudnia trwały konsultacje społeczne ministerstwa ze środowiskiem psychoterapeutów. Wiem, że wiele osób zgłosiło swoje krytyczne uwagi do rozporządzenia. Jak pan myśli: co będzie dalej?

– Albo wrócimy do wersji pod tytułem „jest, jak jest”, co by nie kluczowało dalszej pracy nad ustawą. I tu mam w sobie ostrożny optymizm, bo kwestia rozporządzenia jakoś, mam wrażenie, zintegrowała środowisko. Chyba po raz pierwszy w dziejach doszło do spotkań, w których uczestniczyli przedstawiciele wszystkich modalności. Dogadaliśmy się. Owoce tych spotkań jest niezwykle ważny dokument, który został wysłany do Ministerstwa Zdrowia. Przy pomocy prawników organizacje reprezentujące środowisko psychoterapeutów sformułowały stanowisko krytyczne wobec projektu rozporządzenia. Nie wyobrażam sobie, by Ministerstwo Zdrowia mogło zlekceważyć niezwykle starannie przygotowany, 20-stronicowy dokument dokładnie wykazujący ulomność wersji proponowanej przez ministerstwo oraz konieczność prawnej regulacji zawodu psychoterapeuty przez ustawę. Dokument podpisany przez przewodniczących kilkunastu najważniejszych organizacji psychoterapeutycznych, reprezentujących kilkanaście tysięcy polskich psychoterapeutów.

Albo?

– Albo Ministerstwo będzie forsować rozporządzenie. Wówczas doszłoby do – negatywnego nie tylko dla środowiska i dla pacjentów, ale też dla ministerstwa – chaosu. I klimatu destruktywnego sporu. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. ●

Nowy serwis



Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej





• Iza prowadzi alternatywne, malutkie życie w pokojach swoich lalek. Jest tu projektantką wnętrz i mody
FOT. AUTOR

MARTA GÓRNA

DOM LALKI

W jej domku wybuchały awantury, lał się alkohol, unosił się marihuanowy dym. Lalki przeżywały to, czego ona nie знаła

Ledwo się znamy, ale Iza już ciągnie mnie do swojego „pokoju rozkoszy”.

Zamiast gadżetów erotycznych widzę osiedle miniaturowych domków. Na ścianach wiszą obrazy i kinkiety, na podłodze dywany wielkości listka papieru toaletowego. W pokojach panuje naturalny rozgardiasz: jakby lalki właśnie odrzuciły miniaturowe koldry i poszły do pracy.

Dlaczego to „pokój rozkoszy”? Iza wzrusza ramionami. – Tutaj się relaksuję, bawię.

Cyzeluje wnętrza, nakleja tapety, planuje wystrój. Kilka domków jest jeszcze w stanie mocno surowym. – Będę miała co robić przez następnych kilka lat – cieszy się.

Izabela Kłos ma 47 lat, od zawsze mieszka w Łodzi w bloku. Jasne włosy, okulary typu kocie oczy. Odbiera mnie z dworca kolejowego, jeździ jak kierowca rajdowy.

Dwa lata temu ona i jej rodzice zachorowali na koronawirusa. Iza ma trwale uszkodzone płuca. Potrzebuje stałej opieki pulmonologa. Rodzice zmarli, straciła ich w przeciągu tygodnia. – Po raz ostatni widziałam mamę, kiedy zabrała ją karetka. Ojca – kiedy zabrała mnie – opowiada. – Wymogłam na ratownikach obietnicę, że po niego wrócą. Bałam się, że umrze w łóżku.

Umarł w szpitalu. Z pomocą psychologa Iza przeżyła żalobę. I posta-

nowiła zrobić rewolucję. Najpierw wysprzątała mieszkanie po rodzicach. – Inaczej roztkliwiałabym się nad każdym drobiazgiem – mówi.

Potem wyjęła z kartonów swoje lalki. Z „pokoju rozkoszy” Iza prowadzi mnie do kolejnego. Tam w białych witrynach zasłaniających całą ścianę stoi jej kolekcja. Za szybami tłumy lalek w kilku rzędach. Jedna rozmawia przez telefon, inna wygląda, jakby miała zaraz odpalić plastikowy skuter w skali 1 do 6. Na kilku półkach lalki leżą jedna na drugiej. Ma ich prawie 350. Prawie, bo nie potrafi podać dokładnej liczby. Głównie są to Barbie, ale też sporo innych: większych i mniejszych. Są wszędzie, nawet w toalecie – na zbiorniku WC zauważyłam miniaturowego trytona z siwą brodą i trójzębem.

Iza ma też w swojej kolekcji lalki z dzieciństwa. Pierwszą (podobną do Barbie, dostępną w PRL-u Fleur) dostała jako 10-latką. To było spełnienie jej marzeń. – Moja Fleur ubrana była w różowy komplet i żółtą bluzkę.

To ważne szczegóły, bo wtedy Iza zaczęła szyc. Najpierw dla lalek, potem dla ludzi. Z zawodu jest projektantką mody. Teraz znów chce szyc tylko dla lalek. – Na rynku jest nisza, w którą chcę się wstrzelić – mówi. – Może jestem nieskromna, ale umiejętności krawieckie jak moje ma mało kto. Jak

uszyję, to strój dla lalki wygląda jak taki w normalnym rozmiarze. Mam nadzieję, że niedługo będę mogła z tego żyć.

Do lalek wróciła 12 lat temu. Wtedy rozstała się z partnerem, uznała, że nie musi się już przejmować oczekiwaniami innych. – W telewizji śniadaniowej trafiłam na reportaż o Agnieszce Krasickiej ze Small Dreams i wtedy uzmysłowiłam sobie, że takich „wariatów” jak ja jest więcej. Dołączyłam do grupy miniaturowej na Fejsie i tam poznałam osoby, które kolekcjonowały również lalki.

Teraz zainwestowała w lalkę BJD. Większą od Barbie (skala 1 do 4), zrobioną z żywicy. Chce, by była jej modelką, prezentowała na zdjęciach szyte przez Izę ubrania. Ostrożnie z różowego pokrowca wyjmuję nagie ciałko ze wszystkimi szczegółami anatomicznymi. Bez głowy. Bo lalka jeszcze nie ma twarzy. Iza czeka, aż namaluje ją artystka. – Mam ją dostać przed świętami razem z dłońmi i stopami. – Lalkę odkupiła od kolekcjonera. – Każdy element tej lalki jest osobno tworzony przez artystkę, ma certyfikat. – Iza ostrożnie odkłada bezgłowe ciałko do pudełka. – Będzie miała też perukę. Robi się je z włosów kozy, owcy. Naturalnych.

Iza pokazuje miniaturowe stroje. Beżowy płaszcz ma lśniąca podszewkę i metkę, wydziergany z włóczki swe-

terek – rząd mikroskopijnych guzików, dzinsy – obszycia i pojemne kieszenie. Zdjęcia lalek w swojej kolekcji ubrań Iza wystawia na facebookowym profilu Lalabella. – Tutaj największą wartość ma marketing szeptany. Przed pandemią głównie szylałam kreacje wieczorowe, ale z oczywistych względów liczba tych zamówień się zmniejszyła.

Pracownię krawiecką Iza ma nad mieszkaniem, na II. piętrze. – Muszę się mobilizować, żeby wstać rano z łóżka do pracy. Do domu schodzę na przerwę obiadową. Staram się pracować regularnie. Tak jakbym chodziła do pracy jak inni – mówi. Jeździ też do domu kultury, gdzie prowadzi zajęcia z szycia z seniorami.

– W zbieraniu lalek każdy szuka czegoś innego i co innego znajduje – tłumaczy Iza. – W ich świecie można wykreować idealną rzeczywistość, wolną od chorób i wojen. Nigdy też nie ubrałabym się jak moje lalki. One są moim innym wcieleniem.

Opowiada mi o znajomej z lalkowej społeczności, szanowanej pani naukowiec. W jej domku dla lalek wybuchały awantury, lał się alkohol, unosił się marihuanowy dym. Lalki przeżywały to, czego ona nie znała.

Czasami Iza chce zmniejszyć kolekcję. – Ostatnio próbowałam ją przejrzeć, pozbyć się części lalek. Odłożyłam dwie i... dokupiłam kolejne wity-

ny. Nie umiem się z lalkami rozstać, każda jest dla mnie ważna. Początkowo trochę się krępowałam o tym mówić. Potem przestałam. Mój brat klei modele samolotów. Czym to się różni od zbierania lalek?

Mówi, że choroba i śmierć rodziców zmieniły jej postrzeganie świata. – Świadomość kruchości i delikatności ludzkiego życia oraz to, że sama o mało co nie umarłam, sprawiły, że zaczęłam doceniać czas, który mam przed sobą. Dzięki lalkom poczułam się jak artystka, sprawiły, że jestem wolna. Nie przynależę do konkretnego miejsca na ziemi, mojej pasji mogę się oddawać zewsząd.

Czasami się martwi. Boi się, że gdy umrze, brat całe zbiory wyrzuci. Postanowiła, że w testamentcie zaznaczy, by jej lalkami zajęła się koleżanka z lalkowej grupy na Facebooku.

Ta zrzesza kilka tysięcy osób. Na międzynarodowej grupce Barbie Collectors jest blisko 100 tys. zbieraczy, a podobnych grup w sieci jest więcej. Codziennie toczą się na nich dyskusje, kolekcjonerzy Barbie i innych lalek publikują na niej zdjęcia swoich zbiorów, szytych przez siebie ubrań, odnowionych lalek z nowymi twarzami i włosami, znalezionych w sieci i na bazarach łupów, pomagają sobie w rozpoznawaniu modeli lalek, określaniu ich wartości.

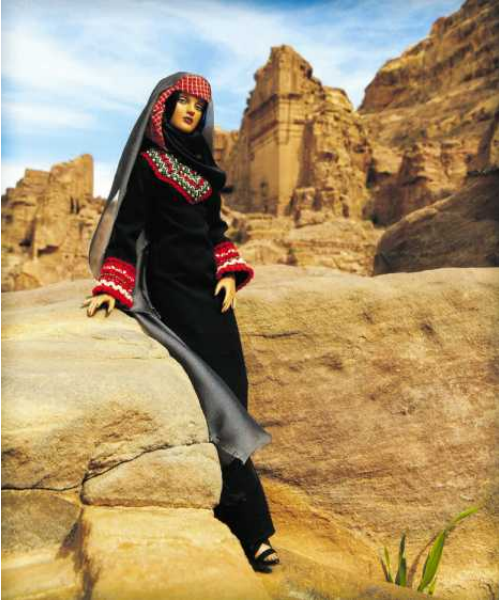
A to nie takie proste. Od 1959 r., kiedy pierwsza Barbie zeszła z taśmy produkcyjnej – w kostiumie kąpielowym w paski i ze spojrzeniem skierowanym w bok – firma Mattel wyprodukowała ich tysiące. Do tego powstały setki podobnych do Barbie lalek – Fleur, Petra, Candi i niezliczona ilość tzw. kloników Barbie, czyli imitacji czy zabawek na niej wzorowanych (mają własną grupę na Facebooku).

Mattel wyprodukował kolejne tysiące lalek kolekcjonerskich, przeznaczonych dla dorosłych zbieraczy: inspirowane twórczością Klimta, van Gogha, w kreacjach wiktoriańskich. Plus olbrzymią liczbę lalek przedstawiających postaci z filmów, branży muzycznej i historii świata. Swoje lalkowe wcielenia mają m.in.: Tina Turner, Cher, Clark Gable, Cate Blanchett, Helena Bonham Carter, Dawid Bowie czy Elżbieta II. A to dopiero początek wyliczanki.

LICZ RZĘSY

Mistrzynią w identyfikacji lalek jest Zuzanna Petrus, 39-latką spod Wrocławia. Żartuje, że rozpoznawanie twarzy Barbie na zdjęciach przypomina poszukiwania zaginionych. – Najpierw trzeba zwrócić uwagę na headmold, czyli odlew twarzy. Jest ich dużo, na przestrzeni 60 lat twarz Barbie bardzo się zmieniła – tłumaczy. Dodaje, że modeli lalek powstało wiele tysięcy. – Ale rozpoznanie headmoldu pozwala nam już określić ramy czasowe, w których lalka została wyprodukowana. Najpopularniejszy jest Superstar. To ta lalka pokazująca zęby w uśmiechu, z gigantycznymi oczami. Każda seria wypuszczana przez Mattela charakteryzowała się innym rysunkiem oka.

– Liczba rzęs – opowiada Zuzanna. – Dzięki niej można zawęzić poszukiwania. Potem zwracam uwagę na fryzurę. Karbowane włosy? Przełom lat 80. i 90. Niebieski cień do powiek? Pewnie koniec lat 80. Jeśli lalka ma biżuterię, to już jesteśmy w domu. Zwracam uwagę też na ułożenie rąk. Mogą być proste lub zgięte pod kątem 90 stopni, odchylane na bok, co oznacza, że powstała dopiero po 1994 r. Kolekcjonerzy Barbie współpracują, pomagają sobie w rozpoznawaniu lalek w sieci. Każdy z nas coś wie, a razem wiemy wszystko.



Jej dzieciństwo przypadło na lata 80. Zuza: – To były smutne czasy. Barbie była wtedy boginią, która patrzyła zza szyby pewexu. Nieosiągalną jak sztabka złota.

Kiedy miała pięć lat, dostała swoją pierwszą oryginalną Barbie. Jej zakup był rodzinnym wydarzeniem. Poszła do pewexu z ciotkami, z dolarami w kopercie.

Jest jedynaczką. – Lalki dotrzymywały mi towarzystwa, kiedy miałam kolejną anginę.

Jako 13-latką uznała, że z Barbie wyrosła. – Ale zawsze kiedy przechodziłam koło sklepu z zabawkami, moje oko leciało w stronę witryny.

Pracuje w branży reklamowej. Dziewięć lat temu znalazła pudło ze swoimi lalkami. Potem w internecie przypadkiem trafiła na stary katalog Barbie. Przeglądała go przez kilka godzin. – Wróciło poczucie bez troski z dzieciństwa. W pracy jestem narażona na ciągły stres i presję, jestem odpowiedzialna za wiele projektów. Kolekcjonowanie Barbie mnie odświeża. To moja odskocznia.

Trzy lata temu wraz z Mają, przyjaciółką z dzieciństwa, założyła bloga Kochamy Barbie. Ma 30 lalek, których nigdy nie odda. I prawie 300 takich, które chce wyprawić w świat. – Są w różnym stanie. Dla mnie najfajniejszym elementem kolekcjonowania jest kompletowanie lalek. Chcę je oddawać innym w stanie najbardziej zbliżonym do tego, w jakim wyszły z pudełka. Mam sporo takich, którym brakuje jednego buta czy spodenek. Czasami kupuję w sieci wielką paczkę z akcesoriami dla Barbie z nadzieją, że wśród nich będzie właśnie ten jeden but na obcasie.

Jej mąż i dwie córki w wieku pięciu i ośmiu lat nie dzielą z nią hobby, ale wspierają. Jej mama zszywa lalkom poprute ubrania. Zuza: – Też jest zaangażowana w ten cały cyrk.

Córki łowią akcesoria, pomagają kompletować stroje, ale bawić wolą się nowymi modelami Barbie. – Zuza pod-



śluchała kiedyś ich rozmowę: „Zostaw Barbie mamy, one są starożytnie”.

Z negatywnym odbiorem swojej pasji się nie spotkała. – Ale sama Barbie ma złą prasę. O osobach uzależnionych od chirurgii plastycznej mówi się „żywa Barbie”, lalkę oskarża się też o szereg zafałszowanych wzorców piękna. Mało się mówi o tym, że wykonuje mnóstwo zawodów, może być wzorem dla dziewczynek i wielu chłopców. Dla mnie Barbie jest ikoną popkultury, przez zabawę pobudza wyobraźnię, pomaga budować relacje. Barbie zmienia się razem ze światem. Kiedyś była blondynką i miała koleżanki o innym odcieniu skóry: Christie czy Kirę. Teraz każda lalka jest Barbie, bez względu na pochodzenie etniczne czy niepełnosprawności. Mattel produkuje lalki na wózkach, z protezami, lyse, z aparatami słuchowymi. To uczy dzieci tolerancji dla inności.

Mroczna strona kolekcjonowania Barbie? Zuza przez chwilę milczy, zanim odpowie: – Można dostać obsesji. Wydawać ostatni grosz na nową lalkę. Trzeba zachować umiar. Jest jeszcze coś: kiedy już zbierzesz wszystkie, które chcesz mieć, przestajesz być kolekcjonerem, stajesz się posiadaczem.

KEN POZUJE ŹŁE

Bronisław ubiera swoje Barbie, bo kocha modę. W workach ma pochowane ponad 2 tys. ubrań i około 1 tys. par butów. Koszulki oddzielnie, spodnie i sukienki osobno. Dla 300 lalek. Sam je składa, podkreśla, że „jego dziewczyny” są niepowtarzalne.

Kiedy przyjeżdżam do jego domu na wsi pod Warszawą, na oko setka stoi na półkach, reszta jest pochowana w kartonach. Niektóre mają na sobie oryginalne stroje Mattela. Od razu pokazuje mi perłę w swojej kolekcji: lalkę w czerwonym, oryginalnym komplecie Barbie z 1962 r. – To ubranie ma prawie tyle lat co ja – mówi Bronisław. – Skła-

• **Magdalena zabiera swoje lalki w podróż. Ale wcześniej szyje im stroje inspirowane kulturą kraju, do którego jadą**

FOT. MAGDOLLENA

da się z płaszczą, toczką, kopertówki i pantofelków. Brak jedynie długich, białych rękawiczek. Pantofelki zmieniłem, bo oryginalne są bardzo delikatne. To naprawdę piękny komplet i w doskonałym stanie jak na swoje lata. Mam też do niego katalog z 1964 r. i zdjęcie ze strony Mattela.

Na nosie ma okulary, siwe włosy schludnie przycięte. Spod czarnego puloweru wygląda kołnierzyk niebieskiej koszuli. Cenny strój Barbie wpadł mu w ręce przypadkiem, w antykwaracie. – Już w domu, w internecie zobaczyłem, że trafił mi się unikatowy wręcz rarytas kolekcjonerski, tym bardziej że w zestawie były dwa inne ciuszki z tego samego roku i katalogu, a także oryginalne pudełko.

Jego lalki mają domalowane zęby, paznokcie i palce stóp. Pozują jak zawodowe modelki, Bronisław robi im zdjęcia. Pytam, jak udało mu się narysować szczegóły w tak małej skali, ale macha ręką i prowadzi mnie do witryny w rogu pokoju. Tam w szeregu ustawione są żołnierzyki w skali 1 do 72, wszystkie perfekcyjnie pomalowane. Mówię, że ma dłoń pewną jak chirurg. – Już nie. – Bronisław się uśmiecha. – Starość. Wszystko się kończy, ale był czas, kiedy młodzi ode mnie nie dawali rady, a ja dawałem. Ręce i palce miałem zawsze bardzo sprawne. Dlatego nie pracowałem fizycznie, bo to moje narzędzia pracy były i nie chciałem ich zniszczyć. Co plastykowi precyzyjnemu po sztywnych, zgrubiałych dłoniach?

Na kolejnych półkach stoją modele samolotów i czołgów, na ścianach wiszą witraże. Jeden z jego witraży wprawiony jest w okno pobliskiego kościoła, wisi nad ołtarzem.

Bronisław ma 64 lata. Poznał się w czasie pandemii, przez telefon. Bo, drogi czytelniku, ja też zbieram lalki. Bronisław chętnie mówi o swojej pasji, ale kilka razy wspomina, że niektórzy do jego hobby są uprzedzeni. Dlaczego? – Ludzie potrafią być dziwni – ucina. Twierdzi, że jest samotnikiem.

Dlaczego zbiera Barbie? – Niestety, nigdy nie zajmowałem się prawdziwą modą, były inne sprawy życiowe, a szkoda. Dzisiaj już za późno. Teraz lalki są moimi modelkami, pozwalają się ubierać tak, jak ja sobie to wy myślę. Nie wyglądają na biedne, raczej na takie z lepszych sfer towarzyskich, z kasą i klasą. Żadnych zbędnych rzeczy, prosto, elegancko, modnie, z ciekawą, modną biżuterią mojego pomysłu. Żadnych księżniczek, syrenek – to nie mój świat.

Chwali się ubraniami, które kupił w sieci od znajomej. – Co tu można robić na tej wiosce? Przecież można zgłupieć. Nowy Dwór Mazowiecki mam niedaleko, kilkadziesiąt tysięcy ludzi tam mieszka, a nie ma gdzie wyjść, pustynia. Zanim zacząłem się zajmować lalkami, wracałem z pracy i nie miałem do kogo się odezwać. Zdarzało się, że rozmawiałem z psem. Psa też już nie mam.

Pytam, dlaczego na tyle dziewczyn tam tylko jednego Kena, w dodatku w pudełku. – On kiepsko pozuje do zdjęć, jakiś jest niewygodny.

Kiedy zaczął zbierać lalki? – Pewnego razu znajoma, wiedząc, co potrafię, zapytała mnie, czy nie naprawiłbym jej córce popsutych Barbie. Przyniosła je, a wśród nich lalkę z serii My Scene – wspomina. – Była dla mnie dużym zaskoczeniem, bo moja córka miała w dzieciństwie kilka lalek, ale to były nieanatomiczne brzydule, a ta była całkiem zgrabna i ładna. Najpierw była fascynacja My Scene, a potem zainteresowałem się klasycznymi, ale nowymi modelami. Nie podobały mi się starsze, tylko te po 2005 r. Najpierw malowałem buty, potem twarze. Oczu nie

zmieniam, ale niektóre buzie potrzebują sporo pracy. Z niejednej paskudy udało mi się zrobić całkiem ładną lalkę.

W ostatnich latach pracowałem na nocnej zmianie w firmie transportowej. Był człowiekiem od wszystkiego. Wtedy też miał czas zajmować się lalkami: naprawiać, kleić, ubierać, fotografować. – Oczywiście przede wszystkim zajmowałem się tym, czym powinienem, za co dostawałem wypłatę. Czasem było sporo zajęcia na dworze, a czasem noc upływała całkiem spokojnie, więc miałem czas i nie mogłem spać, musiałem coś robić, czymś głowę zająć i ręce. Wymyśliłem kilka sposobów na usztywnianie stawów, na kiwające się główki, na popękane szyje. Zdecydowana większość moich dziewczyn składa się z dwóch, trzech różnych – głowa od innej, tułów, koniecznie z rękami z ruchomymi stawami, od innej i zginające się nogi od dawniejszych lalek z serii Bend and Move.

Niedawno stracił pracę i nie może znaleźć innej. – Kto mnie zatrudni? Jestem za stary.

Na zdjęciach Bronisława często pozuje lalka bez ręki, z protezą. Inna wspiera się na małych kulach, nie ma nogi. – Leżałem kiedyś na chirurgii oparzeniowej, naoglądałem się wtedy różnych obrażeń – tłumaczy Bronisław. – Pewnego razu wpadł mi do głowy pomysł całkiem odlotowy, zaainspirowany lalką z odgryzioną przez kota ręką. Zamiast ją naprawić, wymieniłem rękę, założyłem na kikut pokrowiec i stała się jedną z najlepiej fotografujących się modelek. Jak ręka, to czemu nie noga? Zrobiłem dziewczynę bez nogi, zanim Mattel wpadł na swój pomysł. Obciąłem nogę nad kolanem, z modeliny zrobiłem uzupełnienie, pomalowałem mocno naturalnie, wręcz drastycznie dla niektórych, ale jeszcze nie była na wybiegu.

Lalek nie dyskryminuje. Nie mają jednak imion i biografii. – Nie mają też swoich pamiętników – żartuje Bronisław. – Nie zakładam im również teczek.

Pokazuje mi łysą lalkę Barbie, która nigdy nie była w szerokiej sprzedaży. Zrobiona została na zamówienie fundacji zajmującej się dziećmi chorymi na raka. Szperam w kartonie z lalkami, przez chwilę debatujemy nad palcami u stóp jednej z nich. Namalowane ręcznie czy fabryczne?

PODRÓŻE

Magdalena Mroczek-Stachowiak, 47-latka z Krakowa, zbieranie lalek Barbie zaczęła od tzw. trupków, czyli używanych, często zdezelowanych lalek po dzieciach, sprzedawanych na bazarach pod



koniec lat 90. Odnawiała je i szyla im stroje.

Jej fascynacja lalkami narodziła się jednak znacznie wcześniej. Pierwszą lalkę w stroju regionalnym dostała, kiedy miała pięć lat. Wtedy ich kolekcjonowanie było „cholernie trudne”. – Nikt w latach 80. nie jeździł za granicę.

Zbierała więc lalki w polskich strojach regionalnych. Rodziła się cieszyła, problem z tym, co Magdzie kupić, zniknął. – W połowie lat 80. dostałam lalkę w stroju szkockim. Wtedy zrozumiałam, że w innych krajach też takie powstają. Zaczęłam szukać osób, które mogłyby mi lalki przywozić ze swoich podróży.

W 1984 r. dostała od krewnej z USA pierwszą Barbie wraz z katalogiem. – Wpatrywałam się w niego godzinami, marzyłam o tych lalkach, akcesoriach i ubraniach.

W 1994 r. poszła na studia. Wybrała etnologię i choć całe życie pracuje jako sekretarka, nigdy nie żałowała, że z wykształcenia jest etnologką. – To był oczywisty wybór, choć przyszłości w tej profesji nie ma.

Poszła do pracy, posprzedawała swoje Barbie i przerzuciła się na droższe i bardziej wyrafinowane lalki Tonner. – Teraz nie mam ich już zbyt wiele, skupiłam się na robieniu zdjęć moim lalkom, a nie na ich gromadzeniu. Na Facebooku prowadzi blog Magdollena. Publikuje tam zdjęcia swoich lalek w podróży. W uszytych m.in. przez Izę Klos strojach pozują we Francji, Czechach, Portugalii. – Przed wyjazdem szyję dla nich strój inspirowany tradycją kraju, który będą zwiedzać. Dzięki takiemu ubranku na zdjęciu lalka idealnie pasuje do otoczenia. Lokalni mieszkańcy zwykle są zachwyceni, pytają, gdzie można taką lalkę kupić – opowiada.

Jeździ z mężem. Jeśli samochodem, do bagażnika pakuje więcej lalek, do samolotowego бага-

żu podręcznego musi wybrać jedną, góra dwie. – Do Kambodży np. wzięłam jedną o urodzie azjatyckiej, a drugą z serii „Wonder Woman”, żeby robiła mi za Larę Croft. Kręcili w Angkor film „Tomb Raider” z Angeliną Jolie. W przyszłym roku jedziemy do Egiptu, tam wezmę też pewnie dwie lalki.

– Lalki regionalne przestałam kolekcjonować, kiedy zaczęliśmy podróżować. Zrozumiałam wtedy, że od początku chodziło mi o poznanie świata, którego sama nie mogłam doświadczać – mówi Stachowiak.

Nigdy nie zajmowałem się prawdziwą modą, były inne sprawy życiowe, a szkoda. Dzisiaj już za późno. Teraz lalki są moimi modelkami, pozwalają się ubierać tak, jak ja sobie to wymyślę

Pytam, co myśli o kolekcjonowaniu jako etnologka. – Na pewno jedną z przyczyn zbierania lalek jest sentyment. Wiele osób zaczyna od lalek, które mieli w dzieciństwie, inni od tych, których właśnie nie mieli. Kolekcjonerzy przypominających niemowlęta lalek Reborn pewnie w niektórych przypadkach traktują je jak substytut posiadania potomstwa. Czasami lalki maskują kompleksy, wynagradzają deficyty. Na przykład niedostatki urody – uważa. – Lalki, zwłaszcza Barbie i podobne, przedstawiają zbyt wiele pięknej kobiety we wspólnym garderobie. Niektórzy kupują dla lalki toaletę od Chanel, na którą sami nie mogą sobie pozwolić, na zasadzie „ja nie mogę, ale moja lalka nosi”. Sama tak robię.

Czy spotyka się z negatywnymi reakcjami, kiedy mówi o swoim hobby? – Mam wrażenie, że winę za takie reakcje częściowo ponoszą też osoby, które lalki zbierają. Niektórzy sami się wstydzą swojej pasji, chowają lalki przed odwiedzinami rodziny czy przyjaciół. Jeśli sami tego nie akceptują, to jak mają to zaakceptować inni? – pyta. Dodaje, że w Polsce kolekcjonowanie zabawek może być proble-

mem także z powodów historycznych. – I i II wojna światowa wymiotła z domów rozmaite kolekcje, pamiątki domowe i właśnie zabawki. W związku z tym nie istnieje u nas kolekcjonowanie zabawek na taką skalę jak np. w Niemczech. Tam co krok stoi muzeum zabawek – mówi. – U nas wszystkie zabawki trafiły zslag. No i jest jeszcze katolicyzm. To nie jest religia, która stawia na radość. Każde szybko dorosnąć i dużo cierpieć. Protestanci podkreślają rolę zabawek w procesie edukacyjnym, wykorzystują je, by dziecko poznało rolę, w którą wcieli się w dorosłości.

MISIE I SYRENKI

Dzieciństwo 33-letniej Joanny Stelligi nigdy się nie skończyło. Pracuje w branży IT, mieszka w Łodzi, ale pochodzi z Krosna. Jest po rozwodzie, nie ma dzieci. Ma za to 300 lalek. – Kolekcję mam podzieloną. Część mam u siebie, część u rodziców – wyjaśnia.

Jej większość stanowią Barbie. W swoim łódzkim mieszkaniu trzyma zbiory na widoku. W jednym z pokoi ma szafkę na lalki, nazywa ją apartamentowcem. Siedem lalek mieszka w salonie.

Z lalek Joanna nie wyrosła. Pierwszą dostała na Gwiazdkę, kiedy miała roczek, potem już na każde urodziny i święta dostawała lalki. Oryginalną Barbie odwinęła z papieru prezentowego w piąte urodziny. Była to lalka z włosami do kostek. – Wtedy rzadko kto mógł się pochwalić oryginalną Barbie, mówiłam o niej babci, opisywałam dokładnie, jak wygląda. W sklepie zabawkowym w pobliżu wtedy akurat takiej nie było, dostałam inną.

Wymarzoną kowbojkę dostała na kolejny Dzień Dziecka. – Jestem jedynaczką, nie miałam w dzieciństwie zbyt wielu koleżanek, lalki stały się moimi przyjaciółkami i powiernicami. Wymyślałam im całe życie, miały historię, rodzinę – opowiada.

W gimnazjum wciąż się bawiła. Kiedy chciała sobie kupić kolejną za kieszonkowe, rodzice mówili, że powinna już z nimi skończyć. – Każda była ostatnia, czułam, że muszę się z lalkami chować.

Na studiach zaczęła kupować lalki na własną rękę. – Kupowałam coraz więcej, przez internet. Nie było wtedy paczkomatów, listonosz przynosił paczki do domu. Zdarzało mi się zamawiać wtedy lalki na adres babci, żeby mama nie widziała, że kupiłam kolejną.

• **Bronisław pokazuje perłę w swojej kolekcji: lalkę w czerwonym, oryginalnym komplecie Barbie z 1962 r.** FOT. AUTOR

Kiedy zaczęła mieszkać sama, kupiła regał. Zaczął się szybko zapelniać. – Spełniałam wszystkie marzenia z dzieciństwa. Chodziło mi o to, żeby mieć lalki, które kiedyś były dla mnie nieosiągalne. Plus kupowałam też nowe, które wchodziły na rynek.

Przed wyprowadzką z domu rodziców mama często mówiła Joannie, że jest za stara na lalki, proponowała, by oddać kolekcję dzieciom. – A kiedy się wyprowadziłam i przyjechałam do domu z wizytą, czekała mnie niespodzianka. Tam, gdzie stały moje lalki, mama postawiła nową. Powiedziała, że pozabierałam lalki, zrobiło się pusto.

Kiedy w „apartamentowcu” robi się tłok, Joanna wywozi lalki do rodziców. Czy jest uzależniona od kupowania Barbie? – Kupowałam je kompulsywnie, ale raczej wynikało to z poczucia wolności. Czuję, że mogę wydawać swoje pieniądze, że nikt mi nie marudzi.

Były mąż nie marudził. Kolekcjonował gramofony. – Byliśmy dwoma świrami. Potem dopiero zaczęły się nieporozumienia, w mieszkaniu mieliśmy za dużo sprzętów. Czasami się spieraaliśmy, że ja mam miejsce na lalki, a on na swoje graty już nie – mówi Joanna.

Zaznacza, że jej życie nie ma tylko odcienia różu, jak akcesoria lalek Barbie. – Powiedziałabym raczej, że towarzyszy mu bajkowa estetyka. Jeśli mam do wyboru płyn do prania z misiem lub bez misia, to zawsze wybiorę ten z misiem – tłumaczy. – Lubię oglądać bajki, interesują mnie tematy zabawkowo-bajkowe.

Co myślą o tym inni? – Niektórzy pewnie mogą myśleć, że jestem dziecinna – zauważa. – Albo że na pewnym etapie znajomości jest to urocze, a potem przestaje takie być.

Pytam, czy Joanna próbuje sobie w ten sposób przedłużyć dzieciństwo. – A gdzie jest napisane, że ono musi się skończyć? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Nie ma potrzeby zabijać w sobie dziecięcej radości i wrażliwości.

Przez 20 lat pisała opowiadania o swoich lalkach. – Przestałam, ale historie wciąż w mojej głowie są. Do końca studiów robiłam też słuby lalek, na dywanie ustawiałam gości, był nawet zespół muzyczny, nagrywałam składanki piosenek. W doborze utworów kierowałam się wyobrażonym przeze mnie gustem lalek.

Teraz już tego nie robi. Czasami wrzuca na grupę na Facebooku zdjęcia nowych nabytków. Kiedyś chodziła też na spotkania kolekcjonerów, którzy skrzykiwali się w sieci. Joanna dodaje, że wśród kolekcjonerów Barbie jest sporo mężczyzn. – Oni to dopiero muszą się zmagać ze stereotypami. Kolekcjonowanie lalek jest postrzegane jako niemęskie.

Sama zbierania lalek się nie wstydzi. – Nie mam czego. Taką mam osobowość. Na drzwiach do łazienki nakleiłam syrenki, chodzę do kina na filmy dla dzieci. Nikogo nie okradłam, nikogo nie zamordowałam. Myślę, że wstydzą się ci, którzy nie czują się dobrze ze sobą. A ja się czuję dobrze. ●

Nowy serwis

żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



Paliwo dla człowieka

Nierozwiązane konflikty wewnątrz organizacji społecznych w połączeniu z zewnętrznym nieprzyjaznym otoczeniem mogą być mieszkanką wybuchową.

Adam Bodnar*



Gdy podróżuję po Polsce, spotykam z obywatelami, działaczami, aktywistami, słyszę pytanie: skąd brać energię, nadzieję, że może być lepiej? Codzienna rzeczywistość nie napawa optymizmem. Skandal goni skandal. Czasami wypowiedzi polityków partii rządzącej mrożą krew. Erozja wartości i szacunku dla prawa. Do tego kryzys gospodarczy i cierpienie narodu ukraińskiego.

Osoby zaangażowane w działalność społeczną mogą te wszystkie wyzwania odczuwać w sposób szczególny. Treścią ich życia zawodowego jest chęć niesienia pomocy, naprawiania świata, służenia innym. To działalność, która wkracza w życie prywatne, nie daje przestrzeni na oddech, może się spotykać z brakiem poczucia docenienia lub wręcz hejtem. Bardzo łatwo o zwątpienie, frustrację, wypalenie. Stąd prosta droga do napięć i konfliktów w organizacji. Czasami budowane przez lata dzieło może zostać zniszczone, bo dojdzie do nieświadomej eskalacji emocji. Nierozwiązane konflikty wewnątrz organizacji społecznych w połączeniu z zewnętrznym nieprzyjaznym otoczeniem mogą być mieszkanką wybuchową.

Nie proponuję rozwiązania dla wszystkich problemów i wątpliwości pojawiających się w działalności organizacji. Żaden tekst nie zastąpi także konsultacji z mentorami, coachami, radami doradczymi czy psychologami. Niemniej chciałbym się pokusić o do-danie odrobiny otuchy.

Przed wszystkim chciałbym zaproponować, abyśmy spojrzeli na miniony rok pod kątem tego, co się udało zrobić. Agresja Rosji na Ukrainę spowodowała uruchomienie niezwykłych pokładów energii społeczeństwa obywatelskiego. Jak pisała w OKO.press Agnieszka Jędrzejczyk, było to możliwe między innymi dzięki temu, że wcześniej, w czasie protestów sądowych oraz demonstracji w obronie praw kobiet, zostały stworzone struktury wzajemnego zaufania. Ponadto już na granicy polsko-białoruskiej aktywne były organizacje społeczne, środowiska intelektualne i aktorskie, ale także zwyczajni, wrażliwi aktywiści lokalni. To właśnie dzięki temu do świadczeniu, istniejącym więziom, możliwa była szybka reakcja, nawiązanie rzeczywistej współpracy z władzami lokalnymi, mediami i biznesem. Główne pytanie, które wybrzmiewa teraz na salonach europejskich, brzmi: Jak to się stało, Polacy, że pomogliście tak skutecznie uchodzić z Ukrainy? Polska po raz pierwszy od wielu lat jest kojarzona pozytywnie. Było to możliwe wyłącznie dzięki masowemu zaangażowaniu polskiego społeczeństwa obywatelskiego. Powinniśmy być z tego dumni.

Druga kwestia to praworządność. Nieraz słyszę narzekanie: chodziłem w lipcu 2017 r. pod sądy i nic to zmieniło. Walec rozjeżdżał kolejne reduty niezależnych sądów. Ale gdyby tych protestów nie było, to już dawno byłoby pozamiatane, bo to one dały siłę społeczeństwu obywatelskiemu do obrony sądownictwa – powstała wielka koalicja prawników,

działaczy, nauczycieli akademickich, ekspertów zagranicznych, którzy o sądy się upominają. To one wyposażyły sędziów w siłę pozwalającą przetrwać upokarzające zawieszenia, być wiernym walce o pryncypia demokratyczne. To one wzmocniły działania prawne i polityczne przed sądami europejskimi. Po pięciu latach zaczynamy zbierać tego owoce – kolejne zmiany do ustaw sądowych, przywracanie sędziów (niedawno Igor Tuleya) nie byłyby możliwe, gdyby kosa nie trafiła na kamień. Okazał się nim Krajowy Plan Odbudowy. Ale – Obywatelu – bez twojej obecności pod sądami to by się nie stało. Byleś cierpliwy i teraz powinieneś mieć satysfakcję, choć jeszcze sporo drogi przed nami.

Inny przykład to prawa osób LGBT+. Wiele osób mogłoby się nieraz załamać po kolejnych haniebnych atakach i nagonkach ze strony prawicowych organizacji, polityków i przedstawicieli Kościoła katolickiego. Nie możemy zapominać o emigracji młodych osób i samobójstwach. Ale społeczność LGBT+ zachowała się jak trzcina – pod wpływem silnych huraganów się nagięła, by wyprostować i stać w dumie, mocniej niż kiedykolwiek. Sądy przyznają rację działaczom w kolejnych sprawach sądowych dotyczących mowy nienawiści czy uchwał gmin o ideologii LGBT. Redaktor Piotr Jaconi stał się niespodziewanym, gigantycznym adwokatem praw osób transpłciowych. W sondażach rośnie poparcie dla równości małżeńskiej, związków osób tej samej płci. Według najnowszego sondażu Ipsos dla OKO.press 64 proc. badanych stwierdziło, że homoseksualizm to orientacja seksualna taka sama jak inne. Każde z tych wydarzeń z osobna – ale i wszystkie łącznie – powinno skłaniać nas do myślenia, że jednak długoterminowa walka ma sens.

Niedawno ukazała się książka Ece Temelkuran „Być razem. Manifest przeciwko światu bez serca”. Autorka to turecka dziennikarka, z wykształcenia prawniczka, która ze względu na swoją działalność publicystyczną już od dawna nie mieszka w Turcji. W swoim manifestie sformułowała kilka zasad, które mogą nam dodać otuchy w zmieniającej się rzeczywistości społecznej i politycznej. Jednym z jej postulatów jest to, by zastąpić uczucie nadziei uczuciem wiary w ludzkość, w drugiego człowieka oraz w siebie samego. Przypomina sceny z mediów społecznościowych – chilijskie kobiety tańczące w odpowiedzi na brutalność policji, irlandzkie dzieci organizujące protesty przeciwko deportacji nigeryjskiego kolegi czy mieszkańcy Hongkongu upominający się o przyjaciół zatrzymanych w czasie demonstracji. Temelkuran pisze, że robimy to, bo chcemy się przeciwstawić absurdalnej medialnej gonitwie za sensacją, bo chcemy robić dobre rzeczy. Bezinteresowna wiara w ideały lepszego świata nieraz wygrywa z oportunistyzmem.

To też chciałbym państwu zaproponować na święta. Przypomnijcie sobie te piękne chwile z ostatniego roku, kiedy czuliście, że robicie coś dobrego, a wasze zaangażowanie wynika z przywiązania do ponadczasowych wartości, z wiary, że świat może być lepszy. Kiedy działaliście z potrzeby serca, nawet jak nie mieliście najmniejszej nadziei na jakąkolwiek zmianę. Kiedy współpracowaliście z innymi i dzieliliście się uśmiechem oraz poczuciem tej dzikiej satysfakcji, że udało się coś sensownego zrobić. Docenicie samych siebie. Bo to dzięki Wam wiele osób doświadczyło pomocy i uśmierzenia bólu oraz uwierzyło w konstytucyjne wartości. Niech ten nowy rok będzie waszym rokiem – demokratycznego, proeuropejskiego, odważnego i zaangażowanego społeczeństwa obywatelskiego.

*Adam Bodnar – dr hab. prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji, ambasador inicjatywy „Każdy człowiek” Ferdinanda von Schiracha

PO PRAWDZIE

Płyn zawsze mam przy sobie



Trzy obrazy z życia wzięte, które mrożą mi krew w żyłach. Wam nie?

Agnieszka Kublik

1. Mała apteka na wschodzie Polski. Przestrzeń dla klientów to jakieś niecałe 10 m kw. Dwie ekspedientki, częściowo za szybą. Na drzwiach przypomnienie o obowiązku noszenia maseczki, przy drzwiach płyn do dezynfekcji rąk.

Zakładam maseczkę, myję dłonie, wchodzę do apteki. Nie ma nikogo oprócz mnie. Wyjmuję listę zakupów, kiedy pojawia się kobieta. Kichająca, kaszląca, z katarrem lejącym się z nosa. Bez maseczki.

Płacę za zakupy kartą, muszę przejść do drugiego okienka, tam gdzie prycha i kicha Zakichana. Proszę, żeby się odsunęła.

Nic z tego. Proponuję, by założyła maseczkę. Nic z tego. Farmaceutki nie reagują, a przecież to one na drzwiach wywiesiły kartkę z przypomnieniem, że tu maseczki nadal obowiązują.

A po co maseczka? – warczy Zakichana. – Bo pani rozsiewa zarazki... – A co, pani głucha czy ślepa? Nic mi nie jest! – Widzę i słyszę, że jest pani przeziębiona. – Ja? Ja chyba wiem lepiej. A o co chodzi? Pani ma maseczkę, a moja to moja sprawa.

Zakichana kończy zakupy. Wychodząc w chmurze zarazków, złośliwie się uśmiecha i życzy nam dobrego dnia.

No cóż, gdyby naprawdę życzyła, toby nas chroniła przed swoim przeziębieniem maseczką.

Pytam sprzedawczynię, dlaczego nie zareagowały. Wzruszają ramionami: „A co nas to obchodzi i po co się pani wtrąca?”.

2.

Mała osiedlowa piekarnia w Warszawie. Naprawdę niewielka, mieści tu się góra czwórka klientów. Gdy obowiązywały restrykcje COVID-owe, mogła wejść dwójka, reszta ustawiała się w kolejce na dworze.

Teraz w środku ścisk. Klienci stoją jeden za drugim, dosłownie chuchają na siebie. Bez maseczek, rzecz jasna. Przy sprzedawczyniach jest płyn do dezynfekcji rąk. Pusty.

Robię tu zakupy, bo pieczywo mają obłędne. Widzę w środku dwie osoby, czekam na zewnątrz. Gdy za mną zaczyna się wić kolejka, słyszę pomrukiwania, że mam wejść.

Nie wchodzę, czekam, aż ktoś wyjdzie.

Gdy wychodzi, razem ze mną pchają się do środka jeszcze trzy osoby. Tłok. Ktoś kicha, ktoś wyciera nos, inny pokasłuje. Bez maseczek, rzecz jasna.

Wychodząc, ledwo się przepycham w drzwiach, bo ludzie stoją tuż przy wejściu. Nie ma mowy o jakimkolwiek dystansie.

3.

Obok drogeria jednej z wielkich sieci. Tu maseczki nie obowiązują. Oczywiście nikt ich nie nosi. Płyn do dezynfekcji? Jest pojemnik. Pusty. Zagaduję panią w kasie: dlaczego. Patrzy na mnie zdziwiona i oburzona zarazem: „Po co komu jeszcze ten płyn?!”.
Ja mam zawsze przy sobie.

W wielkich galeriach handlowych, przy wejściu do sklepów też wszędzie są pojemniki na płyn dezynfekujący. Sprawdziłam – w większości puste. Takie tam atrapy, że niby o coś dbamy.

A przecież pandemia nie umarła. Gorzej, teraz mamy coraz więcej zachorowań na grypę, dzieci chorują na wirusa RSV (powoduje choroby układu oddechowego, zapalenie płuc). Doktor Tomasz Dzieciatkowski podaje długą listę wirusów, które mogą powodować zakażenia dróg oddechowych: wirusy paragrypy, metapneumowirusy, koronawirusy przeziębieniowe, rinowirusy...

A COVID? No cóż, trudno powiedzieć, rząd już systematycznie nie testuje. W sprawie pandemii jest ślepy na własne życzenie.

Sytuacja się komplikuje, bo obie choroby – grypa i COVID – mogą dawać podobne objawy. No i mogą atakować naraz. – Mieszane zakażenia mogą mieć cięższy przebieg – tłumaczy dr Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19. – Grypa atakuje trochę inne piętro układu oddechowego w nabłonku, a COVID od strony naczyń. Połączenie tych dwóch infekcji będzie źle wpływać na stan pacjenta.

Jak sprawdzić, co nas gnębi? Trzeba zrobić test. A tych lekarze rodzinni już nie zlecają, nawet gdy pacjent kaszle i ma ponad 39 stopni gorączki. Więc musi test kupić sam. W ten sposób nie trafi do bazy danych. Państwo o jego zakażeniu COVID-em nie wie.

I tak oto rząd nie jest w stanie oszacować rzeczywistej zachorowalności, hospitalizacji i śmiertelności.

A COVID nadal zabija. Atakuje i powoduje poważne powikłania. Na COVID chorują zaszczepieni, nawet po kilka razy. Eksperci szacują, że okres ochronny po kolejnej dawce szczepionki trwa około połowy roku. Co gorsza, pojawiają się nowe warianty wirusa, częściowo odporne na szczepionki.

Jak się chronić? To takie proste. Nosić maseczki, najlepiej maski FFP2, bo są bardziej skuteczne niż maski chirurgiczne. Dezynfekować ręce. Zachować dystans.

To takie trudne. Na każdym kroku widać, że nikt już tych banalnych zasad nie przestrzega.

Adam Niedzielski, minister zdrowia, alarmuje, że szczyt kolejnej fali COVID-19 jest przewidywany na drugą połowę albo koniec stycznia 2023. Twierdzi, że teraz jest więcej zachorowań na grypę niż na COVID. Skąd to wie? Przecież system nie wyłapuje chorych. Czyli minister nie wie, on gdyba.

W rankingu CBOS Niedzielski ma 31 proc. zaufania i 32 proc. nieufności. ●

weekendówka

31



Autorem wielu haseł jest **Agata Piasecka**

WEEKENDÓWKA NA WYBIEGU

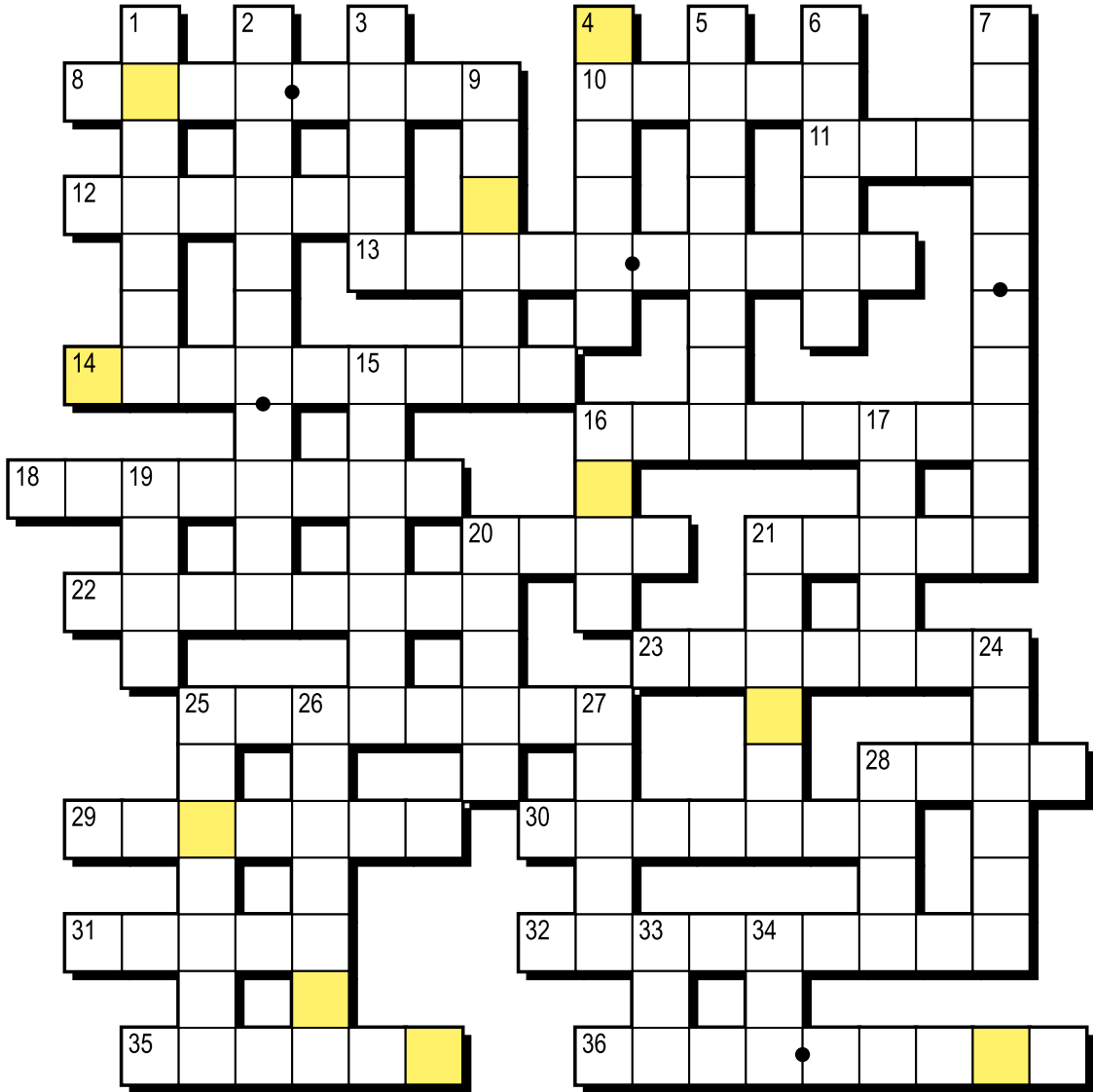
Arthur Baldwin Turnure nie miał na co narzekać. Miał bogatych, dobrze sytuowanych rodziców, Davida Mitchella Turnure’a i Mary S. Baldwin. Urodził się i mieszkał – dodajmy, że niezgorzej – w stolicy świata, czyli w Nowym Jorku. Na studia poszedł do prestiżowej uczelni Princeton i w 1876 zdobył dyplom prawnika.

Wydawać by się mogło, że miał wszystko. A jednak najwyraźniej odczuwał brak periodyku, skierowanego do arystokracji rzecz jasna, który celebrowałby „ceremonialną stronę życia”, przyciągałby zarówno nestorów, jak i debiutantki – czyli młode arystokratki, które właśnie osiągnęły dojrzałość – biznesmenów i damy. Jednym słowem, brakowało mu „Vogue’a”.

Dlatego zdecydował się wydać tygodnik dla nowojorskiej socjety, która mogłaby tam odnaleźć teksty o tym, co lubi robić, jak spędza wolny czas, w jakich miejscach bywa i jakie nosi ubrania. Pierwszy numer „Vogue’a” ukazał się dokładnie 130 lat temu, 17 grudnia 1892 roku, kosztował 10 centów, a okładkę zdobiła ilustracja debiutantki właśnie, sztywnie wystrojonej jakby na bal inauguracyjny. Pierwszą okładkę z kolorowym zdjęciem czytelnicy zobaczyli w lipcu 1932 roku. Była to fotografia Edwarda Steichena przedstawiająca pływaka trzymającego piłkę plażową.

Dziś „Vogue” ma 26 międzynarodowych edycji – pierwsza pozaamerykańska ukazała się w 1916 roku w Wielkiej Brytanii – ukazuje się raz w miesiącu, a redaktorka naczelna Anna Wintour jest jedną z najbardziej wpływowych kobiet świata. A my, by uczcić rocznicę założenia tej dziś już na pewno instytucji, zdecydowaliśmy się poświęcić dzisiejszą „Weekendówkę” właśnie modzie. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Agatę Piasecką, redaktorkę „Wyborczej TV” i dziennikarkę lifestyle’ową. Miłej zabawy! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 30 z 10.12:

Poziomo:

- 3) Burano 5) Sobczyk 8) lala
9) Opole 11) Niemen 12) gwiazdy
13) Chochoty 14) Wawele 15) Toni
16) lasy 18) kino 20) Ryszard
22) kwiat 25) piosenki 26) kulig
27) niebo 28) wojna 29) rock
30) Czarni 32) Majdaniec 34) czas
36) Naga 38) bociany 39) ballada
40) Tarpany

Pionowo:

- 1) Dornowski 2) stodoła 3) barwy
4) niedziela 6) Czerwone Gitary
7) koncerty 8) Lech 10) tato
12) głos 17) Andrzej 19) Halina
20) Rusowicz 21) sen 23) Walicki
24) Klenczon 26) Korda 31) oczy
32) Maria 33) droga 35) Anna
37) Ada.

HASŁO: **SZYBKI BILL**

MODA

Hasła Agaty Piaseckiej oznaczono inicjałami (AP). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 8) brytyjska top modelka, która miała problemy z narkotykami
10) ... Klum, niemiecka modelka
11) „Twój ...”, miesięcznik dla kobiet
12) panowie na wybiegu
13) zespół, w którym występowała Victoria Beckham
14) niemiecki projektant, wieloletni szef domu mody Chanel

- 16) Cindy, amerykańska modelka i aktorka
18) włoskie miasto – stolica mody
20) imię projektanta, właściciela kotki Chouette (AP)
21) ... Woliński, projektant mody, stylisty
22) nowa ... mody, prezentowana na pokazie
23) ... Schiffer
25) Monika, top modelka
28) Adriana, brazylijska gwiazda wybiegów, przez wiele lat związana z marką Victoria’s Secret
29) Gianni, włoski kreator mody
30) potocznie o modelkach kojarzonych z marką Victoria’s Secret

- 31) Testino, słynny fotograf mody (AP)
32) produkty od L’Oréal, Guerlain, Garnier
35) Ralph, amerykański projektant mody
36) polska supermodelka i projektantka mody, wyprodukowała kampanię społeczną #sexedpl

Pionowo:

- 1) wykonawczyni piosenki „Vogue”
2) brytyjska grupa muzyczna o nazwie zainspirowanej francuskim żurnalem
3) Ashley, odtwórczyni roli Bridget w „Modzie na sukces”

- 4) Coco, francuska projektantka mody
5) odzież kojarząca się z marką Victoria’s Secret
6) ... Bündchen
7) amerykańska modelka, siostra Gigi
9) „Moda na sukces” lub „Zostać miss”
15) ojczyzna Louisa Vuittona, Pierre’a Cardina, Huberta de Givenchy
16) ... Delevingne, wystąpiła w „Legionie samobójców”
17) mierzony w talii, biodrach, biuście
19) twórca powojennego New Look (AP)
20) ... Struss
21) film „... ubiera się u Prady”

- 24) włoski dom mody, znany z perfum „...Code” (AP)
25) Joanna Krupa w programie „Top Model”
26) miesięcznik o modzie i urodzie
27) francuski dom mody, znany z charakterystycznych bluz z tygrysem (AP)
28) ...-Rose Depp, aktorka i modelka
33) piękna jak ..., czyli o olśniewającej urodzie
34) ... Herzigová, czeska modelka

Leszek Rydz

Byłe do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

